

ANDRZEJ PILIPIUK

ZAGADKA KUBY

ROZPRUWACZA

TMN

2003

ZAGADKA KUBY ROZPRUWACZA

*Niepublikowany rękopis Artura Konan Dojla
Z jęz. wielkobrytyjskiego przełożył Andrzej Pilipiuk*

Jakub Wędrowycz wychylił musztardówkę pełną mętnego płynu i uśmiechnął się do swoich myśli. A myśli, im więcej pił, tym stawały się cieplejsze i klarowniejsze. Aparatura w kącie chałupy bulgotała kojąco, powietrze wypełniał subtelny zapach zaciera nastawionego na starym ziarnie i gnijących kartoflach. Kolor cieczy skapującej do kanistra był lekko brązowy, więc egzorcysta pomyślał, że warto by dodać trochę jakiegoś wybielacza, ale od pamiętnych przygód z prosiakami czuł pewien wstręt do ace.

– Chlorem by zaprawić – mruknął sam do siebie. – Tylko kto to potem zechce pić?

Uczone rozważania przerwała niespodziewana materializacja. W kącie pomieszczenia zamigotało, załomotało i wyrosła tam budka. Wyglądała jak telefoniczna, tylko miała przyciemniane szyby.

Jakub z szacunkiem popatrzył na resztę produktu w szklance.

– Cholera – powiedział. – Co za bimber. Zrobiłem już kiedyś taki, że białe myszki latały, i taki od białych piesków, taki od krasnoludków, i taki od różowych słoni, ale żeby budki telefoniczne?

Wewnątrz niej coś zabrzęczało. Egzorcysta wyciągnął z szuflady obrzyna i sprawdził, czy granat tkwi na miejscu w kieszeni. Drzwi budki otworzyły się. Ze środka wyszedł niski facet z pokaźnym brzuszkiem, ubrany w obcisły trykot. Jakub wypalił ze spluwy w sufit, a potem wskazał wymownym gestem podłogę.

– Lotnik, kryj się! – wykrzyknął zdanie zasłyszane w jakimś filmie.

Facet posłusznie klapnął.

– A teraz gadaj, szpiegu, kto cię nasłał? A jak się pomylisz, to zastrzelę – pociągnął leniwie za spust.

W klepisku obok głowy przybysza pojawiła się dziura.

– Nie zabijaj – gość odezwał się po polsku, tyle że z bardzo dziwnym akcentem. – Jestem historykiem. Ja tu z własnej woli.

– Historyk – mruknął Jakub. – Ja tam nauczycieli nie lubię. Wnuka mi w szkole gnębia. Nabił strzelbę dwoma nowymi pociskami. Tym razem były to naboje na dzika. Wiadomo, nie jest łatwo zabić agenta KGB...

– Ja nie jestem nauczycielem – wydarł się leżący. – Ja prowadzę badania historyczne!

– Tutaj? – Wędrowycz parsknął śmiechem. – A ta budka to co, przerzutnik zeroprzestrzenny do teleportacji?

– Właściwie nie powinienem mówić – gość z niepokojem popatrzył w wylot lufy.

– Czekaj... Jesteś historykiem i przyleciałeś badania robić, ubrany jesteś jak strach na wróble, gadasz niby po naszemu, ale dziwnie, znaczy, że to wehikuł czasu.

– Wolimy nazwę komunikator czasoprzestrzenny – facet starał się nadać swojemu głosowi maksymalnie dużo godności.

– Wstawaj, wstawaj – zezwolił egzorcysta, – bo jeszcze pomyślisz, że u nas, w dwudziestym wieku, gości się po podłodze tarza... A więc, jaki jest temat twojej pracy?

– Spisuję historię rządów Macieja Wędrowycza i w tym celu chciałem poznać też jego przodków...

Usiadł przy stole na krześle. Jakub podsunął mu musztardówkę.

– A to już słyszałem, że mój wnuk będzie przywódcą ludzkości – powiedział.

Gość ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

– No, przylazł tu kiedyś taki goły kulturysta, mówił że jest uczniem od szewca... A, o – wskazał dłonią przez okno.

Metalowy, mocno już zardzewiały kościotrup stał na polu w charakterze stracha na wróble.

– Prawdziwy terminator! – zdumiał się historyk. – Nie wiedziałem, że któryś został wysłany do tej epoki.

– Do rzeczy – egzorcysta sprowadził go na ziemię.

– Czego chcesz się dowiedzieć?

Nalał do szklanki bimbrow. Gość łyknął i zakrztusił się.

– Co to jest? – zapytał podejrzliwie.

– Bimber, zajzajer, berbelucha. Nie znacie tego?

– Spożywanie alkoholu etylowego zostało zakazane – wyjaśnił przybysz.

– Hy, prohibicja jest? – ucieszył się Jakub. – To zawiążemy spółkę. Przerzucisz mnie na miejsce, do twoich czasów. Ja urządzę bimbrownię, a zyskami się podzielimy.

– Ludzkość jest dumna, że opanowała tę plagę – gość ostrożnie odsunął od siebie szklankę.

– Ty to w ogóle kiedyś piłeś?

– Nigdy, i nie zamierzam.

Jakub westchnął.

– Czekaj, dam ci soku z malin.

Poszedł do spiżarki. Wyciągnął opróżnioną do połowy butelkę soku i dopełnił ją wódką. Wstrząsnął, żeby ciecze dobrze się wymieszały. Nalał historykowi do szklanki. Ten wypił z wdzięcznością.

– A wiec, czego chcesz się dowiedzieć? – zapytał.

– Nie mogę zrozumieć, jakim cudem w ciągu dwóch pokoleń twój wnuk wspiął się z tej rudery na szczyty władzy i został dyktatorem całej planety?

– Hmm. Niech pomyślę – powiedział Jakub. – Zapewne pomogły mu odziedziczone po mnie spryt życiowy oraz inteligencja – uśmiechnął się skromnie.

– Siedemsettomowa encyklopedia powszechna podaje, że miał pan inteligencję na poziomie 70 IQ przy normie sto.

– A to znasz?

Jakub wyciągnął z kieszeni ogryziony ołówek i szybko napisał na blacie stołu kilkadziesiąt cyfr.

– Liczba IT do pięćdziesiątego miejsca po przecinku? – historyk wytrzeszczył oczy.

– Chyba będziecie musieli poprawić wasze encyklopedie – zachichotał egzorcysta. – Słuchaj, a każdy może tak latać w przeszłość?

– Nie. Tylko uprawnieni. Żeby odlecieć, trzeba mieć odpowiedni klucz kodowy. Poza tym istnieje patrol czasu. W każdej epoce ustanowiono specjalne placówki. Gdy ktoś nieuprawniony pojawia się na miejscu, od razu go likwidują...

– Człowiek człowiekowi wilkiem – mruknął Jakub.

– Ach, nie. To nie są ludzie, tylko specjalne, sztucznie wyhodowane bioroboty. Oczywiście z zewnątrz, a nawet od środka, przypominają ludzi, tyle tylko, że mają zwiększoną odporność na urazy i infekcje.

– I nikt się nie skapnął?

– No co ty. Przecież są nie do rozpoznania. Dopiero porównanie tkanek pod mikroskopem pozwoliłoby na wykrycie różnic.

Egzorcysta poskrobał się po głowie.

– A ludziska nie widzą, że podejrzane? Niby siedzą, nic nie robią, a pieniądze mają?

– Och, na to też jest metoda. Nasi agenci pracują w różnych zawodach. Prowadzą sklepy, hotele i inne miejsca, gdzie mogą przybywać podróżnicy w czasie, żeby nawiązać z nimi kontakt bez wzbudzania podejrzeń.

Gość wychylił właśnie, trzecią szklankę soku. Patrzył już niezbyt przytomnie.

– Co się ze mną dzieje? – zapytał.

– A jak się czujesz? – zaniepokoił się Wędrowycz.

– Jakbym nic nie ważył...

– To tak zwany stan nieważkości. Bimber, bracie – puknął butelkę z sokiem.

– To przed tym uciekali nasi przodkowie?

– Bimber to siła napędowa cywilizacji ludzkiej – wyjaśnił egzorcysta. – A tak w ogóle, to

z którego jesteś wieku?

– Z dwudziestego szóstego – wymamrotał gość i klapnął jak długi na podłogę.

– Co się z tą ludzkością zrobiło? – pokręcił głową egzorcysta. – Zupełny zanik odporności. No, ale jak tyle pokoleń nie piją, to nic dziwnego.

Nakrył leżącego starym kocem i podszedł do budki telefonicznej. Była zamknięta.

– Cholera – mruknął, grzebiąc w kieszeni. Wyciągnął garść wytrychów, ale to mu nie pomogło, bo w drzwiczkach nie było dziurki od klucza, tylko szczelina jak w automacie telefonicznym. Jakub zaczął przetrząsać kieszenie śpiącego. Znalazł w nich wreszcie nieduży prostokąt z dziwnego metalu. Gdy tylko wetknął go w odpowiednie miejsce, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wszedł do środka i popatrzył uważnie na setki zegarów, pokręteł oraz przełączników.

– Kurde! – Przypomniawszy sobie, jak kiedyś, w Warszawie, usiłował przejechać się windą. Ale tam było tylko trzynaście guzików, a tu, na oko sądząc, dziesięciokrotnie więcej.

Nieoczekiwanie wypatrzył gałkę, a nad nią w okienku...

– Aha. Tego właśnie szukałem.

Cofnął się na chwilę do chałupy i zabrał kanister z bimbrem oraz zwitek poplamionych carskich banknotów.

– Pora ruszać w drogę. Odwiedzę dziadka i razem wykończymy Mychajłę Bardaka. Załatwimy go w przeszłości, to w teraźniejszości skasuje wszystkich jego potomków. Nazwę to paradoksem dziadka – powiedział zadowolony.

Przymknął oczy i z ukontentowaniem wyobrażał sobie świat pozbawiony Bardaków. To będzie cudowne... Ustawił pokrętkę na jesień 1888 roku i wcisnął czerwony guzik.

Wrażenie rozpadania się na atomy było nawet przyjemne.

Budka telefoniczna z trzaskiem wylądowała na pochyłym dachu. Drzwi otworzyły się automatycznie i Jakub, koziołkując, potoczył się po czerwonych dachówkach. Dopiero niski komin, starannie wymurowany z cegieł, zatrzymał jego upadek. Uderzył całym ciałem, a ściskana w rękę blaszka wpadła w czeluść.

– Cholera! – zaklął egzorcysta.

Klucz kodowy odbił się od wewnętrznej ściany komina, a potem rozległ się chlupot, jakby wpadł do jakiejś cieczy. W tym momencie kłapa prowadząca na dach otworzyła się ze zgrzytem. Wędrowycz ukrył się pospiesznie za załomem muru. Z otworu wygramoliły się dwie dziewczyny w obcisłych kombinezonach. Stały przed wehikułem i przez chwilę kontemplowały widok, wymieniając uwagi. Następnie jedna wsiadła do środka i maszyna zniknęła.

– Strażniczki czasu – wydedukował Jakub. – Kurde, zabrała wehikuł...

Druga dziewczyna zeszła do domu. Egzorcysta rozejrzał się. W okolicy rudery i kamienice, jakieś szopy i przybudówki sklecone z byle czego. Dołem, ulicą, przejechała dorożka.

– Może i jest rok 1888. Ale na Wojsławice to mi nie wygląda.

Podczołgał się do krawędzi dachu i wychyliwszy zajrzał przez okno na poddasze. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, były trzy budki telefoniczne stojące pod ścianą.

– Aha. Tu mają swoją bazę – szepnął.

W kominku wisiał spory gar, wewnątrz coś bulgotało.

– Dobra, zabrać klucz i do domu – mruknął. – Chlupnęło pewnie w tę owsiankę...

Zaczął podważać ramę okienną. W tym momencie do pomieszczenia weszło sześć dziewczyn. Jedna wyciągnęła gołą ręką garnek z paleniska i nalala gęstego puddingu do talerzy. Zaczęły jeść. Jakub czekał, aż któraś zakrzusi się blaszką, ale nic takiego nie nastąpiło. Zaklął wściekle i po rynnie zsunął się na ziemię. Nim stanął na bruku, w jego głowie dojrzał odpowiedni plan...

Z pamiętnika doktora Watsona

Pewnego sierpniowego wieczoru siedzieliśmy przy kominku. Londyn z wolna odżywał po całodziennym upale. Nakręciłem zegarek.

– Być może zainteresuje cię to, mój drogi Watsonie – Sherlock Holmes złożył czytaną gazetę i podał mi z uśmiechem. – Opisano tu zaiste niezwykłą zbrodnię...

Popatrzyłem na niego zaskoczony. Uśmiechnął się lekko i wprawnymi ruchami zaczął nabijać fajkę jakimś zielonym świństwem, które ostatnio palił zamiast tytoniu.

– O mój Boże! – zawołałem, wczytując się w treść artykułu.

– To zagadkowe – powiedział mój przyjaciel, pykając z fajki. – Zwróć uwagę. Ofiarą była trzydziestoletnia hmm... kobieta publiczna o imieniu Mary. Zabójca dopadł ją w jednym z zaułków dzielnicy Łajtczapel, gdzie zapewne czatowała na klientów, aby sprowadzać ich z drogi cnoty.

– Podciął jej gardło dziwnym narzędziem pozostawiającym szarpane rany, można powiedzieć, że uciął jej głowę – uzupełniłem ponuro. – Następnie rozpruł brzuch i rozwłóczył wnętrzności naokoło latarni.

– Właśnie – mruknął Holmes. – Jak gdyby potrzebował światła. To jest właśnie dla mnie w tym najdziwniejsze. Mordercy wolą kryć się w cieniu.

Zamyśliłem się głęboko.

– Sądzę, przyjacielu, że być może znam motywy jego zachowania – powiedziałem.

Holmes pyknął z fajeczki i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Mnie dotąd nic nie udało się wydedukować – przyznał. – Mów proszę, drogi Watsonie. Twoje cenne uwagi wielokrotnie wcześniej naprowadzały mnie na właściwy trop.

– Gdy służyłem w armii na Bliskim Wschodzie, kilkakrotnie spotkałem miejscowych wróżbitów, podających się za potomków starożytnych Chaldejczyków. Odczytywali przyszłość, czy też raczej wmawiali naiwnym oficerom, że potrafią to zrobić. Słono ta usługa kosztowała, ale nasi chłopcy byli młodzi, a przez to naiwni, jak to w ich wieku. Niejeden funt,

który królowa wypłaciła im w ramach żołdu, zniknął w kieszeniach tych obszarpanych magów.

– Wedle jakiej metody wróżyli, bo dedukuję, że to jest klucz do powiązania twojej opowieści z tym ohydny morderstwem?

– Wróżyli z wnętrzości zwierzęcych. Zabijali owcę, wyjmowali wnętrzości, rozciągali je na ziemi, a potem z parujących jeszcze kiszek i wątroby usiłowali odczytać naszym oficerom przyszłe losy. W większości przypadków, ze złośliwą radością, przepowiadali im szybki i tragiczny koniec, i rzeczywiście, wkrótce przyszli Turcy, a wraz z nimi dżuma i tyfus. Wielu dzielnych chłopców pozostało na wieczną wartę pośród piasków Bliskiego Wschodu.

Brwi Szerloka Holmesa uniosły się lekko.

– Sugerujesz, drogi Watsonie, że mamy tu do czynienia z człowiekiem, który usiłuje odczytać przeszłość z ludzkich wnętrzości?

– Tak sędzę. Sam widziałem kiedyś tuż po bitwie jednego z tych „proroków”, jak na pobojuwisku oprawiał tureckiego trupa.

– Czyli, można powiedzieć, zagadka została rozwiązana – uśmiechnął się z zadowoleniem mój przyjaciel. – Mordercy należy szukać pośród przybyszów z Lewantu, prowadzących salony wróżb. Musi to być człowiek stosunkowo silny, zapewne dobrze zbudowany. Jak mierniam, wśród jego klienteli trafiają się zblazowani arystokraci, zatem jego salon wróżb znajdować się musi niedaleko Pałacu Bakingam. Czy możesz mi podać z powrotem „Tajmsa”?

Ochoczo spełniłem prośbę. Przeglądał przez chwilę stronę z ogłoszeniami, a potem z uśmiechem pyknął z fajki.

– Archibaldus Dinozauropulos – Mag chaldejski. Naukowe przepowiadanie przyszłości. Klientela z najwyższych kręgów towarzyskich. Referencje. – odczytał anons.

– Hmm – zamyśliłem się. – Nazwisko wydaje mi się greckie.

– Możesz wierzyć mojemu ogromnemu doświadczeniu, drogi Watsonie. Jestem pewien, że to nasz ptaszek.

Pociągnął za sznur dzwonka, po czym skreślił pospiesznie jakiś list.

– Proszę przesłać tę kartkę przez posłańca inspektorowi Lestrade’owi – polecił mój przyjaciel, wręczając jej kopertę wraz z monetą dwudziestopenową.

Wyszła. Detektyw pyknął z fajeczki.

– Można powiedzieć, mój drogi Watsonie, że dzięki twojemu doświadczeniu wojskowemu udało nam się schwytać groźnego zbrodniarza, nie ruszając się na krok z mieszkania...

Popatrzyłem na niego z podziwem.

– Ludzie będą mogli dziś w nocy spać spokojnie – powiedziałem. – Ale skąd pewność, że Lestrade go złapie?

– Och, salon wróżb jest czynny od osiemnastej do dwudziestej. Nasz przyjaciel inspektor

otoczy ze swoimi policjantami tę spelunę i wykurzy go jak borsuka z nory.

Odłożył wypaloną fajkę i z zadowoleniem ujął w dłoń skrzypce. Grał przez cały wieczór, wyraźnie rad z kolejnego sukcesu.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu. Posmarowałem grzanek masłem i akurat unosiłem ją do ust, gdy zapukała pani Hudson. Przyniosła poranną gazetę i czajnik z herbatą. Nalałem sobie do filiżanki aromatycznego napoju. Holmes ujął w dłoń gazetę i szybko przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. Zauważyłem, że jego twarz spochmurniała.

– Zapewne cię to zaciekaWi – powiedział, podając mi dziennik.

Ująłem „Tajmsa”. Grubą czcionką wybijał się tytuł:

Nożownik powrócił! Odłożyłem gazetę i dokończyłem kanapkę.

– Zaatakował znowu – stwierdził Holmes. – Zmasakrował kolejną upadłą kobietę... Tym razem jego ofiara to niejaka Margaret, lat dwadzieścia sześć. Wypruł jej tylko flaki.

– Czyli nie rozwlekl wnętrzości po ziemi? – upewniłem się.

– Właśnie – mruknął. – Ponieważ piszą tu, że podejrzewany o morderstwo Dinozauropulos został wczoraj aresztowany i spędził noc w areszcie, myślę, że twoja teoria o wróceniu z wnętrzości tym samym upadła... Co gorsza, ja ciągle nie mam pojęcia, dlaczego on to robi. Musimy chyba zdobyć więcej informacji. Ale oto i Lestrade.

Inspektor wszedł do naszego mieszkania.

– Witam, panowie – powiedział. Poczestowany herbatą, usiadł.

– Oddaliście mi wczoraj niedźwiedzią przysługę – stwierdził ze złością. – Aresztowałem wam tego Dinozauropulosa. Trzymaliśmy go do rana na śledztwie. Załamał się zupełnie. Przyznał się do wszystkiego. A tu o świcie dowiadujemy się, że morderca znowu grasował po mieście. Co gorsza, w sprawie tego maga interweniowała osobiście królowa Wiktoria. Jego aresztowanie omal nie doprowadziło do katastrofy naszej polityki zagranicznej.

– To on jest taki ważny? – zdziwiłem się.

– Na podstawie jego przepowiedni opracowuje się wytyczne dla ministerstwa spraw zagranicznych na całe dziesięciolecie naprzód – wyjaśnił Lestrade. – Mój szef omal nie rozstał się ze stanowiskiem... I jeszcze ta druga zbrodnia. Morderca jest ciągle na wolności.

– Chyba powinniśmy obejrzeć miejsce zdarzenia, skoro już zostaliśmy włączeni do tej przykrew sprawy – uśmiechnął się Holmes. – Watsonie, nie widziałeś gdzie mojej laski?

Takoż po upływie kwadransa wysiedliśmy z dorożki w dzielnicy.

Łajtczapel. W powietrzu unosiła się woń wyziewów wielkiego miasta. Policjanci ogrodzili teren i rozpedzili gapiów. Nakryta prześcieradłem ofiara leżała ciągle w miejscu, gdzie ją znaleziono.

– Co o tym sądzisz, Watsonie? – zapytał Szerlok.

Uniosłem prześcieradło i przez dłuższą chwilę badałem wzrokiem ciało.

– Uderzenie zadano prawdopodobnie od tyłu – zauważyłem. – Ostrze wyszło z przodu,

wyrywając krtań... Następnie zbrodniarz rozpruł brzuch kobiety, dobierając się do żołądka. Wyciągnął też część jelit i porozcinał je...

Opuściłem płótno i odszedłem na stronę, gdzie mój żołądek pozbył się śniadania. Gdy wróciłem, Sherlock Holmes badał lupą ślady na oblesnie brudnej ścianie pobliskiej kamienicy.

– Uderzenia zadano ze straszliwą siłą – powiedział w zadumie. – Krew chlapnęła aż tutaj.

– O ile to krew z naszego morderstwa – Lestrade wzruszył ramionami. – Równie dobrze może być z zeszłego tygodnia. Tu takie rzeczy często się zdarzają...

– Zastanawia mnie stopień rozkładu zwłok – powiedziałem dezynfekując przełyk zawartością niedużej piersiówki. – Wyglądają, jakby leżały tu co najmniej trzy dni.

– Nie, niemożliwe – odparł Lestrade. – Przedwczoraj przechodził tędy patrol policji. Zauważyliby ciało, jak mniemam.

– A kto je znalazł?

– Jakiś lekarz. Chyba Szwajcar, podał takie niemieckie nazwisko. Coś jakby Einstein, tak, Frank Einstein.

– Został zatrzymany? – zapytał mój przyjaciel. – A może chociaż przesłuchany?

Lestrade wzruszył ramionami.

– Ależ po co?

– Miał fartuch i stetoskop na szyi – wyjaśnił inspektor. – Na fartuchu były ślady krwi, widać świeżo po operacji szedł do domu.

– To faktycznie brzmi „prawdopodobnie” – kiwnął głową Holmes. – No cóż, dziękujemy, Lestrade. Nic więcej nie uda się z tego wydedukować – gestem objął walące się rudery i ciało leżące na ulicy. – Ktoś sprzątnie te zwłoki?

– Tak, koroner podjedzie po południu i jeśli jeszcze będą leżały, zabierze je do kostnicy rządowej.

Opuściliśmy to ponure miejsce. Tuż koło dorożki zaczęła nas ruda ulicznica o bezczelnym spojrzeniu.

– Hej, detektywi, nie mielibyście ochoty rozwikłać kilku zagadek? – Przeciągnęła się lubieżnie i bezwstydnie. Zamierzyłem się na nią laską, a Holmes przeżegnał się odruchowo i splunął.

– To plugastwo trzeba by wywieszać do nogi – warknął. – Niszczą więzi rodzinne i demoralizują młodzież.

– Czyżbyś sympatyzował z naszym nieuchwytnym mordercą? – wyraziłem zdumienie.

– Przecież mówię, drogi Watsonie, powiesić, a nie wypruwać wnętrzności – odparł z godnością. – Zastanówmy się raczej nad kolejną teorią. Czy coś ci przychodzi do głowy?

– Mam pewną sugestię – powiedziałem. – W ostatnim numerze miesięcznika chirurgicznego „Lancet” opisywano teorię o zastępowaniu chorych narządów wewnętrznych człowieka zdrowymi, pobranymi od niedawno zmarłych.

– Fascynujące. Nie wiesz czasem, czy już weszli w etap prób?

– Szczerze mówiąc, niezbyt pamiętam. To świeża teoria, z pewnością wymaga jeszcze wielu badań, ale jeśli się powiodą, staniemy przed zgoła oszałamiającymi perspektywami. Czytałem też polemikę, w której ktoś stwierdzał, że narządy w zwłokach obumierają nazbyt szybko, zatem do celów transplantacji niezbędne będą organy pochodzące z bardzo świeżych ciał albo nawet z ludzi jeszcze żyjących.

Sherlok kiwnął głową i zapalił fajkę.

– Jeśli próby się powiodą, da to fantastyczne możliwości kryminalistom – powiedział. – Tysiące nowych, fascynujących zbrodni. Czy przypuszczasz, drogi Watsonie, że ten morderca to jakiś prekursor transplantologii i wycina z ciał narządy, aby eksperymentalnie wszywać je jakimś innym obiektom naukowym?

– Tego nie da się stwierdzić, dopóki nie zbadamy dokładnie, czy z ciała czegoś nie wycięto – odparłem. – Gdy zaglądałem, chyba wszystko było na swoim miejscu, a to, czego brakowało, leżało na ulicy. Czyli można powiedzieć, że na miejscu zdarzenia był komplet.

Mój przyjaciel posmutniał.

– Czyli teoria o transplantatorze-zabójcy upada – mruknął. – Zatem spróbujmy wydedukować coś nowego.

Choć dedukowaliśmy wspólnie aż do wieczora, wspomagając się ginem dla zwiększenia dedukcji, nie doszliśmy do żadnych wniosków. Wreszcie przed udaniem się na spoczynek, Holmes powiedział ze złością:

– Mamy za mało danych. Chodźmy spać, a jutro, gdy będzie kolejna ofiara, dowiemy się może, o co tu chodzi.

Kolejna ofiara, nosząca przed śmiercią imię Susan, została wypatroszona równie sprawnie jak poprzednie. Jej wnętrzności spływały malowniczą kaskadą po schodach.

– Hmm – powiedział Holmes, pykając z fajki. – To mi wygląda na robotę psychopaty.

– Dlaczego? – zainteresował się Lestrade.

– To proste, inspektorze. Ofiary dobierane są zupełnie przypadkowo. Nic ich nie łączy.

– Są w podobnym wieku, wszystkie są blondynkami i uprawiają tę samą „profesję” – zauważyłem.

Holmes uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Nie są w zbliżonym wieku. Pierwsza miała trzydzieści lat, druga dwadzieścia sześć, a ta dwadzieścia siedem.

– Może kolejna będzie miała dwadzieścia osiem? – zamyślił się Lestrade.

– E, bzdury – powiedział Holmes. – Równie dobrze może wybierać coraz wyższe albo coraz niższe... Zabójca znów nie zostawił żadnych śladów.

– Zaraz, a to odbicie zakrwawionej dłoni na drzwiach domu? – przypomniałem.

– Ach, tak. O ile to dłoń zabójcy.

– A niby czyja? – zdziwił się Lestrade.

– Jakiś przechodzień mógł potknąć się, wpaść w kałużę krwi, a potem ubrudzoną rękę

obetrzeć o deski – wyjaśnił Holmes. – Mój drogi Lestrade, pamiętaj o dedukcji. Powinieneś zawsze przewidywać wszelkie możliwe warianty rozwoju sytuacji... Nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Poza tym te straszliwe obrażenia. To na pewno była robota psychopaty.

– Jak na psychopatę, nieźle zna się na anatomii – powiedziałem, świecąc małą, ręczną latarką karbidową do wnętrza opróżnionej jamy brzusznej ofiary. – Chyba brakuje jednej nerki.

– Hmmm – mruknął Holmes. – To by potwierdzało teorię o transplantatorze.

– Jakim plantatorze? – zainteresował się policjant.

– A nic, tak mi się powiedziało – odrzekł mój przyjaciel. – A więc, właściwie nie mamy prawie żadnych śladów.

Popatrzyłem pod nogi.

– Czekajcie – powiedziałem, – zwróćcie uwagę na te plamy. Wyglądają, jakby ktoś wdepnął w kałużę krwi, a potem poszedł w tamtą stronę.

Holmes podniósł nogi i popatrzył na podeszwy butów.

– To nie ja – stwierdził.

– Ja też nie – Lestrade zlustrował swoje kamaszki.

– Może chodźmy tym tropem – zaproponowałem. Poszliśmy. Na końcu ścieżki śladów znajdowały się drzwi, na których już wcześniej wypatrzyliśmy odcisk zakrwawionej ręki. Upačkane krwią buty stały na progu.

– Ha! – rzekł Holmes. – Czyli jednak nie wszedł do środka.

– Pewnie go nie wpuścili – zauważył przytomnie Lestrade. – Żaden porządny obywatel mieszkający w tej dzielnicy nie wpuściłby pod swój dach mordercy.

– W tej dzielnicy nie mieszkają porządni obywatele, ale rozumiem, co chciałeś powiedzieć – uśmiechnął się Szerlok. – Skoro tutaj nie wszedł, to znaczy, że poszedł gdzieś dalej. No i szukaj wiatru w polu.

– Może coś wydedukujemy z tych butów? – zaproponował Lestrade.

Detektyw uśmiechnął się szeroko.

– Widzę, że zaczynasz myśleć – powiedział z uznaniem. – Ano zabierzmy je na komisariat.

Ustawiliśmy buciory na stole służącym do oględzin denatów i narzędzi zbrodni.

– Co można o nich powiedzieć? – mruknął Holmes. – Po pierwsze, strasznie niezgrabne.

– Są z kauczuku – dodałem. – Łączonego z jakąś przemysłową włókniną.

– To chyba kiepski gatunkowo filc – zauważył Lestrade. – Ale owo tworzywo nie jest kauczukiem. Znam się na tym, bo kiedyś walczyłem z jego przemysłem. Zresztą, można dać do analizy albo porównać...

Po chwili przyniósł swoje kauczukowe kalosze. Faktycznie były inne w dotyku.

– Czy istnieją jakieś substancje mogące zastąpić kauczuk? – zapytał inspektora mój

przyjacieli.

– Niestety nie, dlatego przemysł jest tak opłacalny.

Kiwnąłem poważnie głową.

– Czyli to musi być zupełnie nowe tworzywo – mruknął Holmes. – Dziwny ten but...

– Faktycznie, dość pokraczny – przyznałem.

– Jednak wygląda na wyrób przemysłowy.

– Zaraz, zobaczmy, czy w środku nie ma czasem nazwiska właściciela – błysnąłem pomysłem.

W pięć minut później Lestrade wypełniał list gończy za niebezpiecznym zabójcą, noszącym słowiańskie nazwisko Stomil Olsztyn.

Jakub zapakował wyciętą nerkę do pudełka.

Sami sprawdźcie. One nie są ludźmi. – Nabazgrał na kartce i złożony podpis, zamknął paczkę. Nalepił na niej garść polskich znaczków skarbowych i z pewnym wysiłkiem wcisnął do skrzynki na listy.

– Ciekawe, czy dziś w nocy znowu zaatakował? – zastanawiałem się, skubiąc zębami grzanekę.

– Hmm – mruknął Holmes. – Niewykluczone. – Rozłożył poranne wydanie „Tajmsa”. – O, miałaś rację. Jest tu artykuł. Znowu rozpruł dwie kobiety. Zawód wiadomy, kolor włosów rudy. A myślałem, że on zabija tylko blondynki.

– Być może rude kobiety mają lepsze nerki do przeszczepiania – zauważyłem.

– A figę, przyjacielu – odezwał się Szerlok. – Nerka, która zaginęła, właśnie się znalazła.

– Gdzie? – zaciekałem się.

– W redakcji gazety „Pal Mcii”. To obala twoją teorię o przeszczepach. Trzeba wymyślić nowy motyw.

– Hmmm. A co ona robiła w redakcji?

– Przyszła pocztą – Holmes pyknął z fajki. – To oznacza, że któryś z dziennikarzy jest ludożercą.

– Ludożerca w Londynie? – wyraziłem zdumienie.

– To chyba niemożliwe.

– Skoro są na Nowej Zelandii, która jest naszą kolonią, to dlaczego nie ma ich być w metropolii? A więc dziennikarz-ludojad. Hmm. Możesz mi podać skoroszyt z wycinkami prasowymi?

Przyniosłem posłusznie.

– Oto nasz ptaszek – Szerlok wskazał jedno z nazwisk.

– Edward Malone. Przed kilku laty brał udział w wyprawie profesora Challengera do Ameryki Południowej. Natrafili tam na plemię pitekanthropów, jedzących ludzkie mięso. Tak

więc poszlaki wskazują na niego.

– A jak mu to udowodnimy?

– Będzie nam potrzebna świeża ludzka nerka. Zwabimy go w pułapkę.

– Skąd mam wziąć ludzką nerkę?

Sherlock uśmiechnął się lekko.

– Przyjacielu, przecież jesteś lekarzem. Wytnij komuś.

Poskrobałem się po głowie.

– Coś wymyślę – obiecałem.

Holmes ponownie rozłożył gazetę.

– O, tu pisałeś, że zabójca razem z nerką przysłał list.

– Do kogo adresowany?

– Do redakcji. Popatrz, jaki spryciarz. Kryje swojego przyjaciela Malone’a. Ale to nic. Aresztujemy obu, jego i tego Stomila.

– To imię brzmi jak rosyjskie – zauważyłem.

– Czekaś, co było w tym liście? Aha. Piszę, że zabójca zjadł drugą nerkę. Napisał o tym do nich. A list podpisał Jakub Wędrowycz. Dedukuję że zabójca wysłał nerkę do redakcji żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Na pewno nie zjadł drugiej, bo na miejscu zdarzenia brakowało tylko jednej. Chyba że przegapiliśmy jakieś zwłoki...

– Wędrowycz! Ciekawe, co to może znaczyć? To chyba po serbsku albo w jakimś równie egzotycznym języku.

– Redaktor naczelny odcyfrował je za pomocą słownika wyrazów obcych jako Rozpruwacz.

– Kuba Rozpruwacz – mruknąłem. – Coś mi się zdaje, że będą kolejne ofiary...

– Popatrz, jaki sprytny! – wykrzyknął Holmes. – Nazywa się Stomil Olsztyn, a tymczasem podpisuje się pseudonimem...

Ostatnia strażniczka spośród tych, które jadły pudding feralnego dnia, gdy Jakub przybył do Londynu, stała pod latarnią. Egzorcysta podkraść się po cichutku.

– Te, mała, chcesz się zabawić? – zadał po angielsku pytanie podsłuchane koło sąsiedniej latarni.

– A masz, dziadu, pieniądze? – odpowiedziała beczelnie. Przez kontekst zrozumiał. Pokazał jej sturublowy banknot.

– Nie zadaję się z Rosjanami – skrzywiła pogardliwie wargi.

Uderzył bagnetem od kałasznikowa w szyję, przecinając kręgosłup. Zręcznie rozerwał ubranie i wypruł flaki. W mętym świetle gazowej latarni grzebał w jelitach. Nigdzie nie było jednak ani śladu przeklętej blaszki!

– Kopsnij wątrobę, koleś – rozległ się sympatyczny głos. Jakub, który przełączył się właśnie na telepatię, zrozumiał go bez trudu.

Wyciachał narząd i podał mu. Przybysz zręcznie zawinął organ w gazetę.

- Ktoś ty? – zagadnął egzorcysta bardziej pro forma niż z ciekawości.
- Doktor Wiktor Frank Einstein.
- Twój wnuk będzie fizykiem – uśmiechnął się Jakub. – Po co ci ten ochłap? Lisy futerkowe trzymasz?
- Nie. Chcę ożywić martwą materię.
- To kiepsko się nadaje do twoich celów. Szybki rozkład, syntetyczne gówno – wyjaśnił Wędrowycz. – Ale powodzenia.
- A ty, czego szukasz? Kamieni żółciowych?
- Ano, jedna kobitka połknęła taką fikuśną blaszkę, która jest mi potrzebna...
- To ty wypatroszyłeś je wszystkie?
- Jasne. Urobiłem się po łokcie i gówno...
- Czekaj, kiedy połknęła?
- Będzie gdzieś z pięć dni.
- Ty dumny, dawno już to wydalila. Jakub palnął się w czoło, aż zadudniło.
- Jasne! Sprawdzę w wychodku. Dzięki – uściśnął dłoń nieznajomego, po czym rozeszli się do swoich zajęć.

Tego wieczora słynny detektyw zaszedł do biura swojego przyjaciela, inspektora Lestrade'a.

- Czym mogę służyć? – Oficer na jego widok uśmiechnął się znacząco i wyciągnął z szuflady flaszkę whisky. Wypili, zakąsili, wypili na drugą nogę.
- Domyślam się już, kim jest Rozpruwacz – spokojnie powiedział Holmes.
- Ach tak. Aresztowaliśmy Malone'a i profesora Challenge'a. Dostali lekki łomot pałami i teraz obciążają się nawzajem, Malone zeznał, że profesor w Ameryce Południowej jadł małpie mięso i narzekał, iż smakuje podobnie jak ludzkie, co znaczy, że znał jego smak. Profesor opowiedział, jak Malone upiekł i spożył przedstawiciela *Pitecantropus erectus*. Ale od czasu, gdy ich zapudłowaliśmy, Rozpruwacz rozpruł kolejną kobietę.
- Czyli mają alibi... Jak poszukiwania Stomila?
- W martwym punkcie, ale daliśmy znać wszystkim posterunkowym.
- Mam nowy trop. Tym razem uderzymy w sam cel.

Brwi policjanta uniosły się do góry.

- Kto?
- Głupio powiedzieć, ale Rozpruwaczem jest doktor Watson.
- Coś podobnego. Skąd wiesz?
- No cóż. Po pierwsze, nie ma alibi na czas żadnego z morderstw.
- Myślałem, że mieszkają panowie razem.
- Owszem, ale w jego części mieszkania jest dodatkowe wyjście. Zapewne wymyślał się

nocami... polować.

– Rozumiem. Czy są jakieś poszlaki dodatkowe? – Cała masa. Ciągłe kierował śledztwo na fałszywe tory. Najpierw bredził o wrózeniu z wnętrzości, co doprowadziło do aresztowania pana Dinozauropulosa. Potem o przeszczepach narządów wewnętrznych. To oczywiście bzdura, odciętej ręki nie można przyszyć, a co dopiero nerkę!

Później doprowadził do aresztowania cenionego profesora i jego zacnego przyjaciela dziennikarza, wreszcie te buty znalezione na miejscu zbrodni. Jak przebiegle odkrył w ich wnętrzu nazwisko właściciela! Ale przejrzałem jego podłg grę. Pewnie sam je tam podrzucił...

– Faktycznie, to wystarczy, żeby go skazać – ucieszył się Lestrade. – Wezmę dziesięciu ludzi i idziemy po niego...

Jakub wynurzył się z wychodka, dzierżąc nieciekawie umazaną srebrną blaszkę.

– No – powiedział. – Pora wracać. Wsiadł do budki stojącej z lewej.

– Cholera – mruknął. – Jak tu skoczyć do domu? Rozejrzał się w zadumie po wnętrzu.

– Tak na chłopski rozum powinno gdzieś tu być ustrojstwo do ustawiania stacji docelowej. O, na przykład to.

Na niedużym ekranie płonęły literki.

– Londyn – przesylabizował. – Aha, czyli ten historyk za dychę chciał lecieć ode mnie do Londynu i dlatego wszystko się pokiełbało. Datę ustawiłem, a miejsca nie... Czyli teraz trza datę i nazwę wsi.

Pod ekranikiem znajdowała się nieduża klawiatura. Jakub wpisał „Stary Majdan”. Na tarczy ustawił datę i godzinę. Wcisnął czerwony guzik i po chwili ze wzruszeniem oglądał stare, znajome, zarośnięte pajęczynami kąty swojej chałupy.

– Dobrze wrócić do siebie – westchnął. – A że z Bardakami nie wyszło, to nawet i lepiej. Gdybym nie miał wrogów, nudno by było na tej emeryturze...

W pięć minut później obudził się historyk.

– Mogę dać ci wody, ale uwierz mojemu doświadczeniu, klin najlepiej klinem wybijać.

Egzorcysta nalał mu szklanę bimbru.

– Rany, gdzie jest klucz kodowy? – Historyk pomacał się po kieszeni. – Pomóż mi szukać, bez tego nie wrócę do domu...

– Spoko. Siedzi pewnie w drzwiach tej twojej budki. Chyba wczoraj zapomniałeś wyjąć...

– Ach tak...

Podszedł do maszyny czasu i wyciągnął blaszkę za wystający koniec. Potem podejrzliwie popatrzył na swoje palce i pociągnął nosem, a jego twarz przybrała wyraz udręki. Jakub udał, że niczego nie zauważył.

– Zdaje się, że masz jakieś pytania – uśmiechnął się. – Jeśli jesteś gotów, to weź długopis i notuj...

Epilog

Sierpień 1918 r.

Doktor Watson trzęsącą się dłonią wyrył na murze celi trzydziestą kreskę rocznicową... Wrócił do stolika i długo wodził piórem po pożółkłych nieco kartkach.

– Wiesz, nie rozumiem cię – odezwał się ze swojej pryczy Tom, stary przemytnik, zapudłowany, jak i Watson, na dożywocie za skasowanie kilku celników. – Facet cię wpakował do pierdła na całe życie, a ty opisujesz jego dokonania...

– Wpakował – przyznał niechętnie doktor. – Ale to mimo wszystko był geniusz. Nie chcę, aby ludzkość o nim zapomniała.

– Moim zdaniem, to ten cały twój Holmes był Rozpruwaczem – mruknął szmugler. – To dziwne, że zabójca przestał mordować akurat tego dnia, kiedy cię zapuszkowali.

– Sam chciałbym wiedzieć, dlaczego przestał – westchnął Watson.

Drzwi celi otworzyły się z hukiem. Stał w nich strażnik. W ręce trzymał paczkę.

– Te, Rozpruwacz, jest dla ciebie przesyłka.

Rzucił mu pakunek i wyszedł. Doktor rozerwał szary papier i wysypał na stół pięć egzemplarzy autorskich. Tom uniósł jeden do oczu.

– „Przygody Szerloka Holmesa” – przeczytał tytuł.

– Dlaczego podpisane Artur Konan Dojl? To przecież twoja książka...

– Musiałem użyć pseudonimu – westchnął Watson.

– Wydawca nie chciał się zgodzić...

– Ja tam na handlu literaturą się nie znam, ale moim zdaniem ludziska chętniej kupowałyby książki podpisane Kuba Rozpruwacz...

WYCIECZKA

Właściwie Jakub Wędrowycz nie lubił podróżować. A po pamiętnych przygodach w Moskwie nabrał ostatecznego wstrętu do wyjazdów zagranicznych. Tak przynajmniej mówił. Prawda była trochę inna. Mimo odłożonych znacznych kapitałów bał się jeździć za granicę, gdyż nie znał obcych języków. Mówił wprawdzie biegle po rosyjsku, ukraińsku i trochę w jidysz, ale już na przykład niemiecki stanowił dla niego istną tabula rasa, a angielski była to całkowita terra incognita.

Oczywiście podczas wojny musiał się z okupantami dogadywać, ale wówczas były trochę inne czasy. Większość napotkanych Niemców na widok jego wyszczerzonych zębów, obłędu w oczach i zachłapanego krwią aż po rękojeść majchra w łapie, ściśle wykonywała polecenia wydawane po polsku. Gdy tylko nastąpił krach poprzedniego ustroju, osiemdziesięcioletni wówczas Jakub natychmiast sprawił sobie paszport.

Z bliżej niewyjaśnionych przyczyn dokument takowy został mu wydany. Widocznie urzędnicy, zawaleni stertami podań przegapili fakt iż wioskowy egzorcysta był wielokrotnie notowany za kłusownictwo, a także profanację grobów. Z dokumentem w kieszeni i motyką w ręce przekopał kawałek swojego sadu, a wydobywszy z ziemi pewną ilość słoików po powidłach wypełnionych różnymi banknotami ruszył do Warszawy. Ze stolicy wrócił całkiem zadowolony. Dopiero w przeddzień kolejnego wyjazdu, pewnego grudniowego poranka gruchnęła po wsi wieść:

– Jakub Wędrowycz jedzie do Egiptu!

Jakub nie zawiódł kumpli i pojawił się w gospodzie. Oczekiwano go niecierpliwie. Gdy wreszcie przyszedł zaciągnięto go do stolika. Od razu pojawiły się butelki z piwem.

– Nu, opowiadaj – powiedział Tomasz, nalewając do kufła.

– Co mam opowiadać, jak jeszcze nie pojechałem?

– Nie zamydlaj oczu. Gadaj.

Jakub poskrobał się z frasunkiem po głowie.

– Egipt leży w Afryce. Są tam piramidy i mumie.

Paru co bardziej nerwowych gości bluznęło wiązankami, bo o tym to już słyszeli w telewizji. Kumple Jakuba zaczęli ich łać po mordach. Wywiązała się ogólna bijatyka. Gdy

wreszcie emocje opadły i można było słuchać dalej, okazało się że Jakub przywłaszczył sobie cztery butelki i zniknął w zamieszaniu. Wiąchy poleciały znowu, ale tym razem obyło się bez rękoczynów.

Jakub Wędrowycz zazwyczaj miał pecha, jeśli chodzi o kontakty ze służbami mundurowymi. Milicja przymykała lub prześladowała na inne sposoby. Wojska Ochrony Pogranicza strzelały do niego, gdy w młodości zajmował się szmugłem. Leśnicy także obrzydzali życie. Ba, nawet kolejni proboszczowie z Wojsławic lubili ciskać na niego klątwy. Teraz także trafili się dwaj złośliwi celnicy.

Z bliżej nie wyjaśnionego powodu najpierw długo wodzili spojrzeniami po jego ubiorze. Jakub był tym nieco poirytowany, tym bardziej że nie rozumiał ich zainteresowania. Ubrany był tak jak zwykle. Miał na sobie waciak z doszytymi dodatkowymi kieszeniami, portki z płótna workowego z kawałem sznura zastępującym pasek, podgumowane walonki, a na głowie karakułową papachę.

– Proszę otworzyć walizkę – zażądał ten z wąsami.

Jakub nie lubił rewizji, gdyż w przeszłości konfiskowano mu całą masę rzeczy takich jak nielegalnie przechowywana broń, kostki trotylu, którymi palił w piecu, czy siedemnastowieczne ikony. Tym razem jednak posłuchał. Celnicy wywalili gały. W walizce było niewiele rzeczy, ale zebrany asortyment zaskoczył ich całkowicie. Bochenek chleba zawinięty w szmatę, pół litra dziwnej mętnej cieczy o zapachu zbliżonym do wódki, wyostrzony jak brzytew bagnet, para dość wonnych kapci, zwitek cienkiego drutu, świeczka, rozsypująca się ze starości książka oraz drewniany kołek. Na dnie walizki przyklejono butaprenem mapę Egiptu wyciętą ze szkolnego atlasu historycznego.

– To wszystko? – zdziwił się celnik bez wąsów.

– Aha – powiedział Jakub. – A co za mało?

Celnik wzruszył ramionami. Jakub zamknął walizkę i ruszył naprzód. Właśnie przechodził pomiędzy zupełnie niewinnie wyglądającymi słupkami, gdy włączył się alarm. Egzorcysta padł płasko na podłogę. Wybuchło nieliczne zamieszanie. Szczęśliwie w chwili gdy nikt na niego nie patrzył, zdołał wyciągnąć z kieszeni odrapany rewolwer i wepchnąć go pod ladę, na której sprawdzano walizki. Nie minęło specjalnie dużo czasu i znalazł się w ciasnym pomieszczeniu w towarzystwie obu celników.

Wachmani przeszukali go gruntownie. Ze szwu nogawki spodni wyciągnęli metrowy kawałek linki hamulcowej

– A to do czego? – zaciekawił się jeden z mężczyzn podnosząc z wyraźnym obrzydzeniem linkę. Była nasmarowana woskiem żeby nie zardzewiała.

– Na pieski – wyjaśnił egzorcysta dobroduszenie.

– Jakie pieski? Co to ma, do cholery...

– Jestem ubogim emerytem. Łapię bezdomne psy, duszę linką i zjadam.

Drugi celnik rzucił się w stronę ubikacji, ale nie zdążył.

– Ładnie to tak? Konfiskujemy. Właściwie to takich jak pan nie należy wypuszczać za granicę, bo wstydu narobią.

W tej chwili, do pokoju, wpadł inny facet w mundurze.

– Złapaliśmy jednego z fałszywą walutą! – zaraportował.

– Fajt – powiedział pierwszy celnik wskazując Jakubowi drzwi. – Tym razem się panu upiekło.

Przechodząc koło niego egzorcysta ze zręcznością kieszonkowca zwędził swoją linkę hamulcową i brzeszczot. Omijając podejrzone słupki, wpuścił ją sobie z powrotem w szew spodni.

Palanty – pomyślał pod adresem kontroli.

Pochylił się i udając, że zawiązuje but, co wobec faktu iż miał na nogach walonki, było niezbyt zręcznym wybiegiem, popatrzył za swoim rewolwerem. Poskrobał się po głowie i doszedł do wniosku, że leży za daleko, żeby można było się po niego wrócić bez zwrócenia uwagi. Tłum stopniowo wypchnął go do poczekalni. Westchnął i poddał się. Nawet nie było mu specjalnie żal. Ostatecznie w domu miał jeszcze kilka pistoletów, a niewykluczone że tam w Egipcie też mieli takie wredne, piszczące słupki.

Pierwszą rzeczą, którą Jakub zrobił po wylądowaniu i zejściu na pas startowy, było rozpięcie waciaka. Nikt go wcześniej nie uprzedził.

Osiemdziesiąt lat wcześniej, gdy chodził do szkoły, wbijano mu do głowy, że w Afryce jest gorąco, ale nigdy w to do końca nie uwierzył, a poza tym zdążył zapomnieć. Wyszedł na ulicę i rozejrzał się uważnie. Sądził, iż wprawdzie stawiali tu chałup od metra, ale piramidy są na tyle duże, że będzie je widać zza domów. Niestety, jak się okazało, przecucie tym razem zawiodło go.

Zaraz jednak pojawiła się okazja zasięgnięcia języka. Zza rogu wyszedł chłopiec, na oko sądząc tubylec. Na widok Jakuba stanął jak wryty i wytrzeszczył swoje ciemne jak noc oczy.

– Gdzie tu są piramidy? – zagadnął go przyjaźnie egzorcysta.

Oczywiście zapytał po polsku. Chłopiec w odpowiedzi wydał z siebie sporą porcję zupełnie niezrozumiałych dźwięków. Wędrowycz poskrobał się po głowie, a potem powtórzył pytanie po rosyjsku, ukraińsku i w jidysz. Odpowiedź za każdym razem była tak samo niezrozumiała. To zaczynało być denerwujące.

– Piramidy – wrzasnął na araba tracąc resztkę cierpliwości. – Gadaj gdzie są!

Tym razem uzyskał zadowalającą odpowiedź, bo chłopiec przerażony wrzaskami dziwnie ubranego cudzoziemca o płonących gniewem oczach, wskazał ręką kierunek.

– Twoje szczęście – powiedział Jakub. – A teraz zapamiętaj sobie. Jeśli mnie oszukałeś, to wrócę tu, spalę ciebie i twoją rodzinę.

Arab pokiwał głową i zniknął. Jakub szedł i szedł, aż wreszcie z niewielkiego wzniesienia zobaczył, daleko za miastem, trzy zamglone sylwetki.

– Takie małe? – skrzywił się. – Przereklamowane. Zanim dotarł na miejsce było już dość

późno. Stragany z pamiątkami pozamykano, wielbłądnicy wrócili do domów.

Egipski wachman łąził wokoło. Na widok Jakuba przystanął na chwilę zdziwiony, a potem poszedł dalej.

Wędrowycz zaczął okrażać budowlę wypatrując pilnie jakiegoś wejścia. Niebawem znalazł. Wdrapał się po wykonanych na potrzeby turystów schodkach i stanął przed solidną kratą ze sporą kłódką.

– Zamknięte, psiakrew – stwierdził. – Cholera, i na kiego grzyba jechałem taki kawał?

Popatrzył, czy nie widać gdzieś strażnika, ale ten musiał być akurat po innej stronie. Zdjął walonki, wyciągnął z buta brzeszczot, po czym zaczął piłować kłódkę. Zgrzał się przy tej robocie bardziej niż podczas wędrowki przez miasto, ściągnął więc waciak i pozostał w swojej kurtce mundurowej SS. Parokrotnie przerywał robotę i rozpląszczał się na kamieniach, bowiem wachman z karabinem, obchodząc budowlę, co jakiś czas pojawiał się na widoku.

Wreszcie kłódkę pękła. Odczepił prymitywny alarm i zagłębił się w trzewia budowli. Pierwszych parę metrów wrednie stromego korytarza przebył w całkowitych ciemnościach, a potem zapalił świecę. W jej świetle spostrzegł wiszące żarówki, ale nie znalazł nigdzie kontaktu, a bał się wracać do wejścia z uwagi na strażnika. Ruszył więc w głąb. Wnętrze piramidy rozczerowało go dokumentnie. Spodziewał się malowideł na ścianach i tekstów hieroglificznych, tymczasem wszędzie napotykał goły mur. Niebawem dotarł do rozgałęzienia. Jeden chodnik prowadził do góry, drugi opadał w dół. Po chwili wahania podreptał do góry. Minął jeszcze jedno rozgałęzienie i znalazł się w komorze grobowej.

– Nu ładno – powiedział sobie. – Ano zobaczymy teraz, jak taki faraon wygląda.

Naszykował na wszelki wypadek osikowy kołek i drut, po czym wspiąwszy się na palce zajrzał do sarkofagu. Był pusty!

Usiadł sobie w kącie komory grobowej i urwawszy piętkę od chleba, posilił się nieco. Popił łykiem bimbru, a potem popatrzył na zegarek. Była dwudziesta trzecia z minutami. Ziewnął.

– Nu, skarbów poszukam jutro – postanowił. Wdrapał się do sarkofagu i podłożywszy sobie pod głowę walizkę nakrył się waciakiem. Z walizki wydobył książkę. Dzieło było stare jak świat, to znaczy wydano je jeszcze przed pierwszą wojną. Brakowało okładki i strony tytułowej, za to treść odnosiła się do Egiptu. Jakub założył okulary i zaczął czytać, sylabizując z trudem, bo przez ostatnich kilka lat nie miał do czynienia z literaturą i teraz okazało się, że zapomniał trochę alfabetu.

...Doktor Smith zapalił dwanaście świec.

– Uhr hakau seczech – wyszeptał.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Powstań który tu leżysz. Niech moc twojej nienawiści przywróci cię dzisiaj do świata żywych.

Mumia drgnęła i jej martwe oczy otworzyły się powoli...

Jakub przerwał lekturę i ziewnął.

– Ano trzeba będzie iść spać – powiedział sam do siebie. Zgasił świeczkę i niebawem zapadł w sen.

Ocknął się na skutek szarpnięcia. Otworzył oczy i mrugnął kilkakrotnie, aby wyostrzyć obraz. Jak zwykle po przebudzeniu chciało mu się pić więc pociągnął solidny łyk z flaszki. Potrząsał nim jakiś kundel.

– Poszedł! Leżeć! – wrzasnął na niego Jakub.

Stwór przestał nim trząść i wyprostował się. Wówczas egzorcysta stwierdził, że jest to człowiek z głową psa.

– Przebudziłeś się synu... Jakub wywalił na niego gały.

– Schlałem się czy co? – zapytał sam siebie po polsku. – Słuchaj, ten psi łeb to maska?

Wylaź z sarkofagu i rozejrzał się półprzytomnie po krypcie. Tym razem była jasno oświetlona, a w ścianie widniały złote wrota. Brwi egzorcysty uniosły się lekko do góry. Podszedł i poskrobał drzwi bagnetem. Tak jak się domyślał, złoto stanowiło jedynie cienką warstewkę na drewnianym podkładzie.

– Tandeta – parsknął.

– Przekrocz tę bramę, synu – zachęcił go psiogłowy.

Jakub popatrzył na niego niechętnie

– Gadasz po polsku, to pewnie jesteś z naszych, spod Czarnobyła? Znaczący promieniowanie cię tak poprzestawiało?

Anubis poskrobał się po głowie.

– Z Czarnobyła? – upewnił się.

– No, elektrownia. Po wybuchu? Ile masz lat, co?

– Jestem wieczny...

– Główka boli, lekarz kazał przytakiwać. Zjeżdżaj, co? Ni lubię świrów.

Naciął bagnetem wrota. Udało mu się oderwać spory kawałek kruszcu. W tym momencie otworzyły się. Zajrzał przez nie jakiś stwór z głową ptaka.

– A ty kto? – zaciekawił się Jakub. – Też mutas czarnobyłski?

Intruz wykonał ręką gest. Ten z głową kundla rozpuścił się w powietrzu, a po chwili zniknęły także drzwi. Jakubowi został w ręce kawałek złotej blachy. Upchnął łup byle jak w walizce i wstawił ją za sarkofag, po czym znowu ułożył się do snu. Nic mu się nie śniło.

Buty sporego stada amerykańskich turystów zatupotały na kamiennej podłodze. Prowadził ich przewodnik, wyjaśnił

– Oto komora grobowa faraona Cheopsa. W tym sarkofagu przed czterema tysiącami lat złożono jego ciało... – urwał w połowie zdania, widząc drzemiącego w skrzyni Jakuba.

Turyści stłoczyli się wokoło podekscytowani.

- To oryginalna mumia, czy atrapa?
- Dziwny ubiór, zrekonstruowano go wedle wykopalisk?

Błysnęły flesze. Jakub ocknął się

- Nie po oczach, cholera! – wrzasnął.

Wygramolił się z trumny i rozepchnąwszy turystów, oddalił się z godnością. O walizce przypomniał sobie dopiero na zewnątrz. Usiłował po nią wrócić, ale wachmani przy wejściu go nie wpuścili. Chcieli biletów, a bariera językowa była zbyt duża, aby mógł cokolwiek zrozumieć. Obrzucił ich finezyjnymi polskimi przekleństwami i zniechęcony ruszył dalej. Ostatecznie walizka i tak była stara, a to w nocy o złocie tylko mu się śniło.

Jakieś cztery dni później Jakub Wędrowycz wysiadł z pociągu na stacji w Luksorze. Walonki, spięte drutem, przerzucił przez ramię. Papacha sterczała z cholewy jednego z nich, w drugim miał butelkę z resztą arabskiego, daktylowego samogonu. Kilka drobiazgów upchnął po kieszeniach esesmańskiej kurtki. Waciak spoczywał zagrzebany w piasku koło piramid. Jakub oczywiście miał zamiar odgrzebać go wracając. Na razie zapędził się tutaj, bo podsłuchiwał rozmowę dwu amerykańskich Żydów, którzy opowiadali sobie istne cuda o grobowcach w tych stronach. Zaciekawilo go to. Błakając się w poszukiwaniu cmentarzyska zaszedł do świątyni Amona. Przy wejściu sprzedawano bilety, więc kupił bilet za miejscowe pieniądze, pokryte jakimiś niezrozumiałymi znaczkami, nie przypadły mu do gustu, choć orientował się już trochę w ich wartości i zastosowaniach. Wewnątrz świątyni spodziewał się grobowców i mumii, ale ku swojemu przygnębieniu nie znalazł żadnych. Za to było tu trochę hieroglifów. Wykorzystując wczesną porę i brak innych zwiedzających, odlał się w sali na świętą barękę i wyszedł przed budowlę.

– Słuchaj no, gdzie tu są groby? – zagadnął inteligentnie wyglądającego wachmana, który pilnował tego cyrku.

Wachman w odpowiedzi wyrzucił z siebie długie i niezrozumiałe zdanie o pytającej intonacji.

- Mumie. Rozumiesz? – zapytał Jakub zdenerwowany niedomyślnością strażnika.

Tym razem zaskoczyło. Strażnik uśmiechnął się ze zrozumieniem i odpowiedział dłuższym zdaniem, w którym słowo mumies pojawiło się kilkakrotnie.

- Dobra, dobra – powiedział Jakub tracąc pomału resztę cierpliwości. – Gdzie?

Strażnik machnął ręką w stronę Nilu. Egzorcysta poskrobał się po głowie.

- Znaczy utopiliście wszystkie? – upewnił się.

Tubylec znowu coś zagdakał. A potem końcem buta narysował łódkę płynącą na drugą stronę rzeki.

- Mumies – machnął rękaw stronę gór po drugiej stronie Nilu.

- Aha – ucieszył się Jakub. – Mam przepłynąć na drugą stronę?

To, co powiedział strażnik brzmiało jak potwierdzenie. Po drugiej stronie rzeki faktycznie było sporo grobowców. Zwiedzenie wszystkich zajęło Wędrowyczowi trzy dni, jednak

żadnych mumii nie znalazł. Siedział właśnie zniechęcony, gdy usłyszał na tym pustkowiu jakieś znajome głosy.

Podkraść się do wycieczki i podsłuchując pilnie, co gada przewodnik, ruszył jej śladem. Niebawem grupa weszła do jednego z prywatnych grobów. Nie mógł lepiej trafić. W sarkofagu nakrytym szklaną płytą leżała mumia właściciela.

– Ten tutaj to pisarz Neb-ha-amon – wyjaśnił przewodnik. – Napis, na ścianie głosi, że został zabity w czasie kłótni przez nadzorcę Abu-netet-ra, który pochowany jest w sąsiednim grobowcu.

Wycieczka wyszła, a Jakub został w środku.

– U bidoku – powiedział do mumii. – Pewnie nawet cię nie pomścili.

Mumia milczała jak to mumia. W głowie Jakuba dojrzewał plan. Przecież przyjechał tu, sprawdzić jak to jest z tymi mumiami.

– Spoko – rzekł wreszcie. – Nie takie numery. Przyda się trochę twojej nienawiści.

Wyjął z kieszeni bagnet. Wrócił do drzwi i podparł je kamieniem, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Następnie odkręcił śruby podtrzymujące płytę. Miał przy sobie tylko trzy świece, ale pociął je na kawałki, uzyskując dwanaście. Poprzyklepiał je wokół sarkofagu i zapalił. Walonki położył obok.

– Uhr hakau seczech – powiedział z namaszczeniem.

Mumia drgnęła.

– O cholera – pokręcił głową. – Udało się!

Nieboszczyk potoczył zamglonym spojrzeniem wyschniętych oczu wokół. W tym momencie rozległ się skrzyp drzwi. Mumia natychmiast straciła pozory życia. Jakub nie zdążył się odwrócić, gdy dwie pary rąk opadły na jego barki.

Dwaj strażnicy wrzeszczeli coś na niego, ale o co im chodziło, tego niestety zupełnie nie rozumiał.

Zbliżały się święta i w gospodzie było raczej pustawo. Tylko kilku stałych bywalców grzało dłonie za pomocą wlewanych w gardła procentów. Drzwi otworzyły się niespodziewanie i do środka, wraz z tumanem śniegu, wszedł Jakub. Zgotowano mu owację. Egzorcysta wrócił z Egiptu nieco odmieniony. Stracił walonki, waciak i papachę. Waciak pozostał zakopany w piasku gdzieś koło piramidy Cheopsa, walonki zostały w grobowcu Neb-ha-amona, a papachę zgubił w trakcie szarpaniny ze strażnikami. Ponadto w paszporcie wstępłowali mu szereg jakichś okropności. Gdy zsinienie wywołane mrozem trochę przeszło, okazało się, że opalił się ładnie.

– No i jak tam jest w tym Egipcie? – dopytywali się kumple.

– Idiotyczny kraj. Na dzień wyłączają zimą, żeby turyści nie marzli, a w nocy to dopiero chłodek. Mumii z bliska nie można oglądać. Znalazłem tylko jedną i był za szybą, więc zdjąłem szybę, żeby jej się przyjrzeć, a tu mnie cap Arab. A jak się wejdzie do piramidy, to

potem są problemy. W twarz ślepią fleszami i nie wpuszczają do środka. A do tego wszyscy okropnie bełkoczą.

– To jak się dogadywałeś? – zdziwił się Semen.

– Jak się nóż pokaże, to wszystko zrozumie, no chyba że sam też ma nóż – rzucił filozoficzną uwagę Jakub, po czym odkorkował butelkę piwa i wlał ją w siebie.

– A piwo to mają tam zupełnie do chrzanu – dodał.

Doktor Muhamed z muzeum w Kairze wpatrywał się w zdumieniu w kłęb skrawków złotej blachy, na której misternie, wytłoczono sceny religijne i hieroglify.

– Czwarta, może piąta dynastia – zawyrokował. – Wspaniałe, tylko co za wandal tak to zniszczył? Skąd to w ogóle pochodzi?

Jego asystent Ahmed uśmiechnął się lekko.

– Znaleziono w piramidzie Cheopsa w Gizie – powiedział. – Za sarkofagiem stała ta walizka i w niej...

Położył na biurku walizkę wykonaną z ordynarnej tektury, oklejonej skóropodobnym materiałem. Wewnątrz poniewierały się: zniszczona książka, ogryzek świeczki, kawałek zeschniętego chleba i zwitek linki hamulcowej zakończony pętlą. Do dna ktoś przykleił butaprenem mapę Egiptu wyciętą krzywo ze szkolnego atlasu.

KOSTUCHA

Był ciepły, sierpniowy wieczór. Słońce łagodnie zapadało za horyzont. Pośród drzew w sadzie Jakuba Wędrowycza płonęło nieduże ognisko. Na ogniu, oparty na kilku ceglach, bulgotał leniwie potężny trzystulitrowy kocioł. Z jego pokrywy sterczała rurka, zaopatrzona w archaiczny termometr laboratoryjny. Termometr był stłuczony i dawno przestał działać, ale dzięki jego obecności całe przedsięwzięcie wyglądało niezwykle profesjonalnie. Rurka rozgałęziała się. Ramię opadające do ziemi niknęło we wnętrzu wymontowanej ze stara chłodnicy. Z dolnej jej części wychodził kawałek gumowego szlauchu, który kończył się w wiadrze. W chłodnicy coś delikatnie hurgotało. Jakub ziewnął rozdzierająco i popchnął stopą kawałek drewna do ogniska. Siedzący obok Semen także ziewnął i blaszanym kubkiem zaczerpnął z kubła mętnej cieczy. Wypił połowę, a resztą chlusnął w ogień. Buchnął błękitny płomień.

– Galantny bimer – stwierdził. – Sześćdziesiąt procent mocy jak obszył.

Jakub nabrał sobie bimbru słoikiem i także wypił.

– I żadnych glińiarzy w zasięgu wzroku – powiedział Jakub z satysfakcją. – Dobry był pomysł.

Powiew wiatru przyniósł, woń spalenizny. W gospodarstwie na lewo od jego domostwa stos zwęglonych belek znaczył miejsce gdzie dwa dni wcześniej spłonęła stodoła. W gospodarstwie po prawej stronie kupa cegieł i wypalony wrak traktora pokazywały, gdzie ogień strawił szopę.

– Kon-fi-den-ty – wydukał Jakub świeżo przyswojone słowo. – Za następny donos spalę im chałupy.

– Teraz już pewnie nie odważą się. Widzą, że nie rzucasz słów na wiatr – powiedział Semen.

Zaczerpnął sobie jeszcze jeden kubek.

– Nie za dużo? – zaniepokoił się Jakub. – W twoim wieku?

– Dobra dobra. Nie mam stu lat!

– Sto sześć. To znaczy, że już masz sto i jeszcze trochę.

– Gówno. Ważne że nie sto, a reszta... Kto by się zagłębiał w takie podrobnosti. Lepiej

pomyśl o sobie.

– Że niby co?

– Ile masz lat?

– Osiemdziesiąt sześć. Też nie sto.

– Cholera, to ty jesteś stary przyk. A nie wybierasz się czasem?

– Dokąd? – Jakub nie lubił niezrozumiałych aluzji.

– Na tamten świat.

– No co ty. Widziałem dwie wojny światowe, chcę jeszcze rzucić okiem na trzecią. Wiesz, byłem u syna, puścił mi na wideło filmidło o takich atomowych wybuchach. A potem leżały stosy czaszek i latały takie metalowe roboty jak szkielety z czerwonymi oczkami. Ogień się w nich odbijał. Cholernie to dekoracyjnie wyglądało.

Semen zakrztusił się śmiechem.

– Metalowe roboty? W kształcie szkieletów? Czego to ludziska nie wymyślą.

Zaskrzypiała brama. Popatrzyli w stronę drogi. Coś tam stało. Jakub westchnął ciężko i z kieszeni wyciągnął okulary. Nasadził je na nos, czerwieniąc się ze wstydu. Noszenie okularów było w Wojsławicach uważane za hańbę większą niż umiejętność czytania i pisanie.

– Ok...! – zaklął. – Wykrakałeś.

Semen wyciągnął swoje okulary i zrobił się blady z przerażenia.

– Widzisz to samo co ja? – jęknął.

Od bramy kroczył w ich stronę kościotrup z kosą na ramieniu.

– Ciekawe po kogo – zastanowił się Jakub. – Jakby co, to ty jesteś o dwadzieścia lat starszy.

– Ale widzimy to obaj. A to znaczy... Swoją drogą ciekawe dlaczego. Z czego napędziłeś tego bimbru, trucieliu?

– Wara od mojego bimbru – zaprotestował Jakub. – Nie mogliśmy się nim zatruć na śmierć. Cholera. Białe te kości. I oczy nie są czerwone.

– Czyś ty się, durniu, szaleju najadł? To nie robot z filmu tylko prawdziwa kostucha!

Jakub poskrobał się po głowie, a potem wypił jeszcze pół słoika.

– Te, ty tam – zawołał w stronę śmierci. – Po kogo dzisiaj?

Szkielet podniósł dłoń i pokazał dwa palce.

– Po obu – skwitował Semen. Niespodziewanie poderwał się i pobiegł w ciemność.

Rozległ się łoskot, jakby na coś wpadł.

– Co z tobą? – zagadnął Jakub.

– Ściana. W powietrzu. Nie puszcza. Wrócił do ogniska. W oczach miał obłęd.

– Zrób coś! – wrzasnął na egzorcystę. – Złotem zapłacę! Ja chcę żyć!

Jakub flegmatycznie wychylił słoik. Śmierć stała spokojnie i uśmiechnęła się żółtymi zębami, po czym kościotrup wyciągnął spod między żeber osełkę i zaczął ostrzyć kosę.

– Ano czas – powiedział Jakub, zagryzając ogórkiem. Odszedł kawałek od ogniska i

podniósł omszały głaz.

Z wnętrza bunkra wydobył pancerfaust. Oparł rurę na ramieniu i wyciągnął zawleczkę.

– Nikt tego jeszcze chyba nie próbował – powiedział do osłupiałego kumpla. – Jeśli się uda, będziemy pierwsi.

Kostucha nadal ostrzyła kosę monotonnym fachowym ruchem. Jakub wycelował. Kościotrup podniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

– Poszła w czortu aprijiti tu jeszcze raz kakja tiebia uże proklataja! – wrzasnął Jakub. – Nu pagadi!

Szarpnął za spust. Pocisk przeciwpancerny trafił szkielet w korpus. Eksplozja rozniosła go na strzępy.

Semen zemdlał.

Świt był paskudnie chłodny. Stary kozak otworzył oczy. Ognisko wygasło. Okopcony kocioł wynurzał się z mgły. Semen podczołgał się do wiadra i wypił kubek zimnego bimbru. Powoli wracała pamięć. Rozejrzał się za Jakubem. Egzorcysta siedział pod drzewem i oselką ostrzył dużą, zardzewiałą kosę. Na widok kumpla uśmiechnął się.

– Przyda się do sianokosów – zachichotał. – Nie sądzę, żebyśmy zupełnie załatwili kostuchę, ale namyśli się, zanim znowu spróbuje.

Semen ponownie zemdlał.

WYPRAWA

Jakub otworzył kartonowe pudełko i popatrzył czule na nakrętki dwudziestu słoików śliwkowych powideł. Na każdej widniał termin przydatności do spożycia. Wszystkie daty były sprzed trzech lat, ale to go specjalnie nie stropiło. Po kolei odkręcał pokrywki i starą, aluminiową łyżką wygarniał ich zawartość do kadzi. Pierwsze pudełko, drugie, piąte...

Na gminnym wysypisku śmieci trafiały się różne różności, raz nawet znalazł bombę atomową, ale tak wspaniałego łupu jeszcze nie widział. Dziesięć kartonów, musieli chyba zrobić porządki w magazynie sklepu. Sto litrów powideł... A i szkło na skupie przecież wezmą.

Dodał dwa wiadra wody, dorzucił hojnie pięć kilo przeterminowanych landrynek i zamieszał w kadzi drewnianym drągiem.

– A cóż to będzie takiego? – zdumiał się Semen, stając w progu szopy.

Jakub uśmiechnął się olśniewająco.

– Jak to co? Śliwowica. Może nawet koszerna wyjdzie – z westchnieniem wspomniał żydowskie trunki.

– To byś musiał najpierw naczynia siedem razy obmyć – mruknął stary kozak. – Słuchaj no, kumplu, przyszedłem w takiej sprawie, nie nudno tak siedzieć na dupie?

– W zasadzie nie. W gospodarstwie zawsze jest coś do roboty – zamieszał znowu w kadzi.

– A nie miałbyś ochoty na wycieczkę?

– Iii tam. W Moskwie byłem, w Egipcie byłem, w Warszawie byłem, w Łodzi byłem... A nawet na Białorusi byłem i w Peru...

– A w Norwegii?

Jakub poskrobał się po głowie.

– Hy. A gdzie to jest?

– Jakieś tysiąc pięćset kilometrów gdzieś tam – Semen wskazał z grubsza w stronę Lublina.

– O kuźwa, tak daleko? – zdumiał się Jakub. – E, to chyba warto zobaczyć... A czego pytasz?

– Widzisz, wycieczkę wygrałem. Wypełniałem krzyżówki w gazecie i rozumiesz, posyłałem i nagle bach, nagroda. Dla dwu osób tydzień w Norwegii z biurem podróży.

– Coś podobnego? – zdumiał się Jakub.

Skarcił się w myślach. Też przecież mógł wypełniać krzyżówki... No, wprawdzie najpierw musiałby przypomnieć sobie wszystkie litery, ale przecież to nic trudnego. Miesiąc i by sobie przypomnieć... Zresztą cyrylicę od czasów carskiej szkoły miał opanowaną lepiej niż łacinkę. Można pisać ruskimi literami – przecież i tak odczytają...

– Jak byś miał ochotę, to możemy się machnąć na wyprawę – zaproponował kozak. – Zobaczymy fiordy, wikingów, może poznamy jakieś fajne dupcie...

– Hy! – ucieszył się Jakub. – Stary człowiek i może...

– Tak, wiem, ta viagra, co ją kupujesz od Ukraińców

– Semen nieco zmarszczył brwi. – To co, jedziemy?

– Jasne... Nawet zaraz – Jakub wyjął z kieszeni nadgryziony paszport.

Pokazał wizę ekstradycyjną – i z Peru, a te to z Ukrainy... Norweskiej jeszcze nie mam, a do kolekcji się przyda...

– Dobra. To spakuj się i jutro syn nas podrzuci do Warszawy.

Semen poszedł. Jakub raz jeszcze zamieszał w kadzi i dodał drożdże. Akurat zanim wróci, zacierek dojrzeje... Zapomniał tylko zapytać Semen o jedno. Czym tam się płaci w tej Norwegii? Zakręcił się po szopie i powyciągał ze skrytek nieco pieniędzy. Niemieckie marki z czasów wielkiej inflacji, białoruskie ruble, peruwiańskie pesos, dolary...

– Kurde, warto i międzynarodową walutę mieć – spod progu wyjął słoik ze złotymi carskimi rublami.

Do starego, wojskowego plecaka wrzucił zielony podkoszulek, skórzane kapcie (wcześniej przetarł je trochę denaturatem, żeby nie śmierdziały), trzy skarpetki, sznurek do spodni... Zdarł z siebie łachy, z szafy wyjął wyjściowy ortalionowy dres i mokaśny od syna. Nie lubił się stroić, ale tam przecież kultura obowiązuje... No i oczywiście najważniejsze. Zapasy na drogę.

Jakub stał oparty o reling promu i patrzył na fale.

– Delfinów coś nie widać – mruknął zmartwiony.

– Tu nie występują – wyjaśnił mu Semen. – Za to foki pływają...

– E – machnął ręką egzorcysta, – niesmaczne... Zobacz, wyspa!

Faktycznie, na horyzoncie pojawiła się skalista wysepka z latarnią morską.

– Osiem godzin rejsu za nami, dopływamy...

– Strasznie małe to morze – sarknął Jakub. – Przereklamowane.

Zeszli do wnętrza statku. Reszta wycieczki rozlaźla się jakoś po kątach, ale przy sklepie wolnocłowym spotkali pilotkę grupy. Właśnie zrobiła sobie zakupy. Obrzuciła ich miażdżącym spojrzeniem i znikła gdzieś w zakamarkach.

– Coś nas nie lubi – zafrasował się Semen. – Ciekawe dlaczego... – spojrzał na przyjaciela. – Nie straszylesz jej czasem swoim ptakiem?

– Gdzie tam – westchnął egzorcysta. – Zapomniałem viagry zabrać...

Kozak obciągnął na sobie kurtkę mundurową, pamiętającą przełom Brusilowa, poprawił szmatki od carskich orderów i przesunął papachę zawadiacko na bok.

– Wyglądasz sztywnie – uspokoił go Jakub. – To chyba tylko taki brak szacunku dla starszych...

– To co, golniemy jeszcze coś przed zejściem na ląd?

– Kozak spojrzał w głąb sklepu wolnocłowego, na długie półki pełne alkoholu.

– W sumie czemu nie? Byle nie tego, co choinką śmierdzi – nie lubił jakoś ginu. – Hy, popatrz kto tu się zaplątał!

Pod ścianą Wielki Grafoman rozmawiał z jakąś dziewczyną. – Co za jeden?

– Pasz-kwi-lant – wycodził nowo przyswojone słowo.

– Tak mnie obsmarował w jednej gazecie, że... No to foki będą miały co jeść...

– Czego szuka blondynka na dnie Atlantyku? Kosmetyków ze sklepu wolnocłowego na Titaniku! – Nieświadomy zagrożenia grafoman opowiadał właśnie grafomański dowcip swojej towarzyszce.

– Za pięć minut zamykamy – rozległo się przez głośnik.

– Później wyrównacie porachunki – Semen pociągnął towarzysza za bluzę od dresu.

– Ale ten sukinsyn właśnie ucieka przede mną za granicę!

– I co z tego? Skoro wiemy, do jakiego kraju uciekł, to nie będzie problemu, aby go odnaleźć...

Jakub nie lubił rewizji. Miał to jeszcze po dziadku. Z niewiadomych przyczyn i on i Semen wydali się celnikom podejrzani. Reszta pasażerów przeszła przez odprawę bez sprawdzania...

– Ta głupia nas podkablowała – rozważał. – Albo ten gryzipiórek zobaczył i teraz chce mieć więcej czasu na ucieczkę...

– Nie porozumiewać się – celnik słabo mówił po polsku.

Jakub miał ochotę pokazać mu międzynarodowy gest pokoju, ale przyjaciel go powstrzymał.

W plecaku Semena nie było w zasadzie nic podejrzanego. Haftowana ukraińska koszula, pęto suszonej kielbasy zawiniętej w gazetę, kawałek mydła na wypadek chęci umycia się...

U Jakuba też nie było nic podejrzanego. No, może za wyjątkiem tego pięciolitrowego kanistra samogonu. Celnik spojrzał w paszport. Przemytnik miał ponad osiemdziesiąt lat. Czyli w zasadzie nie ma sensu robić sprawy.

– Konfiskujemy – zdecydował. – Do nas wolno wwieźć najwyżej litr mocnego trunku...

– Donnerwetter! – zdenerwował się egzorcysta. – Ale to zapas na cały tydzień i to na dwu – dodał płaczliwie.

– Takie są przepisy – oświadczył celnik grobowym głosem. – Przecież możecie kupić, u nas też są sklepy – dodał łagodniej, widząc łzy w oczach staruszka.

Wreszcie wyszli. Pilotka czekała na nich przy autokarze.

– Były jakieś problemy? – zapytała z niepokojem. Nie, to chyba nie ona nas podkablowała, pomyślał Jakub.

– Coś się wydaliśmy podejrzani. Cholera wie czemu – westchnął Semen.

Kobieta obrzuciła go zagadkowym spojrzeniem.

– No fakt, za normalnie to wy nie wyglądacie – mruknęła.

– U nas na wsi wszyscy tak chodzą – burknął Wędrowycz i zapakowali się do autobusu.

Ten pekaes spodobał się Jakubowi jeszcze w Polsce. Był zupełnie inny niż jeżdżące w okolicy Wojsławic. Miał wygodniejsze i nie pocięte nożami siedzenia, czyste szyby... A fotele nawet można było trochę rozłożyć. Usadowili się na swoich miejscach z tyłu.

– Kuźwa, i co my będziemy pić?! – jęknął egzorcysta.

– Zanim gdzieś dojedziemy... Jak ja to wytrzymam?

Semen ruchem magika wyjął zza pazuchy flaszkę.

– Coś jednak udało się przemycić.

– No to frugo...

Wypili, zakąsili, wypili na drugą nogę. W tym momencie jak spod ziemi wyrosła koło nich pilotka.

– Regulamin wycieczki zabrania spożywania alkoholu w autokarze – powiedziała surowo. – Oddawać, dziadki, tę flaszkę... Dostaniecie na postoju – dodała łagodniej, widząc rozpacz w oczach obu staruszków. – Popodziwiajcie sobie widoki zamiast pić, ostatecznie po to tu jesteście.

Tak Jakub odezwał się, po co ludzie jeżdżą na wycieczki.

– Dwadzieścia minut przerwy – powiedziała kobitka przez mikrofon.

Podróżni wysypali się z autobusu.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy? – Jakub rozejrzał się wokoło.

– W Szwecji – przypomniał mu Semen.

– Ty, to miała być do Norwegii wycieczka – przeraził się egzorcysta. – Pomyliliśmy biura podróży!

– Nie, dobrze jedziemy. Szwecja jest po drodze – wyjaśnił mu kumpel. – Ty, zobacz, sklep jest! Obalimy sobie ze dwa piwa przed dalszą drogą?

– Jasne...

Ruszyli kłusem w kierunku wejścia.

– Hy, prawie jak u nas – Wędrowycz złapał druciany koszyk i zanurkowali między półki.

– Ale towary inne – mruknął. – Jak rozpoznamy piwo?

– Spokojnie – kozak pokazał mu kartkę. – Przed wyjazdem wypisałem ze słownika najpotrzebniejsze słowa.

– Ty to masz łeb – powiedział z podziwem Jakub.
– Jest i piwo – Semen wskazał paletę z puszkami.
– Popatrz, nawet paczkowane jak u nas... Tylko puszki małe. Jak dla dzieci. Hmmm... są dwa rodzaje.

– To może po dwie puszki każdego?

Zapakowali do koszyka i ruszyli do kasy. Semen wystawił zakupy na taśmę, kobita zagdakała coś po swojemu i wybiła cenę. Popatrzył z niejakim oszołomieniem na kwotę, ale zaraz odliczył szwedzkie banknoty...

Wyszli przed sklep.

– Coś taki markotny? – zapytał egzorcysta.

– To draństwo kosztowało po dychu za małą puszkę – kozak nadal był oszołomiony.

– To ile to będzie na nasze?

– Po naszym dychu.

– O kurde, to musi być w takim razie dobre piwo – mruknął Wędrowycz. – Tankujemy...

Odkapslowali i pociągnęli po łyku.

– Co to jest?! – zawył Jakub.

– Szczyny jakies! – zawtórował mu kumpel. – Ile to ma procent?

Obracał puszkę, aż znalazł.

– 2,35% – jęknął. – Miałeś rację. Faktycznie dla dzieci...

– Ja im zaraz pokażę! – egzorcysta zacisnął pięści i ruszył w stronę sklepu.

W tym momencie rozległ się klakson autokaru.

– Podpalimy ich wracając – zdecydował. – W drogę.

– Nareszcie cywilizacja – powiedział z zadowoleniem w głosie Semen. – Tu znajdziemy monopolowy.

– Najwyższy czas. Tak dawno nie piłem, że aż mnie mdli...

Stali z Jakubem w środku Oslo, przy długim deptaku, ciągnącym się od pałacu królewskiego do dworca. Mieli trzy godziny czasu wolnego. Na noclegu wysuszyli resztę piwa, mieszając je oczywiście z wódką, żeby choć trochę nabrało mocy...

Szli ulicą, zaglądając co i rusz do sklepików po obu stronach.

– Coś jest nie tak – mruknął egzorcysta. – A może tu jest prohibicja?

– E, chyba by o tym w przewodniku napisali – zaniepokoił się kozak. – Hy, zobacz, sklep monopolowy!

Faktycznie napis Yinmonopolet dość jednoznacznie wskazywał, co znajduje się w środku. Weszli.

– E, cholera, to jakaś poczta – mruknął Wędrowycz rozczarowany.

W poprzek pomieszczenia ciągnęła się lada podzielona na kilka stanowisk. Powyżej zapalały się numerki. Ludzie brali kartki z automatu i czekali na swoją kolej.

– To nie poczta – pokręcił głową jego towarzysz. – Tam są flaszk. Widać tu taki zwyczaj.

Wziął numerki i po kilku minutach nadeszła jego kolej. Jakub czekał, oglądając liczne plakaty zniechęcające do picia. Po chwili kozak stanął przy nim z wyjątkowo kwaśną miną.

– Dobra – powiedział. – Zaopatrzenie mamy, teraz poszukajmy jakiegoś parku.

– Coś taki kwaśny?

– Bo to ćwierćlitrowe gówno osiemdziesiąt złotych kosztowało.

Informacja tak wstrząsnęła Jakubem, że nic nie powiedział. Z ciężkim westchnieniem wyjął z plecaka radio „Sokół” i odczepił obudowę. Wewnątrz, zamiast płytek drukowanych i tranzystorów, tkwił plastikowy bidonik z samogonem.

– Hy – ucieszył się Semen.

– Rezerwa na czarną godzinę. Chodźmy wreszcie, bo zwariuję...

Doszli do końca alejki. Rozległy park otaczał stojący na wzgórzu budynek. Nad nim powiewała norweska flaga.

– Do dupy ten park – syknął Jakub. – Ani krzaczka, a tak na widoku lepiej nie pić...

– Zobaczmy z tyłu...

Obeszli budynek i powędrowali wzdłuż parkanu otaczającego część parku.

– No, to rozumiem – egzorcysta popatrzył na klomby i żywopłoty oraz stojące w cieniu ławeczki.

– Ty, ale to jest zagrodzone...

– Gówno! – ryknął Jakub. – Czniam na ogrodzenie, jestem tu obcy, więc obowiązują ich odwieczne prawa gościnności.

Przełazł przez parkan, a kozak po chwili wahania ruszył w jego ślady. Usiedli nieopodal stawu.

– Kurde, nawet ławki tu ładniejsze mają. – Egzorcysta wygodnie rozparł się na deskach.

Wyciągnęli blaszane kubki i szybko rozpił norweską ćwiartkę.

– E, do chrzanu, ławki ładne, ale wody to nie umieją zrobić – mruknął kozak. – Zapijmy swoją...

Bimber z malin, podwójnie destylowany, odstał w słoju z dębowymi szczapkami przez ładnych kilka lat. Siedemdziesiąt procent mocy, kolor, smak, aromat... Połamali Semenową kiełbasę.

Nieoczekiwanie alejką nadszedł wysoki facet w okularach i garniturze. Na widok niespodziewanych gości stanął jak wryty i coś zagadał po swojemu.

– Kuźwa, a to co za jeden? – zdumiał się egzorcysta. – Rozumiesz co gada?

– Gdzie tam, po swojemu widać. Ale skoro się gapi, to może poczęstujemy, bo tu przy takich cenach i tak gównianych trunkach to musi być spragniony...

Posunęli się robiąc miejsce przybyszowi. Kozak podał mu kubek i kiełbasę. Gość łyknął, oczy poszły mu trochę w ślup, ale zaraz zakąsił i odzyskał oddech. Uśmiechnął się i znowu coś zabelkotał.

– Smakowało widać. – Jakub dolał mu do kubka, bo jakże to tak, spragnionego nie napoić?

Wypili na drugą nogę potem, na trzecią a potem flaszka wyszła...

– Cholera – skomentował Wędrowycz patrząc z rozpaczą na puste szkło. – Chyba trzeba będzie jeszcze osiemdziesiąt odżałować...

Tajemniczy współbiesiadnik wyjął telefon komórkowy i coś do niego powiedział. Nie minęła minuta, jak pojawiło się dwu gogusiów we frakach. Przynieśli stół, nakryli go obrusem, na nim postawili zakąski i butlę koniaku oraz trzy kieliszki. Gospodarz połał. Łyknęli.

– Niezła marka – ocenił kozak. – Taki koniaczek to u nas ze sto złotych za flaszkę kosztuje. Albo i lepiej.

– Ciekawe, co za jeden – Jakub popatrzył na ich towarzysza. – Ale rąbie wódę jak swój.

– Może to właściciel tego parku?

– Co ty? – egzorcysta wzruszył ramionami. – Przecież park to park, nie może być czyjś...

Wysuszyli koniak, zagryźli kanapkami z łososiem i wędzonym mięsem renifera. Semen spojrzał na zegarek.

– O kurde – powiedział. – Za dwadzieścia minut zbiórka. – Nie zdążymy, ale nas obsobaczą... Musimy lecieć – powiedział do towarzysza. – Równy z ciebie gość, szkoda że nie gadasz po naszymu.

Nieznajomy wyjął telefon, a potem gestem zachęcił, żeby szli za nim. Przeszli przez bramę, dwaj wachmani tylko zaszalutowali. Przed budynkiem czekała już limuzyna z proporczykami na masce. Współbiesiadnik uściśnął im dłonie i wskazał samochód.

– Ty, niezłą gablotę nam podstawił – ucieszył się Jakub. – Tylko jak powiemy kierowcy dokąd mamy jechać?

– Nie trzeba nic gadać, ręką pokażemy.

Parę minut później pędzili przez miasto. Na parkingu koło dworca byli akurat pięć minut przed czasem.

– No to zdążyliśmy – odetchnął kozak.

Pilotka czekała już przy autokarze. Widząc zataczających się staruszków westchnęła ciężko i jakby z naganą.

– Jeszcze mamy chwilę czasu – powiedział Jakub. – To kupię jakiejś oranżady na zapitkę...

Podszybował do sklepu. Po chwili wrócił z plastikową butlą, ściskając garść bilonu z wydanej reszty.

– No to w drogę – wpakowali się do pojazdu.

Rozsiedli się wygodnie. Jakub w zadumie oglądał monety. Były inne niż te w Polsce. Na jednej widniała podobizna norweskiego króla.

– Ty, zobacz jaki śmieszny goguś – pokazał kumpłowi.

– Tak na pierwszy rzut oka przypomina naszego gospodarza.

– E, wydaje ci się – mruknął kozak przysypiając. – Bo mało podobnych do siebie ludzi po świecie chodzi?

– Kuźwa, już nie mogę – jęknął Jakub.

Mdliło go z braku alkoholu tak, że nawet fiordy mu się nie podobały.

– Spokojnie, stary – Semen objął go za ramiona.

– W następnym miasteczku po prostu musi być sklep monopolowy...

Od trzech dni zwiedzali dziwnie pustynną część kraju. W żadnej miejscowości nie było ani jednego sklepu z trunkami. Statek dobił do brzegu. Autokaru na przystani nie było. Pilotka wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła.

– Proszę o uwagę – zwróciła się do wycieczki. – Autokar trochę utknął, będzie za dwie godziny. Macie państwo czas wolny, a o szesnastej spotykamy się tutaj...

Turyści rozleźli się po miasteczku. Jakub z Semenem też postanowili pozwiedzać. Niestety, sklepu monopolowego najwyraźniej tu nie było.

– Co za kraj popierdolony! – wybuchnął wreszcie egzorcysta.

– Czekaj – uspokoił go kozak. – Pomyślmy logicznie. Jeśli tu takie problemy, to przecież tubylcy muszą jakoś sobie radzić...

– Znaczy bimber pędzą – palnął się w głowę Jakub.

– Trzeba ich odnaleźć. Jasne, przecież tu muszą być meliny!

– Tylko jak je odszukać? – zafrasował się jego przyjaciel.

– Złapiemy miejscowego menela i zapytamy. Następne półtorej godziny spędzili na poszukiwaniu choć jednego menela. Bezskutecznie.

Wreszcie, zniechęceni, zatrzymali się przed sklepem

– Trzeba naszym kumplom kupić jakieś gościńce – powiedział Semen. – Nie wypada tak wracać z pustymi rękami...

– Aha. Dobry pomysł. Weszli do środka.

– Jest – szepnął Jakub przypadając do stojaka z pocztówkami. – Zobacz!

Na pocztówce widać było bandę jakichś kolesi zebranych wokoło kociołka. Najwyraźniej destylowali samogon.

– To trolle – zidentyfikował kozak. – Co za jedni?

– Takie miejscowe zmutancjałe krasnoludki... Z bajek...

– Każda bajka zawiera ziarno prawdy – warknął Jakub. W jego głosie zabrzmiała żelazna pewność. Obok z pocztówek spoglądało dobrotliwie oblicze faceta z parku.

– To musi być jakaś szycha, ten nasz znajomy – mruknął Jakub. – Jak nawet na kartkach go pokazują...

– Aha – Semen zaczynał mieć pewne podejrzenia. Wpakowali się do autobusu.

– Pojedziemy teraz słynną Złotą Drogą przez Dolinę Trolli – powiedziała pilotka. – Zbudowana przed kilkudziesięciu laty zastąpiła stary szlak handlowy. Szosa wspina się

jedenastoma serpentynami, pokonując około trzysta metrów różnicy poziomów...

– Dolina Trolli! – ucieszył się Jakub. – To jest konkret. Nareszcie powiedziała coś do rzeczy.

Zjazd na dno doliny trwał bardzo długo i dostarczał niezapomnianych przeżyć. Wreszcie autokar zatrzymał się na niewielkim placu u stóp wodospadu.

– Pół godziny przerwy na robienie zdjęć – zadysponowała blondynka.

Jakub z Semenem wysiedli.

– Trolli coś nie widać – mruknął egzorcysta.

– E, to tylko bajki.

– A ten zapach to też tylko bajka? – Faktycznie, w powietrzu niósł się słabo wyczuwalny smrodek nastawu. – Tędy – egzorcysta wskazał ścieżkę.

Przeszli po drewnianym mostku na drugą stronę górskiego potoku i zagłębili się między drzewa.

– Kuźwa, nie widać drani. Pewnie się pochowały – stwierdził Semen.

– Spoko – Jakub pod wpływem fluidów bimbru odzyskał sprawność myślenia. – To chyba jasne, że muszą się ukrywać. Ale zaraz je znajdziemy...

Wyciągnął z kieszeni różdżkę zabraną kiedyś takiemu gnojcowi w okularach.

– Delatorus – wypowiedział zaklęcie i machnął. Powietrze zgęstniało. Wokoło siedziało kilkanaście trolli.

Miały po trzy metry wzrostu i wyglądały mało przyjaźnie.

– Hy – Wędrowycz poczuł się odrobinę niepewnie.

– Mówiłeś, że to zmutancie krasnoludki?

– Pomyliłem się – bąknął Semen. – Chodu...

– Podzielicie się samogonem z podróżnymi? – Jakub przeszedł na międzynarodowe bimbrownicze esperanto.

Największy troll sięgnął po maczugę.

– Alkoholismus – Wędrowycz machnął różdżką. Po chwili wszystkie trolle, zalane w pestkę, walały się po trawie.

Egzorcysta bez żenady zabrał dziesięciolitrowy kanister destylatu.

– Nie chcieliście po dobroci, to nie – warknął.

Ruszyli przez mostek w stronę autobusu.

– Niezły łup – ocenił kozak. – Wystarczy nam do końca podróży...

Trochę nieładnie wyszło – zafrasował się Jakub, – ale w sumie jak są wszyscy zalani, to ta odrobina nie będzie im potrzebna – usprawiedliwił sam siebie.

Zapakowali się do autobusu i zaraz na tylnym siedzeniu pociągnęli trochę trollowego samogonu.

– U, torfem zajeżdża – westchnął egzorcysta. – A, pal diabli, wypije się...

– Wiesz co? – kozak popatrzył na niego w zadumie. – To zaklęcie to daje efekt

kompletnego upicia się?

– No. Nawet na tak duże ciapki jak oni podziało.

– Ty idioto, to my trzy dni o suchych pyskach, a tobie nie przyszło do dumnego łba, że możesz zaczarować nas!?

– Ja dumny? – wściekł się Jakub. – A kto załatwił poczęstunek w parku? Odszczekaj bo mordę skuję do krwi.

Przewodniczka zauważyła, że autobus dziwnie się kiwa i zajrzała do środka. Westchnęła ciężko. No i proszę, dwaj kłopotliwi turyści właśnie okładali się po ryjach... Od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczyła tych dwu starych kloszardów, wiedziała że tak się to skończy. Dobrze, że chociaż w środku, to wstydu przed miejscowymi nie narobią... I kto takich wypuszcza za granicę?

WIGILIJNA ROZGRYWKA

Wojśławice 1908

Wędrowycz wstawił wyrwany z korzeniami świerczek do pustej kadzi fermentacyjnej. Podsypał torfu i wlał z cebrzyka wody.

– No i postoi przez święta, a potem można znowu przed dom wsadzić – powiedział z zadowoleniem.

– Brawo – mruknął Święty Mikołaj. – Trzeba rozwijać ekologiczne myślenie.

– Eko... co? – zdumiał się siedmioletni Kubuś.

– Zrozumiesz za jakieś osiemdziesiąt lat – wyjaśnił gość. – No nic, prezenty wam rozdaję i trzeba ruszać w dalszą drogę... – Pogrzebał w worku i wyciągnął masę pakunków. – Dla ciebie, gospodarzu, skrzynka dynamitu. Przyda się w tym waszym PPS-ie. Jakbyście chcieli znowu policmajstra wysadzić w powietrze...

– Cicho! – syknął Pawło.

– A kto nas tu usłyszy? – Święty wzruszył ramionami. – Masz jeszcze rewolwer... Niedługo będzie pierwsza wojna światowa, to ci się przyda.

– Może wreszcie odzyskamy niepodległość – westchnął ojciec Kubusia. – I będzie można pędzić legalnie bimberek, bo ten carski monopol alkoholowy na pewno naród rozniesie.

Mikołaj nic nie odpowiedział, ale uśmiechnął się smutno.

– A dla ciebie, chłopaczku – podał Kubusiowi tekturowe pudło, – zabawka edukacyjna. Zestaw „Mały Bimbrownik”.

– Dziękuję – ucieszył się chłopiec. – Zawsze marzyłem o takiej zabawce.

– I jeszcze motek linki hamulcowej do wnyków. Lepsza będzie niż te druty kradzione z linii telegraficznej...

Chłopiec zaczerwienił się lekko. Pawło schował dynamit i rewolwer do szafy. Zrobił to w ostatniej chwili bo ktoś załomotał do drzwi i do środka chałupy tarabanił się młody sąsiad – kozak Semen.

– O Święty Mikołaj? – zdziwił się. – Zdrastwujcie, podarki jest?

Strząsnął z papachy warstwę śniegu. Zastukał piętami by otrzepać walonki. Z kieszeni sterczała mu napoczęta flaszka rosyjskiej wódki.

– Paszoł durak, do ciebie przyjdę zgodnie z waszym prawosławnym kalendarzem, za dwa tygodnie – burknął przybysz. – swoją drogą, to moglibyście to wreszcie ujednolicić, bo kota można dostać, a i robota nie raz w roku, tylko na dwie partie muszę prezenty dzielić...

– Tak toczno – zasępił się młodzieniec.

– Mikołaju, a kiedy znowu przyjdiesz? – zapytał Kubuś, pakując prezent z powrotem do pudełka.

– Oj nieprędko... Gdzieś za czterdzieści lat – wyjaśnił.

– A czemu to tak?

– Jak zaczynałem tę robotę, to było łatwo, raptem kilkaset tysięcy ludzi obdarować. A teraz ochrzczonych liczy się już dziesiątkami milionów... Nie rozerwę się przecież. Ano miło było z wami pogawędzić, ale pora na mnie.

Dopił mętnego bimbrow z musztardówki, zagryzł pasztetem z Burka sąsiadów i wyszedł przed chatę, gdzie wgramolił się na sanki i strzepnąwszy lejcami pomknął w ciemność.

– Każdy święty chodzi uśmiechnięty – zanucił, strzelając fantazyjnie z bata.

– Fajny gość z tego Mikołaja – mruknął ojciec. – I wypić z nim można i pogadać... I poczucie humoru ma. A i podarki przyniósł.

– Równiacha. Szkoda, że tyle czasu przyjdzie czekać na następną wizytę – westchnął Kubuś...

– Śliwowicy nastawimy w dębowej beczce – błysnął pomysłem ojciec. – To jak przyjedzie, fajnej czterdziestoletniej się napije... Tylko żebyś huncwocie nie wyżłopał. To ma być dla Mikołaja...

– Ale tato, ja nie pijam alkoholu...

– Teraz jeszcze mały, ale za pół wieku to będzie z ciebie pewnie moczymorda większy niż dziadek – mruknął ponuro ojciec.

Wojśławice 1948

Główna sala domu kultury w Wojśławicach nabita była po brzegi. Członkowie partii, milicjanci, ormowcy, ubecy... Z powiatu przyjechał instruktor, ale wszyscy czekali na głównego gościa. W skupieniu gryząc pestki słonecznika, studiowali napis „Naród z partią”.

Gdzieś niedaleko naród w osobie partyzanta Józefa Paczenki właśnie wykopywał stół spod nóg Sławomira Bardaka – członka partii i powszechnie znienawidzonego konfidenta bezpieki.

Nieoczekiwanie budynek zatrzęsł się, gdy na uliczce przed nim zaparkowały dwa czołgi. Drzwi otworzyły się nagle i wmaszerowali czterej wachmani, w mundurach radzieckich wojsk desantowych, z automatami. Za nimi wszedł niepozorny człowieczek z czarną bródką

przyciętą w szpic. Ochrona omiotła wzrokiem salę, ale widząc, że zebrali się sami swoi i żaden wraży element nie przeniknął na zebranie, opuściła broń. Instruktor z powiatu odchrząknął.

– Towarzysze – powiedział. – Niech będzie mi wolno przedstawić naszego gościa z Moskwy, kierownika Instytutu Badań Materializmu Dialektycznego, członka rzeczywistego Akademii Nauk ZSRR, towarzysza Szmaragdowa.

Zebrani zaklaskali. Za oknami zapadał już wczesny, zimowy zmierzch. Gość wkroczył na podium.

– Towarzysze – odezwał się po polsku z silnym rosyjskim akcentem. – Zebraliśmy się tu nie bez powodu. Wedle zgromadzonych przez nas informacji, w tej właśnie okolicy w dniu dzisiejszym dojść może do bezprzykładnego podważenia niepodważalnych zasad nowego ustroju. Jak donoszą nasze źródła informacji, ludność miasteczka żyje w głębokim i całkowicie błędnym przekonaniu, że w dniu dzisiejszym Wojsławice nawiedzi Święty Mikołaj. Siły reakcyjnego kleru, będącego tubą sił klerykalnych, które, jak wiemy, są w waszym kraju ekspozyturą międzynarodowego faszyzmu uosabianego przez tak zwany rząd londyński, podsycają te pogłoski. Także wielu z was – przeszył ich badawczym spojrzeniem – uległo tym mitom. Mimo pracy ideologicznej i wysiłków, których nie szczędziły wasze władze zwierzchnie, niektórzy z tu zgromadzonych ustawili choinki już dzisiaj, zamiast na nowy rok.

Kilkunastu działaczy poczerwieniało i spuściło głowy. Przewodniczący gminnej komórki Podstawowej Organizacji Partyjnej sprawnie zaczął rozdzielać kartki i wieczne pióra.

– Piszcie samokrytykę, sukinsyny – szepnął.

Gość spojrzał na nich odrobinę życzliwiej.

– Określone faszystowskie elementy antysocjalistyczne, podżegane do działań przez międzynarodowych imperialistów, z całą pewnością zechcą wykorzystać dzisiejszą okazję, by siać zamęt i odrywać myśli klasy robotniczo-chłopskiej od zbliżającego się Nowego Roku – podjął przemówienie. – Dlatego naszym zadaniem będzie postawić tamę ich wywrotowej działalności. Przypuszczalnie tej nocy może pojawić się we wsi mężczyzna w przebraniu tak zwanego Świętego Mikołaja. Naszym zadaniem będzie ujęcie go i przekazanie odpowiednim organom, które wykryją jego międzynarodowe powiązania... Dni krwiopijców kapitalistycznych są policzone!

Instruktor z powiatu powstał z miejsca.

– Nasi przyjaciele ze Związku Radzieckiego wspaniałomyślnie przydzielili nam sprzęt zmechanizowany i trzydziestu żołnierzy z wojsk desantowych. Oto plan osady i proponowana obsada posterunków – rozwinął na ścianie mapę.

– Kuźwa, ale ziąb – mruknął instruktor. Szmaragdów tylko prychnął.

– Jaki tam ziąb? – syknął. – U nas na Syberii bywa zimno! Tu zaledwie dwanaście stopni mrozu...

Zaczaili się za cmentarnym murem. Mieli przed sobą szosę prowadzącą na Chełm. Księżyc w pełni oświecał wszystko swoim ponurym i jakby nierzeczywistym blaskiem. Na niebie pojawiła się już pierwsza gwiazda. Z dalekich Wojsławic wiatr niósł ludzkie głosy. Po domach właśnie dzielono się opłatkiem i śpiewano kolędy.

Radzieccy spadochroniarze czuwali opodal, patrząc ponuro w przestrzeń. Mongolskie rysy, oczy jak szparki, dłonie zaciśnięte na kolbach karabinów. Ci ludzie nie cofną się przed niczym...

– Nie powiedzieliście, towarzyszu, wszystkiego – zagadnął Szmaragdowa gminny sekretarz.

Rosjanin spojrzał na niego pochmurnie.

– Wiecie wszystko, co wystarczy do wykonania zadania – burknął. – Macie go tylko złapać. Resztą zajmiemy się w Moskwie.

– Czterdzieści lat temu ludzie mówili, że odwiedził wieś prawdziwy Święty Mikołaj...

– Towarzyszu, powinniście poczytać pracę towarzysza Józefa Stalina „Krytyczny osąd zabobonów religijnych” – twarz przybysza stężała.

Nie odważyli się pisać już ani słowa.

Kilka kilometrów dalej Święty Mikołaj pędził przecinką przez las. Nieoczekiwanie spomiędzy ośnieżonych krzaków wyjechał na brązowej klaczy jakiś typ.

O kurczę, hitlerowiec – pomyślał Mikołaj na widok czarnej kurtki, ale zaraz rozpoznał Jakuba.

Odetchnął z ulgą. Wigilia w doborowej jednostce SS była wspomnieniem, do którego niechętnie wracał... Co go wtedy podkusiło, żeby tam wdepnąć? Ci durni esesmani wzięli go za zamaskowanego Żyda i nie chcieli uwierzyć, że jest Grekiem z Myry. A przecież udało się wtedy zwać i to nawet w jednym kawalku. Ściągnął lejce, a cztery renifery zahamowały. Wędrowycz zeskoczył z konia.

– Witaj, Mikołaju – powiedział poważnie.

– Kubuś, a właściwie teraz to już Jakub...

– We własnej osobie.

– Dlaczego mnie zatrzymałeś? Coś się stało?

– Pewnie wiesz, jaka jest sytuacja? – zagadnął egzorzysta. – Komuniści nas podbili... Mówią obrazowo „we wsi moskal stoi”.

– A więc jednak w końcu nauczyłeś się czytać – uśmiechnął się Święty.

– Nie musiałem nic czytać, w radio Wolna Europa takie wierszyki nadają... Mikołaju, nie jedź dziś do Wojsławic – spoważniał. – Przygotowali zasadzkę.

– Na mnie? – zmartwił się.

– A jakże...

– Wybacz, ale muszę jechać. Dzieci na mnie czekają i dorośli też... Obowiązek wzywa.

– Kurde – mruknął Jakub, ale nie zdecydował się użyć siły przeciw Świętemu.

Wyjął z kieszeni mapę sztabową, jeszcze ze starych, dobrych, partyzanckich czasów.

– No dobra – powiedział. – Jeśli tak stawiasz sprawę, to trudno. Ale popatrz na plan. Siedzą tu, i tu, i tu... Zaznaczał ołówkiem stanowiska. – Jedyne szansa, by się przemknąć – postukał obsadką, – przez łąki koło bagienka.

– Zauważaj ci spod cmentarza – trzeźwo ocenił Święty. – Są za blisko.

– Odwrócę ich uwagę – obiecał egzorcysta. – Siadaj na moją klacz, a ja wezmę sanki... Poczekaj jakieś pół godziny i jedź prosto do wsi.

– Dobra – Mikołaj zsiadł z kozła.

Jakub dźwignął z kulbaki worek z czymś ciężkim, a na to miejsce zawiesił wór z prezentami. Podsadził Mikołaja do strzemięcia.

Dwadzieścia minut później na posterunku pod cmentarzem towarzysz Szmaragdów uniósł głowę.

– Słyszycie? – zapytał.

W powietrzu niósł się dźwięk srebrnych dzwonków.

– Jedzie – mruknął gminny sekretarz, przeładowując pistolet.

– Pamiętajcie: w miarę możliwości brać drania żywcem – wydał dyspozycje Rosjanin.

W bladej, księżycowej, poświacie na zaśnieżonej drodze pojawiły się sanie.

– Zaprzężone w renifery – szepnął instruktor z powiatu. – Wielkie mecyje! – parsknął Szmaragdów. – Z ZOO pewnie ukraść.

Sołdaci poderwali się na równe nogi.

– Przeskoczcie szosę i zajdźcie go od tyłu. Tichomnow, radiostacja, wezwij pozostałe posterunki.

– Tak jest!

– No to mamy ptaszka – mruknął Rosjanin. – Dwadzieścia lat na dziada poluję... W pierod!

Poderwali się z rowu i ruszyli biegiem w stronę sań. Droga była wąska, nie zdoła wykręcić, nie ucieknie...

– Kurczę, dlaczego ten Mikołaj jest ubrany na czarno? – zdziwił się w duchu gminny sekretarz. Postać na sankach uniosła pepeszę...

– Padnij! – wrzasnął Szmaragdów, ale już było za późno. Seria głucho zadudniła i po chwili wróciła odbita echem.

– Ognia!!! – zawył kuląc się w rowie.

Bojcy przyczajeni po drugiej stronie drogi zaczęli strzelać. Domniemany Święty zeskoczył w śnieg i kryjąc się za burtą sań wyciągnął z torby pięć granatów... Opodał ryknął silnik czołgu. Pozostali czerwonoarmiści spieszyli z pomocą.

I nagle, jak na złość, zaczął z nieba walić gęsty śnieg. W ciągu kilku minut biały tuman zasnuł wszystko.

Rosjanin zaklął paskudnie i ruszył po omacku w kierunku sań. Potknął się o leżącego na szosie instruktora z powiatu. Dygnitarz trzymał się za przestrzelone udo i jęczał cicho.

– Spokojnie, do wesela się zagoi...

– Jestem już żonaty – jęknął urzędnik.

– Zaraz po ciebie wrócę, muszę zobaczyć co z innymi. Kilka metrów dalej natknął się na gminnego sekretarza. Ten także żył, był tylko niegroźnie ranny w ramię.

– Kurde, co to było? – zapytał zdumiony.

– Jak to co? Imperialistyczna faszystowska pułapka – burknął Rosjanin. – A wam co się wydaje, że siły klerykalne to tylko ideologicznie ludzi rozmiękczej? W każdej plebanii, jeśli dobrze poszukać, znajdzie się radiostacja, dynamit, karabin maszynowy... Walka z religią jest walką o przetrwanie komunistycznego społeczeństwa. O, sam zobacz. Za Świętego Mikołaja się przebrał, a karabin na wszelki wypadek miał...

Chwilę później dotarł do sań. Cztery renifery zginęły podczas wymiany ognia. Zapalił latarkę i oświetlał je po kolei. Nos jednego był nienaturalnie czerwony...

– A jednak – mruknął.

Przy saniach tłoczyli się spadochroniarze. Bagnety w dłoniach połyskiwały ponuro.

– Nie ma śladu, towarzyszu Szmaragdów – zameldował jeden z nich. – Uciekł...

– Daleko nie uszedł – twarz Rosjanina rozciągnęła się we wrednym uśmiechu. – Dopadniemy go we wiosce...

Święty Mikołaj pchnął rozklekotane nieco drzwi i wszedł do ciepłego wnętrza chaty. To już ostatnia... Odwali obowiązki i będzie mógł wracać do siebie...

– Witajcie gospodarze – powiedział i nieoczekiwanie umilkł w pół słowa.

Dwunastu żołnierzy celowało do niego z pepeszy. Dwie lufy pistoletów dźgnęły go od tyłu w plecy.

– Mam cię – syknął akademik Szmaragdów. – Kajdanki... Dwadzieścia minut później Mikołaj siedział w lochu.

Początkowo chcieli go umieścić pod komendą Milicji Obywatelskiej, ale ostatecznie wybrali piwnicę banku, opatrzoną grubymi, stalowymi drzwiami... Na wszelki wypadek. I od razu pierwsze przesłuchanie. W piwnicy zebrali się najbardziej oddani, wtajemniczeni w sprawę towarzysze. W budynku nad nimi wartę objęło trzydziestu żołnierzy. Nigdy nic nie wiadomo, a nuż Polacy zechcą odbić Świętego Mikołaja? Bojcy położyli na parapetach worki z piaskiem, wycelowali we wszystkie strony broń. Okna po prawdzie zamknęli, bo mróz był siarczysty...

Jakub dotarł do wsi przez opłotki. Wszędzie panował spokój, tylko z domów niosły się głosy. Ludzie śpiewali kolędy. Zajrzał ostrożnie przez szybę do jednej chaty, potem do kolejnej. Mikołaj tu był... Bo skąd wzięłyby się radioodbiorniki Philipsa, flaszki Johny

Walkera, puszki z szynką i inne dobra produkcji kapitalistycznej, gęsto pokrywające stoły? Tylko gdzie się podział? Przecież miał oddać konia... Zza pomnika wychynął cień. Semen.

– Jakub – powiedział poważnie. – Komuniści Świętego Mikołaja dorwali...

– O kurde – westchnął egzorcysta. – Gdzie go trzymają? Musimy go wyciągnąć...

– W banku. Trzydziestu ruskich go pilnuje... Nie damy rady.

Egzorcysta poskrobał się po głowie.

– Pamiętasz beczkę?

– Którą beczkę. A, tę... Jasne.

– Zakopaliśmy u ciebie, żeby mnie nie kusiło... Sto dwadzieścia litrów czterdziestoletniej śliwowicy. I akurat jest dobra okazja.

– Ziemia twarda jak kamień, ale mam kilof. Gibajmy do mnie.

Parę minut później do drzwi banku zastukali dwaj ośnieżeni tubylcy.

– Czego? – warknął ze środka dowódca

– Pugu, pugu, kozak z ługu! – zawołał wesoło Semen. – Przyszliśmy uczcić z wami wasz wielki sukces, towarzysze. Beczułkę wódki od wdzięcznych mieszkańców wsi przynieśliśmy.

Dowódca usiłował protestować, ale jego podwładni usłyszawszy o beczulce wódki wyciągnęli saperki. Skapitulował i otworzył drzwi.

Jakub i Semen wtoczyli beczkę.

– Śliwowica, czterdziestoletnia, specjalnie na taką okazję trzymaliśmy – nawijał Jakub. – I kielbasa na zagrychę się znajdzie...

Odbił szpunt. Niebiański zapach rozniósł się po ciasnym, bankowym holu. Zaraz też pojawiły się musztardówki.

– Wypijmy za wasze sukcesy w walce z zabobonem religijnym – zaproponował Semen.

Wypili, potem wypili na drugą nogę... Nie wiadomo skąd pojawiła się harmoszka i po chwili z trzydziestu gardeł popłynęła pieśń.

Wstawaj strona ogoromnaja

Idi na swiatyj bój...

Kolejne szklanice gulgotały z spragnionych gardzielach. Kielbasa znikła całymi metrami, w piecu dochodziły kartofle na zagrychę.

– No to zeznawaj, ptaszku – warknął Rosjanin. Święty Mikołaj popatrzył na niego z niejakim zdumieniem.

– Co mam zeznawać? – zdziwił się.

– Ty reakcjonisto... – parsknął Szmaragdów. – My ci zaraz pokażemy...

Święty uśmiechnął się lekko.

– Popelniacie poważny błąd – powiedział. – Wzięliście mnie za Świętego Mikołaja...

– A ty tylko udajesz? – gminny sekretarz nie wytrzymał.

– Ależ skądże. Jestem Dziadkiem Mrozem.

– Co!? – zdumiał się instruktor z powiatu.

– To dlaczego przyszedłeś w Wigilię a nie w Nowy Rok? – ryknął Szmaragdów.

– Po pierwsze po rewolucji zmieniliście kalendarz i teraz nowy rok wypada później – wyjaśnił Święty. – Poza tym, towarzyszu akademiku, czy czytaliście referat towarzysza Stalina „O problemach walki z zabobonem katolickim na terenach okupowanych?”

– Oczywiście, nawet sam go napisałem – wzruszył ramionami.

– A zatem pamiętacie postulat, by zmiany wprowadzać stopniowo? Najpierw Dziadek Mróz będzie chodzić zamiast Świętego Mikołaja, potem Wigilię przesunie się na Sylwestra, a dopiero potem utożsami treść z formą...

– Kurde... Faktycznie. Przecież sam to wymyśliłem. Nie sądziłem tylko, że już poszło do realizacji...

– Poza tym zwróćcie uwagę, że Święty Mikołaj był biskupem. A gdzie w takim razie mój pastor?

Faktycznie, zatrzymany pastorału przy sobie nie miał. Nie wiedzieli, że został w sankach...

– Ale Dziadka mroza też przecież nie ma! – zaprotestował nieśmiało gminny sekretarz.

Aresztant tylko się roześmiał.

– Chyba nie czytaliście rozprawy towarzysza Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm” na temat bytu, który określa świadomość – powiedział. – To przecież jasne, że jeśli odpowiednia liczba ludzi w coś wierzy, to staje się to rzeczywistością. Teza – antyteza – synteza – dialektyka... Sami najlepiej wiecie, że Lenin naprawdę jest wiecznie żywy – zwrócił się po rosyjsku do Szmaragdowa.

– Skąd wiecie? – zdumiał się akademik. – To przecież najściślej strzeżona tajemnica państwowa...

– Jestem emanacją wiary milionów radzieckich dzieci, powołaną do życia przez akt twórczy partii komunistycznej – oświadczył z godnością. – Jestem ucieleśnieniem samego komunizmu. Nie zastanawiało was, dlaczego noszę czerwony płaszcz? – Święty Mikołaj z zadowoleniem zauważył, że zastosowana przez niego metoda prania mózgów zaczyna przynosić spodziewane efekty. – Jestem komunistą nawet lepszym niż wy! Ja mam światopogląd wrodzony, podczas gdy wy musieliście sobie przyswajać...

– Oj... – wyrwało się instruktorowi.

– Tam pod lasem doszło do potyczki z siłami reakcyjnymi, które chciały się przedrzeć do wsi tylko po to, żeby mnie złapać i wykończyć. Nie pierwszy już raz... A wy, patałachy, zamiast złapać tamtego, dorwaliście mnie...

– Przepraszamy najmocniej – Rosjanin zdjął kajdanki.

– Brawo. Grunt to dialektyczne myślenie – więzień obdarzył go uśmiechem.

Teraz dopiero zobaczyli, że część zębów ma zgodnie z radziecką modą odlanych w złocie.

– Pora na mnie – powiedział. – Choć miło się gawędzi, ale sami rozumiecie, dzieci czekają...

Sięgnął do porzuconego w kącie worka. Dotąd wór wydawał się zupełnie pusty, ale domniemany Dziadek Mróz wydobył ze środka dwanaście opasyłych tomów oprawionych w złoconą skórę.

– Dzieła Stalina, luksusowe wydanie, tylko dla ścisłego kierownictwa i członków politbiura – pochwalił się. – Z autografem autora. To dla was, towarzyszu Szmaragdów... I jeszcze skromny datek na rozwój Instytutu Badań Materializmu Dialektycznego... – Wydobył dwadzieścia paczek sturublowych banknotów. Paczki były pospinate bankowymi banderolami. – Tylko poproszę pokwitować – podsunął blankiet. – A dla was – zwrócił się do gminnego sekretarza i instruktora z powiatu – po flaszcze stolicznej...

Flaszki były dwulitrowe i miały ozdobne, tłoczone złotem etykiety z okazji kolejnej rocznicy rewolucji październikowej.

– Bywajcie – uśmiechnął się i podreptał po schodach na górę.

Impreza w holu bankowym właśnie dogasała. Radzieccy spadochroniarze leżeli pokotem. Jakub i Semen z trudem trzymali się na nogach, ale dzielnie przetrwali ciężką próbę. Nie tak łatwo jest przeć trzydziestu ruskich żołdatów...

– O, wy tutaj? – zdziwił się Mikołaj, wychodząc z lochu.

– Przyszliśmy cię ratować – wyjaśnił Jakub.

– Wiem – święty zapuścił telepatyczną sondę i błyskawicznie ocenił sytuację. – Na ciebie Jakub można zawsze liczyć... Tak jak na twojego ojca, pamiętam jak razem wymykaliśmy się z oblawy agentów ochrony... Ale niepotrzebnie się narażaliście. Jak widzicie, też nieźle daję sobie radę.

– Wystrzelali twoje renifery – mruknął egzorcysta.

– Trudno, dostanę nowe...

Wyszli na mróz. Wędrowycz wręczył gościowi litrową butelkę śliwowicy.

– Tylko tyle zostało na dnie beczki – usprawiedliwiał się.

– Dzięki. Wypiję wasze zdrowie. Pora na mnie – powiedział Święty. – Ale jeszcze coś wam za ten trud podaruję...

Sięgnął do worka i wydobył nowiutkie gumofilce.

– Prowodnik z Rygi? – zdumiał się Jakub. – Przedrewolucyjne, od trzydziestu lat się takich nie produkuje...

– No przecież nie dałbym ci jakiejś tandety – uśmiechnął się Mikołaj. – A to dla ciebie, Semen. – Wyciągnął białogwardyjski sort mundurowy. – Tylko pamiętaj, założyć możesz dopiero na prawosławną wigilię, 6 stycznia...

– Zaraz założę, dawno już zmieniłem religię – stary kozak ucieszył się wyraźnie.

– To co, zobaczymy się znowu za czterdzieści lat? – zasepił się Jakub.

– Niestety. Takie są zasady...

Akademik Szmaragdów siedział w czarnej wóldze. Uczucie podekscytowania nie pozwalało mu spokojnie myśleć. A zatem Dziadek Mróz faktycznie istnieje! W brulionie Rosjanin spisał już wstępny raport dla Instytutu i ze wzruszeniem pogładził skórzane grzbiety opasłych tomiszczy. Piękne wydanie. Ekskluzywne. Cała Akademia Nauk będzie zazdrościć. I jeszcze autograf samego Autora! Obok spoczywały równo ułożone pliki radzieckich banknotów. Samochód przyhamował. Granica. Kontrola, trzeba było wysiąść i wejść do budynku. Uczony podał paszport celnikowi.

– Wracacie z Polski? – wachman obrzucił go chmurnym spojrzeniem.

– Tak.

– Otwórzcie walizkę, towarzyszu – rozkazał.

Akademik spokojnie postawił ją na stole obitym ocynkowaną blachą. Uniósł wieko. Celnik tylko rzucił okiem do wnętrza i natychmiast poderwał karabin do strzału. Oparł oksydowaną na czarno lufę o pierś naukowca.

– Pod ścianę, ścierwo! – ryknął.

– O co chodzi? – jęknął przestraszony. Ale ten już nawijał do radiotelefonu.

– Kapitanie? Posłusznie melduję, że dorwałem tu jakiegoś szpiona. Ma całą walizę dzieł Trockiego. Z autografem i dedykacją! Tfu! I z pół metra sześciennego amerykańskich dolarów...

Gminny sekretarz i jego kumpel nalali sobie jeszcze po szklance wódki z pamiątkowej butelki od Dziadka Mroza.

– Kurde, coś mi tak w oczach mroczki latają – poskarżył się instruktor z powiatu.

– Pijmy szybciej, bo się ściemnia...

Czterdzieści lat później.

Jakub z Semenem siedzieli właśnie przy kadzi fermentacyjnej i smakowali zacier – czy już dojrzał. Totalne rozleniwienie ogarnęło ich bardzo szybko i po drugiej już szklance stwierdzili, że pędzenie bimbru nie jest w zasadzie konieczne, skoro można pić dziesięcioprocentową ciecz z kadzi...

– I rozumiesz, w tej książce sci-fi co ją czytałem, to mieli taką jaskółkę sztuczną, a w niej była kamera i silniczek – tłumaczył Semen. – Ot, taki szpiegowski samolocik.

W tej chwili na zaśnieżonym parapecie szopy wylądował gawron.

– Gliniarze samolot na przespiegi przysłali! – zawył egzorzysta i wypalił sześć razy z rewolweru.

Przez rozbłą szymbę powiało chłodem, więc zawiesili okno szmatą i napili się jeszcze.

Jakub ocknął się rankiem na pogryzionej przez myszy podłodze szopy.

– Wot te na – powiedział sam do siebie. – Tak na dobrą sprawę to jeszcze żem gliniarskiego gawrona nie widział... Kamerę się wydłubie i spyli, a ptaka do gara.

– To nie prawdziwy, tylko sztuczny – wymamrotał stary kozak.

Surowy zacier przyjemnie go sponiewierał. Jakub wyszedł i brnąc przez śnieg dotarł pod okno. Ptak, a raczej to co z niego zostało po sześciokrotnym trafieniu pociskami z nagana, ciągle tu leżał. Ku zdziwieniu egzorcysty, kamer w środku nie było.

– Kurde – rozczarował się.

Nieoczekiwanie na jego podwórko wpadł milicyjny tarpan. Ryknęła syrena. Jakub był tak przygnębiony sprawą z ptakiem, że nawet nie rzucił się do ucieczki. Z tarpana wysiadł dziarsko Birski.

– Rewizja! – huknął.

Egzorcysta miał tyle instynktu, że nieznacznie upuścił broń w śnieżną zaspę. Gliniarze uwinęli się szybko.

– Sto dwadzieścia litrów zacieru w beczce – zameldował Rowicki, wychodząc z szopy.

– Wy, obywatelu Wędrowycz, jesteście niepoprawnym grzesznikiem – surowo powiedział posterunkowy. – Gotowego bimbru nie znaleźliście?

– Ani kropli. Ale leży tam ten cały Semen. Pochlali się chyba w nocy samym zacierem... Ten też ledwo na nogach ustoi...

– Za sam zacier nie możecie mnie skazać – wybełkotał Jakub.

– Nie, ale pewnie jakbyśmy wpadli jutro, to już będzie nie zacier, a bimber? – zagadnął gliniarz.

– Nie udowodnicie mi tego... Posterunkowy uśmiechnął się lekko.

– Kiedy to Wigilia? Pojutrze? Chłopaki, wylejcie tę beczkę do rowu i posypcie dobrze chlorem. Nowego zacieru już nie zdąży nastawić. Będą mieli tu na Majdanie suche święta w tym roku.

– A żeby cię pokręciło, łapsie...! – zawył Jakub. – A tak swoją drogą, kto mnie sypnął?

– Józef Bar... Co wy, Wędrowycz! Chcecie żebym zdradził tajemnicę służbową?

Godzinę później obaj starcy siedzieli na ławce patrząc ponuro na zamarzającą kałużę zacieru.

– A z nachlorowanego nie da się pędzić? – zagadnął Semen.

– Gdzie tam, ludzi bym potruł... Trudno, trzeba będzie napić wieś z rezerwy... A tym pachółkom to ja jeszcze pokażę – pogroził pięścią w kierunku miasteczka i posterunku.

– A co im możemy zrobić? – westchnął Semen. – Chyba że została jeszcze ta skrzynka dynamitu po ojcu?

– U mnie zawsze coś się znajdzie, ale... – oczy Jakuba zabłyśły paskudnie. – Który mamy rok? – zagadnął.

– Rok? Chyba 1988 – mruknął Semen. – No tak, bo to niedawno dziewięćdziesiąt pięć lat obchodziłem. A czemu pytasz?

– To rok Świętego Mikołaja – przypomniał mu kumpel. – W każdym razie zapowiadał się.

– Ty, faktycznie! – ucieszył się Semen. – Zapomniałem na śmierć... Ciekawe, kto jeszcze w niego wierzy... Bo chyba tylko do tych przyjdzie...

– Nie, przychodził zawsze do wszystkich – przypomniał sobie Jakub. – Ano nic, muszę napisać list.

– Do Świętego Mikołaja? Tylko dzieci piszą.

– A mnie co? Nie wolno? – zeżlił się egzorcysta. – Każdy może...

Gdy tylko Semen podreptał do chałupy, Jakub usiadł wygodnie przy stole. Przetrząsnął szufladę i wydobył obsadkę po dziadku oraz kałamarz z resztką jeszcze przedwojennego atramentu. Ze strychu ściągnął paczkę okręconą dobrze w nawoskowany papier. Zasłonił starannie okno i wyjął ze środka... elementarz. Pamięć go nie zawiodła.

Na jednej z ostatnich stron był podany cały alfabet i nawet rysunki, jak to trzeba rysować, gdy się ręcznie pisze.

Przyciął kawałek papieru opakunkowego nożem i pośliniwszy obsadkę, zaczął w skupieniu gryzmolić. Około północy skończył. List wyszedł mu bardzo ładnie, całe cztery linijki. Walnął jeszcze swój podpis żeby Mikołaj wiedział od kogo przyszło. List położył na parapecie. Wprawdzie lepiej byłoby go wysłać pocztą, ale nie znał adresu. Zresztą nie miał i koperty.

W wigilijny poranek przed domem Jakuba zatrzymały się sanki zaprzężone w cztery renifery. Święty Mikołaj zeskoczył z kozła i wszedł do chałupy.

– Jakub, kopę lat – przywitał się.

Uścisnęli sobie dłonie. Egzorcysta postawił na stół flaszkę śliwownicy. Wypili, zakąsili, chlapnęli na drugą nogę bo po pierwszym się przecież nie zakąsza... Potem wypili trzeciego, bo *Boh trojcu lubit*, potem czwartego bo chata ma cztery kąty a koń cztery kopyta. Potem po piątym, bo ręka ma pięć palców, a czołg czterech pancernych i psa, potem po szóstym, bo tydzień dawniej miał sześć dni roboczych, potem po siódmym, bo jednak siedem dni w tygodniu było, a skarb zawsze leży siedem kroków od miejsca, w którym się go szuka...

– To, o co prosiłeś, jest niezgodne z przepisami – powiedział Mikołaj po ósmym. – Ale, kurczę, ty i twój ojciec dwa razy ratowaliście mnie od zguby, to myślę że przymkniemy oko na paragrafy.

– Nie mówmy o tym co legalne. Mówmy o tym co możliwe – ucieszył się Jakub.

– Worek działa tak: sięgasz do środka...

Birski siedział ponuro na komendzie. Sam jak palec. Ale co robić? Losowali kto ma objąć

służbę w Wigilię i wypadło na niego. Lud w okolicy spokojny, nie będzie awantur, ale na wszelki wypadek milicja musi czuwać... W zasadzie trzeba było aresztować Wędrowycza do wyjaśnienia – siedziałby teraz w celi, byłoby z kim pogadać, mogliby nawet, choć to niezgodne z przepisami, wypić po jednym... A jeszcze te idiotyczne plotki, że ponoć Święty Mikołaj się pojawi. Prawdziwy. Słyszał o tym od dawna. Lud w okolicy upiornie zabobonny...

Nieoczekiwanie ktoś zastukał do drzwi.

– Wejść – huknął Birski.

Powiało chłodem i w drzwiach stanął Święty Mikołaj. I to prawdziwy, nie taki jakich się maluje na pocztówkach. Czerwony płaszcz ze złotogłowi, biskupia mitra na głowie, pastorał w ręce, worek na plecach. W jego sylwetce było coś niepokojąco znajomego.

– Witaj, gliniarzu – powiedział gość. – Wszystkiego najlepszego.

– Kim ty jesteś? – Birski chwycił za broń.

– Nie oszukuj się komunisto-ateisto. Dobrze wiesz, kim jestem... I prezent mam... Mikołaj sięgnął do worka.

– Proszę – położył na biurku nowiutki pistolet maszynowy Uzi. – Bo tą swoją zardzewiałą tetetką to sobie możesz w uchu podłubać, a nie ścigać przestępców...

– To niemożliwe – milicjant obmacał broń.

Była prawdziwa, palce nie zapadały się w metal... Mikołaj postawił jeszcze na stole butelkę czekoladowego likieru.

– A to do poczytania w wolnych chwilach. – Na odchodnym położył na półce stosik książek. – I pamiętaj na przyszłość, żeby nie zaczepiać Jakuba Wędrowycza, bo różgę dostaniesz – pouczył Święty i skierował się do wyjścia. Ogłupiały posterunkowy oglądał broń... To było coś, kumple z innych posterunków będą zazdrościć... Ale przecież... Mikołaja nie ma! Cholera! Uzi nie zniknęło. Może jednak Mikołaj istnieje? Napił się szklaneczkę likieru. Był wspaniały w smaku. Nalał sobie jeszcze jedną.

Minęła może godzina, gdy przed komendą z piskiem opon zatrzymał się radiowóz. Lotna brygada z Lublina. Dwaj inspektorzy weszli bez pukania na posterunek.

– Kontrola – powiedział jeden pokazując legitymację.

– Posterunkowy Birski melduje...

– Spocznijcie. Co to do cholery jest? – inspektor spoglądał na spluwę leżącą ciągle na blacie.

– Posłusznie melduję, że pistolet maszynowy.

– Widzę. Co on tu robi? Nie macie tego na wyposażeniu!

– Święty Mikołaj przyniósł – uśmiechnął się radośnie gliniarz.

Inspektor jakoś zupełnie nie podzielał jego radości.

– Święty Mikołaj? – wycedził. – Dmuchnijcie w balonik. No, ładnie, lewa spluwa i jeszcze ponad trzy promile. Pójdziecie z nami.

Drugi przeglądał książki zostawione przez Mikołaja.

– Dzieła Janusza Korwina-Mikke – mruknął. – Drukowane przez jakąś lewą, podziemną drukarnię Co wy, posterunkowy, na własnej komendzie agitujecie antypaństwowe?

Trzasnął ze złością książką o regał. Z wnętrza wyleciała legitymacja członkowska Unii Polityki Realnej i – jak stadko motyli – dwadzieścia banknotów studolarowych...

Zbliżał się Nowy Rok, toteż główna sala knajpy była pełna ludzi. Jakub i Semen siedzieli przy swoim stoliku w kącie. Towarzyszył im jakiś przyjezdny, ubrany w obszerny szary płaszcz z wielbłądziej wełny. Szerokoskrzydły kowbojski kapelusz ocieniał mu twarz, obfita biała broda znikła przyciśnięta krawatem i wpuszczona w dekolot kraciastej, flanelowej koszuli.

– Zdarowia – Jakub uniósł kufel i wypili siódmą kolejkę. Drzwi na ulicę otworzyły się i stanął w nich Bardak.

– Józek, co ci się stało? – zapytał któryś z meneli na widok kumpla.

Bardak wyglądał faktycznie nieszczególnie. Cały obity na ryju, sponiewierany...

– Oberwałem – powiedział.

– Kto cię tak załatwił?

– Święty Mikołaj różgę mi przyniósł – poskarżył się konfident. – I nawet od razu wypróbował...

Trzej klienci siedzący przy stoliku w kącie z trudem powstrzymali wybuch śmiechu.

JAKUB WĘDROWYCZ I SIEDMIU KRASNOLUDÓW

Las był ciemny i cichy. Silnik starego motocykla wesoło terkotał. Balanga w Grabowcu była bardzo udana. Jakub i Semen popili z dawno niewidzianymi kumplami i teraz, coniebądź zawiani, wracali do domu... Wypili mniej więcej tyle co zwykle, więc egzorcysta nie miał żadnych problemów z prowadzeniem pojazdu. Wybrali jednak drogę przez las, gdyż na szosie mogli natknąć się na gliniarzy. A po co komu badanie alkomatem?

Poza tym ci biedni gliniarze... jakie toto naiwne i nieporadne... Jakub do dziś pamiętał, jak kiedyś kazali mu dmuchać w takie elektroniczne gówno i coś tam się na skali pokazało, że siedem czegoś, procent czy promili... Mało zawału nie dostali. Ponieważ, mimo wszystko, uważał iż czasem bywają pożyteczni, zdecydował się, w nagłym przypływie troski, oszczędzić im tej nocy stresów. Zresztą na szosie o tej porze było zbyt niebezpiecznie. Mogli wpaść pod koła jakiegoś pijanego Ruskiego...

Wioskowy czarownik w wyświechtanej, czarnej szacie stanął na progu kuźni. Kowal i Sieńko wypili sporo podlej gorzałki, ale nie ukoilo to smutku rozdzierającego ich dusze. Mag przysiadł się do nich i zaczerpnął kubek mętnego samogonu. Pociągnął długi łyk, a potem splunął w palenisko.

– Do kata! Królewska gorzelnia zupełnie już schodzi na psy.

Kowal tylko chlipnął.

– Słuchajcie no, mistrzu Macieju – zwrócił się do niego gość. – Córka wasza zapewne jeszcze żyje. Dwa dni minęły od jej zniknięcia, a to twarda dzioucha...

– Ja ich zaraz... – Sieńko ciężko dźwignął się z ławy, kładąc dłoń na rękojeści tkwiącego za pasem noża.

– Głupiś jak nasz król – mruknął Mag. – Nie tacy próbowali. Tu trzeba sposobem, a nie siłą. W dzień nie ma szans, zawsze kilku patroluje las, nawet daleko od ich siedziby. Trza w nocy, jak popijają się i zasną, tylko że wtedy można wleźć na wnyki lub inną pułapkę... No i, co najgorsze, to tałatajstwo widzi w ciemności jak koty.

– Magiczne okulary – rzemieślnik otarł oczy. – Miałeś przecież kiedyś...

– A i owszem, ale pół roku temu agenci Obskury skonfiskowali. Musiał się król długo szykować, i doradcę ma dobrego, skoro na to wpadł – dodał ponuro.

Kowal poczłapał w kąt i wrócił z ciężkim dzbanem. Wysypał na stół stosik złotych i srebrnych monet.

– Ile kosztuje wynajęcie rycerzy? – spojrzał na Maga.

– To, od biedy, wystarczy na trzech...

– Trzech fachowców wysiecze siedmiu krasnoludów? – z powątpiewaniem w głosie zapytał Sieńko.

– No, w każdym razie mają spore szansę. Problem w tym, że niestety najbliższych znaleźć można dopiero w Dolon. Liczymy cztery dni drogi w jedną stronę. Osiem

– Dziewczyna nie przeżyje jeszcze dziesięciu dni gwałcenia – mruknął Sieńko. – Pójdę w nocy. Sam. Może mi się uda.

– Mam inną propozycję – powstrzymał go Mag. – Sprowadźmy wojowników z drugiego świata.

– Tego, z którego przybył rycerz Mitrofanow? – zdziwił się Kowal.

– Właśnie. Fachowców od zabijania, z ich magicznymi okularami, wielopałami, samojezdami i inną bronią...

– Bierz się do dzieła – kowal przesunął stos złota w stronę Maga. Ten odsunął monety.

– Macieju – powiedział z naganą. – Schowaj to...

– A zatem, panie, powtórzmy raz jeszcze całą procedurę – rzekł nadworny Astrolog.

Z okna komnaty widać było wieś i rozciągający się za nią rezerwat. Strużka dymu bijąca w niebo wskazywała miejsce, gdzie zbudowały swoją siedzibę krasnoludy.

– Dobra.

Król spoczywał na sofie. Wyglądał jak maciora; różowa barwa jego twarzy i maleńkie, podejrzliwe oczka podkreślały to podobieństwo.

– Wchodzisz, panie, w las. Zakładasz magiczne okulary – wskazał gestem radziecki noktowizor. – Odnajdujesz chatę krasnoludów. Szykujesz sobie na schodkach ołtarza piętnaście kusz z zatrutymi bełtami. Podpalasz im chałupę od tyłu i, gdy będą pryskali, kasujesz ich po kolei, waląc z kuszy. Następnie dobijasz rannych: każdy musi dostać pchnięcie kontrolne w serce, A potem rozwalasz szklaną trumnę i przywozisz królowną do mnie, a ja ją budzę z letargu...

– Z drużyną czułbym się rażniej – władca pociągnął łyk wina. – To walenie z kuszy wydaje mi się niebezpieczne. Co będzie, jak nie trafię?

– No cóż – powiedział Astrolog. – Masz piętnaście strzałów, a ich jest raptem siedmiu.

– Mimo wszystko to ryzykowne – mruknął król. – Słabo mi idzie strzelanie... Poza tym oni też mogą być uzbrojeni.

– Liczmy na to, iż pożar zdeorientuje ich do tego stopnia, że wyskoczą z domu w samych gaciach.

– A ja myślę, że trzeba zrobić inaczej – burknął. – Podpalenie domu jest jak najbardziej po mojej myśli, tyle tylko że wolałbym drzwi zaprzeć kołem, a na wszelki wypadek na polanie ustawić baterię siedmiu kartaczownic. Poza tym, krasnoludami zając się mogą moi ochroniarze, a ja w tym czasie uratuję królową.

– To niezgodne z tradycją – zauważył Astrolog.

– Mam w dupie tradycję. Pora wprowadzić nową, przecież to niedorzeczne, aby człowiek mojej rangi uganiał się po lesie za jakimiś pokurczami.

– W czasach dziada waszej wysokości, członek królewskiego rodu szedł do lasu tylko w przepasce na biodrach i z włócznią w ręce...

– Bajki dla głupich dzieci. Przecież w nocy w lesie jest zimno... – władca szczerzej owinał się skórą. – Która to? Południe za pasem. Każ podawać trzecie śniadanie, głodnym...

Jechali i jechali, aż wreszcie Jakub zatrzymał motocykl. Rozejrzył się dookoła.

– Coś jest nie tak – powiedział do Semena.

– Poblądziłeś?

Bezradnie rozejrzył się wokół.

– No... tak jakby – przyznał. – Coś jest nie tak – powtórzył.

Kozak rozejrzył się.

– Masz rację – mruknął. – Nie poznaję tego miejsca. I drzewa powinny być inne. – Tu zawsze był las liściasty, a tymczasem otaczał ich zbity gąszcz. Wokół rosły buki, ale pomiędzy nimi coraz gęściej pojawiały się...

– Ty, co to, u diabła, za gatunek? – egzorzysta popatrzył podejrzliwie na najbliższe drzewo. – Przecież nie choinka?!

– Mnie to wygląda na libański cedr – odparł niepewnie kumpel. – Ale w naszym klimacie podobno w ogóle nie rośnie.

– To może syberyjski cedr? – podsunął Wędrowycz. – Jak na Syberii rośnie, to i u nas wytrzyma. I szyszki ma fajne, z orzeszkami w środku...

Podszedł do najbliższego drzewa i wyciągnął dłoń, żeby dotknąć kory. Palce wlażyły jak w galaretę.

– Faktycznie obce – mruknął. – Te zagraniczne drzewa to jak z gówna zrobione – splunął z obrzydzeniem.

Kozak w milczeniu patrzył w niebo.

– To nie nasze gwiazdozbiory – stwierdził.

Jakub potrząsnął łbem, żeby trochę oprzytomnieć. Rozejrzył się spokojnie wokół. Niektóre drzewa rosły posklejane z sobą.

– Przenikają się dwie rzeczywistości – powiedział poważnie. – Nasz las z tamtym lasem.

– Z jakim tamtym? – zaniepokoił się Semen.

– No, libańskim. Dlatego ręka wlaźła mi w pień: to przebiega stopniowo. Obce stają się coraz bardziej materialne, nasze coraz mniej...

W tym momencie dłoń, którą trzymał na kierownicy, przeleciała przez nią na wylot. Semen zdążył wyskoczyć z kosza i po chwili motor był już tylko rozmazującym się fantomem wiszącym w powietrzu. Las rzedł w oczach, ale znikwały wojsławickie buki i dęby.

– Wygląda na to, że utknęliśmy tutaj – mruknął egzorcysta. – W tej Libii to po jakiemu gadają?

– Po arabsku – wyjaśnił kozak. – Tyle, że my jesteśmy w Libanie.

– To po jakiemu?

– Też po arabsku – wzruszył ramionami.

– A, to w porządku... odetchnął z ulgą.

Z dali rozległo się ponure wycie wilka. Obaj wyciągnęli pistolety.

– Trzeba, po pierwsze, znaleźć cywilizację, po drugie polską ambasadę i wracamy do domu – zadysponował kozak. – Dogadać się jakoś dogadamy, ci w ambasadzie powinni rozumieć po polsku.

– A którądy do tej ambasady? – zaniepokoił się Jakub.

Semen spojrzał w niebo i poskrobał się po głowie.

– Cholera – powiedział. – Tego to nawet nie wiem, więc może po prostu idźmy prosto przed siebie? Tu, na południu, noce są krótsze.

Ruszyli naprzód. Wycie wilków dobiegało to z lewa, to z prawa. Księżyc powoli zapadał za las, a oni niestrudzenie wędrowali. Wreszcie wyszli na niewielką polankę. Na jej środku stało coś w rodzaju ołtarza, a na nim szklana trumna.

– Hy – ucieszył się Jakub, – starożytny zabytek. Ciekawe jakiej kultury?

– W Libanie to greckiej – wyjaśnił kozak. – Albo żydowskiej może... Skoro już tu jesteśmy, to sobie pozwiedzajmy.

Wleźli po schodkach. Księżyc schował się za chmurę.

– To pewnie ciało Aleksandra Macedońskiego – zauważył kozak – Przechowywane w szklanej trumnie.

– Kurde, a ja myślałem, że to Lenin – Wędrowycz zawstydził się swojej niewiedzy. – A ten Macedoński to kto? Bo nazwisko jakby polskie?

– Gdzie tam, taki Grek skundlony, co próbował podbić cały świat...

– Ambitny typek. – Jakub wyjął z kieszeni paczkę zapalek i odpaliwszy jedną, przyświecił sobie.

Szkoło nawiercono, tworząc kilkanaście dziurek do oddychania. W trumnie, na atlasowym prześcieradle, spoczywała jakaś naga, nieletnia blondyneczka.

– Hy – oblizał się. – Pomyliłeś się. To widać córka tego Macedońskiego... I żyje chyba, bo oddycha – wyciągnął z kieszeni paczkę podrabianej, ukraińskiej viagry. – Masz może

śrubokręt?

W tym momencie na polanę padł żółty poblask. Wstający świt wyłowił z mroku kamienną ścianę niewielkiego domostwa stojącego na skraju polany. Blask padał z okna. Skrzypnęły okute drzwi.

Obaj starcy zdążyli przypaść do ziemi, gdy nad ich głowami zaroilo się od bełtów z kuszy.

– Chyba ci Macedończycy tego pilnują – mruknął Jakub. – Chodu!

Po dwóch godzinach pędzenia na oślep zgubili wreszcie pościg.

– Uch – Semen trzymał się za serce. – Blondynek ci się, stary dziadu, zachciało.

– Nie gadaj, sam byś sobie z taką... – warknął Jakub ciężko dysząc. – swoją drogą, w tym Libanie to zacofanie straszliwe, żeby broni palnej nie znać. Ale dla nas to i lepiej.

– To chyba nie jest Liban – powiedział. – Tu by nas przydusili do ziemi serią z kałasza...

Milczeli dłuższą chwilę.

– Sądzisz, że to drugi świat? – zapytał wreszcie niepewnie egzorcysta.

– Nie da się wykluczyć. Trzeba obejrzeć faunę, jeśli są tu smoki, to niewykluczone.

Milczeli przez chwilę a potem podjęli wędrówkę. Las powoli rzedł i wreszcie wyszli na skraj urwiska. W rozległej dolinie widać było niewielką wioskę, kurne chaty kryte drewnianym gontem, krzywe plecione płoty, zamek na horyzoncie...

– Faktycznie, jakby inny świat – mruknął Jakub. – Trza coś zeżreć i kombinujemy, jak się stąd ulotnić.

Chata kryta popękaną dachówką stała na pagórku opodal lasu. Podróżnicy zbliżyli się do plecionego z chrustu płotu.

– Wymienimy zapalniczkę na coś do żarcia – zdecydował egzorcysta.

W tej chwili drzwi uchyliły się. Stał w nich wysoki, chudy jak szczapa typ w długiej szacie.

– Hy, transwestyt – ucieszył się Semen.

– Nie transwestyt, tylko czarodziej – poprawił go Jakub. – Coś mi się wydaje, że nie trafiliśmy tu przypadkowo.

– Witajcie, przybysze z innego świata – uśmiechnął się stojący w drzwiach gospodarz.

W następnej chwili uśmiech zgasł mu razem ze świadomością, bo Wędrowycz zamalował go w mordę.

Mag doszedł do siebie we wnętrzu swojego laboratorium. Spoczywał niewygodnie na kamiennej posadzce. Jakub parę chwil wcześniej wsadził pogrzebacz do paleniska i teraz z zadowoleniem obserwował, jak żelazo przybiera ciemnowiśniową barwę. Stary kozak po kolei odkorkowywał flaszki z tajemniczymi miksturami i w poszukiwaniu alkoholu badał węchem ich zawartość.

– O do licha – mruknął sponiewierany czarownik.

– Widzisz? – uśmiechnął się egzorcysta do kumpla. – Mówiłem, że w tych światach

równoległych zawsze mówią po naszymu. A teraz gadaj, robaczku, po cholere żęś nas tu ściągnął? Nie wierzę w przypadki, więc lepiej będzie, jak wszystko uczciwie wyznasz.

– Dobra – odparł. – Ale to będzie długa historia.

– Nie musimy się spieszyć – egzorcysta dosypał węgla do paleniska.

Kozak wreszcie znalazł antałek z samogonem i nalawszy sobie do szklanicy, usiadł wygodnie, by posłuchać opowieści.

– Zaczęło się od zarazy wenerycznej, która zdziesiątkowała królewny. Już wcześniej bywały problemy, ale teraz to już zupełny kłops.

– No to co? – wzruszył ramionami Jakub. – Chłopek i mieszczonek też ubyło?

– No nie, ale wiecie, królewiczowi nie wypada z mieszczoneką albo z chłopką się żenić...

– Hy, a może by tak urządzić im rewolucję i wprowadzić republikę? – zadumał się Jakub.

– Czy ty zdurniał? – zgromił go Semen. – Jedną rewolucję już przeżyłem. To w zupełności wystarczy!

– Dobra, gadaj dalej.

– Jest jeden precedens, dość paskudny ale otwierający pewne możliwości... – podjął Mag.

– Widzicie, utarł się taki zwyczaj, że krasnoludy...

– Masz na myśli takie małe pokurcze z kuszami, metr wzrostu, zarośnięte na gębach i pierońsko agresywne?

– Dokładnie te. A więc, jest takie prawo, strasznie stare i wynikające z zapomnianych dawno zwyczajów... Otóż krasnoludy są zawsze płci męskiej...

– Ok. To jak się rozmnażają? – Semen studiował kiedyś biologię i teraz bez trudu wyłapał fałsz.

– Przynoszą je czarne bociany. Usiłowaliśmy wybić to pierzaste tałatajstwo, ale to nie takie łatwe.

– W porządku – Jakub machnął ręką. – Gadaj dalej.

– No więc krasnoludy nie mają kobiet, ale za to obdarzone są potwornym popędem płciowym. Dlatego też porywają nasze dziewczęta, wprowadzają w stan letargu i używają, aż wykończą... Zazwyczaj ze dwa tygodnie to trwa.

– Tfu! – splunął ze zgrozą egzorcysta.

– Ale taka dziewczyna, jeśli królewicz albo księżę zdoła ją odbić z ich rąk, zwyczajowo traktowana jest jak królewna. Tak każe nasza tradycja. I można się z taką żenić.

– Hmm – mruknął Wedrowycz. – Jak rozumiem, wasz król postanowił skorzystać z tego przywileju?

– Dokładnie. Wiecie, krasnoludy ostatnio prawie udało się wytępić, ale ten drań wydał zarządzenie, że las jest królewskim rezerwatem i nikomu nie wolno tam wchodzić. A potem wystarczyło parę miesięcy i się zaległy...

– Czegoś tu nie rozumiem – kozak odstawił kubek z bimbrem na stół. – Wszystko to bardzo ładne, ale do cholery, dlaczego my znaleźliśmy się tutaj?

– No bo – czarodziej spuścił wzrok – wiecie, siedzi ich tam, wedle moich obliczeń, aż siedmiu. To twarde sukinsyny i niełatwo je zabić. W pojedynkę, czy nawet we dwudziestu, nawet nie warto próbować. Trza by skrzyknąć wszystkich chłopa z okolicy, uzbroić i przeczesać las. Ale król bydlak, gdyby się dowiedział, to... – przesunął palcem po gardle. – Dlatego pomyślałem, że gdyby tak zniknęły w niewyjaśnionych okolicznościach... Dlatego ściągnąłem was: wojowników z drugiego świata.

W tym momencie rozległ się łomot. Ktoś walił do drzwi.

– Otwieraj, ty plugawy sukinsynu!!! – rozległo się. – Albo wykurzymy cię jak lisa z kurnika!

W chwilę potem ktoś wypalił z hakownicy pod klamkę i drzwi stanęły otworem. Do środka wdarło się kilkunastu osobników w szarych, skórzanych płaszczach przeciwdeszczowych. Wszyscy mieli ciemne okulary i uzbrojeni byli po zęby. Idący na przód wyciągnął odznakę.

– Obskura – huknął.

– Królewska tajna policja? – przeraził się Mag. – Jesteś aresztowany pod zarzutem użycia czarów w królewskim rezerwacie. Wszystko widzieliśmy, chciałeś otworzyć bramę między światami, by krasnoludy pobłądziły i utknęły tam... Odpowiesz za narażenie na śmierć istot rozumnych

– Każdy sąd mnie uniewinni – odgryzł się. – Krasnoludy nie są rozumne...

– Zabrać go! – huknął wachman. – A wy co za jedni? – spojrzał podejrzliwie na Semena i Jakuba.

– Klienci z wioski – zełgał egzorcysta. – Przyszliśmy po proszek na niemoc płciową.

– Tfu, obleśne dziadki, wracać do chałup pod pierzyny! – ryknął. – Panienek się zachciewa!

Tajniacy wyszli, ciągnąc opierającego się czarodzieja. Zapakowali go do nieoznakowanej szarej karety i pojazd odjechał drogą do zamku, wzniesając za sobą smugę złocistego kurzu.

– Niech to... – mruknął Semen. – Nie mogli się spóźnić pięć minut? Zaczął już z sensem gadać. A tak, w zasadzie nie wiemy na czym stoimy.

– No cóż – poskrobał się po głowie Jakub. – Trzeba gościa wyciągnąć z lochu, miejmy nadzieję, że nie zostanie powieszony od razu...

Spróbował czarodziejskiego samogonu.

– Lichota – ocenił. – W bimbrologii trza by ich też podszkolić. A na razie rozglądnijmy się po okolicy.

Ruszyli do wioski.

Na skraju osady stała kuźnia. Widać od dawna funkcjonowała, bo gleba naokoło pokryta była rdzawym nalotem. Obaj podróżnicy szukali szynku i minęliby ją, lecz dobiegający z wnętrza szloch zwrócił ich uwagę.

– Ktoś płacze – zauważył Semen.

– Nie można zostawić bliźniego bez duchowego wsparcia. – Jakub potrząsnął antałkiem zabranym z siedziby maga.

Wewnątrz kuźni, półleżąc na kowadle, szłochał mężczyzna w skórzanym fartuchu.

– Ty, czego beczysz? – szturchnął go egzorcysta. – Dorosły chłop, a rozlepił się zupełnie.

– Uuuu... córeczka jedyna...

– Na oko piętnaście lat, jasne włosy, pieprzyk na policzku? – upewnił się kozak.

Kowal w odpowiedzi jeszcze bardziej zaszłochał.

– Kurde, facet, dobrze nie jest – westchnął Wędrowycz.

– Krasnoludy trzymają ją w skrzynce...

– To jeszcze małe piwo – powiedział kowal, ocierając zaczerwienione oczy. – Ale słyszałem, że król idzie ją dziś w nocy odbić – i rozsłochał się na dobre.

– Czegoś tu nie kapuję – Jakub zmarszczył brwi.

– Skoro ją odbije to chyba dobrze? Pokurcze przestaną ją gwałcić... – za późno ugryzł się w język. – No i będziesz teściem króla, a to nie byle co.

– Gównu! – jęknął kowal. – To, że krasnoludy ją zwyobracają to jeszcze nic, one zawsze swoje ofiary usypiają. Uśpi ją, a jak się obudzi, nic nie będzie pamiętać, a cnotę to się chirurgicznie naprawi, ale król jak ją odbije, to będzie się mógł z nią ożenić – i znowu zapłakał.

– Pomieszało mu się ze zgryzoty w głowie... – zawyrokował Jakub.

– Wcale mi się nie pomieszało. Po prostu nie widzieliście naszego nowego władcy – mruknął ponuro kowal.

– A jak wygląda?

– Sto dwadzieścia kilo sadła, rude loczki, zezowaty, w dodatku cham i kombinator...

– Młody jeszcze – uspokoił go Jakub, – dorośnie, schudnie, charakter mu się poprawi.

– Jaki młody? – zdumiał się gospodarz. – Czterdziestka na karku! A tak w ogóle – obrzucił ich zaskoczonym spojrzeniem – kim wy właściwie jesteście?

– Kapitan dzikiej dywizji 15-tego gwardyjskiego pułku kozaków im. Św. Niny, Semen Omelajnowicz Korczaszko.

– I Jakub Wędrowycz, egzorcysta – uzupełnił skromnie jego towarzysza. – Jak by to powiedzieć, przybywamy tu z innego świata...

– Nareszcie!!! – wrzasnął radośnie kowal. – Nieustraszeni wojownicy z drugiego świata! Wędrujecie między rzeczywistościami, aby gnębić złoczyńców, wyzwalać niewolników i przywracać sprawiedliwość? Słyszałem takie legendy...

– Wychodzi na to, że to my – mruknął Semen. – Jakie nastroje panują w wiosce? Możemy liczyć na waszą pomoc?

– Gryzie mnie jeden problem – powiedział król przełykając solidny kęs pieczeni. – Zagadnienie, nazwijmy to, ekonomiczne. Jaki mamy deficyt królewien w cesarstwie?

- Myślę, że brakuje dwudziestu, może trzydziestu...
- A gdyby tak nie zabijać krasnoludów, tylko wykraść im kolejne dziewczyny?
- Ale po co?
- Na eksport, ty tępaku!

Jakub z Semenem tankowali importowaną śliwowicę z cesarskiej destylarni. Resztki łąkowej pieczęci ze znakiem akcyzy posłużyły jako zagrycha.

– Jest tu jeden taki pastuszek... Mag miał go przeszkolić w walce, chciał iść uwolnić moją córkę – wyjaśniał Kowal...

– A jak pastuszek uwolni dziewczynę i ona będzie miała status królewny, to może ją poślubić, czy to będzie mezalians? – zagadnął Semen.

– Mogą się zenić. Pastuszek dostaje wtedy status księcia krwi... I może zostać królem. Jeśli tylko tron się zwolni – spojrzał w stronę zamku.

– Mądrze to sobie poukładali – mruknął egzorzysta. – Dobra, gdzie go znajdziemy? Po pierwsze, trzeba omówić strategię. Po drugie, uwolnić maga. Może nam się przydać.

– Chłopak pasa owce z kumplami na wzgórzu – wyjaśnił kowal. – Wołają go Sieńko.

W tym momencie przed kuźnią rozległ się tupot końskich kopyt. W drzwiach stanęła banda drabów w szarych, skórzanych płaszczach.

– Obskura – huknął dowódca patrolu. – Jesteś aresztowany.

– Nie mogę być aresztowany, mam niebawem zostać teściem króla – zaprotestował kowal. – Będę miał immunitet...

– Zostaniesz, to pogadamy – parsknął dowódca.

Kowal usiłował jeszcze protestować, ale nie słuchali go. Skuli ręce na plecach i wrzucili do powozu.

– A wy czego tu szukacie? – dowódca spojrzał podejrzliwie na Jakuba i Semena. – Przyszliście spiskować?

– Gdzie tam – wzruszył ramionami Wędrowycz. – My klienci, chcieliśmy kupić podkówki do butów.

– Uważajcie, bo coś zanadto się tu kręcicie – warknął.

Agenci odeszli. Obaj podróżnicy poskrobali się po głowach.

– Trza pogadać z tym pastuszkiem – zauważył egzorzysta.

– A jeśli i jego zwiną?

– No to będziemy wyciągali z pudła wszystkich trzech...

Szałas pasterzy stały na górskiej połoninie opodal zamku. Obaj przyjaciele dotarli tam w porze obiadu.

– Zastaliśmy Sieńkę? – Jakub zajrzał do najbliższej koliby. – O, przepraszam – mruknął, widząc że przyłapał pastuszkę z kozą *in flagranti*.

– Sieńko na obiedzie – odparł młodzieniec i zabrał się znowu do dzieła.

Jakub splunął finezyjnie.

– Wesoło tu mają – pokręcił głową. – Jak w amerykańskim filmidle.

W sąsiednim szałasie trwała gorączkowa krzątanina. Jednak gdy zapukali do drzwi, wszystko ucichło.

– W sumie to, jak jedzą obiad, może i nas poczęstują? – zauważył egzorcysta i pchnął drzwi. Patrzyło na niego dwudziestu pastuszków. Każdy z nich trzymał naciągniętą kuszę. Dwadzieścia beltów celowało w jego pierś.

– Dzień dobry, zastałem Sieńkę? – wykrztusił.

– To ja – powiedział młodzieniec z największą kuszą.

– A wy kto?

– Agenci Obskury – mruknął jeden z pastuszków.

Wyjaśnili pokrótce.

– Dobra, chłopaki – pastuszek zwrócił się do kumpli. – To swoi, czarownik ich ściągnął, by załatwili tych pokurczów. Kusze opadły. Pasterze wrócili do obiadu. Gości też, oczywiście, poczęstowano.

– Sprawa wygląda tak – tłumaczył Sieńko. – Król pojawi się na skraju lasu już po zmroku. Ma magiczne okulary wielkiego rycerza Mitrofanowa...

– Sekundę? – zdziwił się Jakub. – Co to za rycerz był?

– Przybył tu dwadzieścia lat temu i ubił smoka z magicznej rury. Potem, niestety, zachlał się na śmierć. Pogrzebaliśmy go w kurhanie – wskazał kupę kamieni na hali.

– Czarownik zabrał jego magiczne okulary, a ja grzmiący kij – wskazał automat kałasznikowa wiszący u powały.

– Tylko że nie umiemy się nim posłużyć...

Jakub sięgnął po karabin. Sprawdził magazynek.

– Toż odbezpieczyć trza – powiedział z naganą i kontrolnie strzelił w sufit.

– Zostało piętnaście naboí – zaraportował Semenowi.

– To już coś... Pomyślmy, co dalej...

– Krasnoludy w nocy śpią i tylko w nocy można je podejść – wyjaśnił chłopak. – Niestety, mają pewną magiczną zdolność, zwaną ogniowidzeniem.

– Wyjaśnij to – poprosił kozak.

– Jeśli w promieniu dwu kilometrów od ich siedziby ktoś skrzesa ogień, natychmiast się budzą... Niby można próbować podejść po ciemku, ale tam może być masa krasnoludzkich pułapek, cholerne ryzyko. – Zapadło ponure milczenie.

– Elektryczności nie znacie? – zapytał egzorcysta.

– Znaliśmy. Rycerz Mitrofanow miał latarkę, ale baterie się już dawno wyczerpały.

– Trzeba ogniwo elektryczne – mruknął Semen. – Zrobi się, jeśli tylko znają tu odpowiedni kwas...

A może być chlebowy? – zagadnął któryś z pasterzy.

– Siarkowego trochę zostaw – upomniął go Jakub.

W laboratorium wioskowego maga cuchnęło paskudnie. Semen z wdziękiem umieścił w solidnym garnku dwie metalowe płytki i dolał kwasu. Długie, miedziane druty, zaizolowane nawoskowanym papierem, sięgały do latarki Mitrofanowa.

– Uwaga, wciskaj – polecił Sieńce.

Pastuszek pstryknął przełącznikiem i zabłysło światło.

– Elektryczność – wyszeptał z wzruszeniem.

Karoca zaryła w piach na skraju lasu. Służba rozstawiła stolik, parasol, leżankę. Wtedy dopiero z wnętrza powozu wyłonił się władca. Jedwabne szaty pomalowane w panterkę nadawały mu wygląd nieustraszonego łowcy krasnoludów. Nadworny Astrolog dreptał przy nim. Dobrze schłodzone wino już czekało.

Król uwalił się na leżance.

– Mapa – polecił.

Wręczono mu sztabówkę, wykreśloną przez zwiadowców, badających las z aerostatu. Na pergaminie starannie zaznaczono drogę.

– Czyli wystarczy, że będę szedł cały czas tą przecinką i wyjdę prosto na ich polanę – upewnił się.

– Tak, wasza wysokość.

Król podrapał się po głowie.

– Sądząc ze skali, będę musiał przejść jakieś trzy kilometry po ciemku, zanim dotrę na miejsce... Hmm. Trzeba ściągnąć lektykę. W sumie to wystarczy że przejdę na nogach ostatnie dwadzieścia, no, pięćdziesiąt metrów. A i ryzyko zabłądzenia mniejsze...

– Trochę to niezgodne z tradycjami – zauważył Astrolog. – Ale myślę, że do tradycji trzeba podchodzić z odrobiną elastyczności...

– Cieszę się, że wreszcie poszedłeś po rozum do głowy – władca poprawił sobie rude loczki. – Jak już krasnoludy pójda z dymem, co mam robić?

– Wasza wysokość diamentowym pierścieniem przetnie szkło na sarkofagu, wyciągnie dziewczynę, zawinie w koc i przyniesie tutaj...

– Ależ diament może się wykruszyć! – spojrzał z niepokojem na sygnety, pokrywające gęsto jego palce. – Nie lepiej rozwalić szkło zwykłym brukowcem?

– Ale wtedy królewna może zostać zraniona odłamkami.

– E, nic jej nie będzie. To córka kowala, a nie rasowa szlachcianka – zbagatelizował. – Dobra, uwalniam i co dalej, mam ją tu nieść?

– Tylko ja mogę wybudzić ją z letargu.

– Trzy kilometry przez las – nagle palnął się w głowę. – Każę tym od lektyki zaczekać, ile mi to zajmie? Pół godziny i wracam...

– W sumie tradycja nic o tym nie mówi – zgodził się Astrolog.

– Otwieram pierwszą walną naradę społeczności lokalnej – Jakub stał na mównicy zrobionej z beczki po okowicie.

Stodoła była zatłoczona: na nielegalny wiec rewolucyjny ściągnęli wszyscy mieszkańcy wioski.

– Porządek obrad. Po pierwsze: sprawa Maga i Kowala. Czy ktoś zgłasza jakieś wnioski?

– Eeeee – któryś wyraził wspólne zdanie.

– A zatem nie ma przeciwwskazań – oświadczył Jakub. – Odbijamy naszych kamratów siłą. Kto przeciw? Nikt jakoś nie chciał zabrać głosu.

– Jednogłośnie uchwalone – zdecydował Wędrowycz. Semen, dla podkreślenia doniosłości faktu, stuknął łomem w beczkę.

– Punkt drugi: kwestia waszego króla. Czy ktoś zgłasza jakieś propozycje?

Tym razem sala zareagowała bardzo żywiołowo.

– Utopić w studni!

– Powiesić!

– Spalić drania na stosie!

– Wobec tego proponuję wziąć go żywcem, a sposób zgładzenia wylosujemy później z głoszonych propozycji – zakończył egzorcysta niemal wesoło. – Punkt trzeci: następstwo władzy. Uważam zasadniczo, że republika to anarchia i należy utrzymać ustrój monarchistyczny. Kto przeciw? Jednogłośnie uchwalone.

– A kto zostanie królem? – zainteresował się któryś ze zgromadzonych.

– Kandydata zgłoszono jednego, pastuszka Sieńkę.

– A to można zgłosić jeszcze kogoś? – zainteresował się Młynarz.

– Procedura demokratyczna przewiduje, że kandydata rejestruje dwudziestoosobowy komitet wyborczy – stwierdził Jakub. – Ale zarejestrował się tylko jeden, złożony z pastuszków. Termin rejestracji komitetów już upłynął, a i termin rejestracji kandydatów... Tak więc mamy jedną kandydaturę. Kto przeciw? Dziękuję, jednogłośnie uchwalone.

– Hmmm – mruknął jeden ze starców. – Ale tradycja nakazuje, by poczekać z tym do ślubu z królową.

– W takim razie chwilowo Sieńko będzie regentem.

– A jak cesarzowi się nie spodoba, co my tu wyrabiamy? – zafrasował się Piekarz.

– Wielkie mecyje, zwoła się wiec i odwoła cesarza ze stanowiska – wzruszył ramionami Wędrowycz. – „W walce zdobędziecie swoje prawa”.

Semen, usłyszawszy hasło eserów, skrzywił się do swoich wspomnień. Sporo tych socjal-rewolucjonistów wytłukł w 1905, a tu proszę, jego wierny kumpel okazuje się...

– Należy wyłonić specgrupę, która zajmie się pochwyceniem króla i uwolnieniem więźniów politycznych – zagrzemiał Jakub. – Kto zgłasza się na ochotnika?

– My! – pastuszkowie Sieńki wystąpili krok naprzód.

Nieoczekiwanie wrota stodoły otwarły się ze zgrzytem. Stanęli w nich trzej agenci Obskury. Szare, skórzane płaszcze powiewały na wietrze.

– A co wy tu spiskujecie? – zagrział najwyższy. – Nielegalne zebranko?

Urwał w pół słowa, bo pastuszek zlikwidował go strzałem z kuszy. Dwaj pozostali próbowali wiać, ale płaszcze krępowały im ruchy. Nim dobiegli do powozu, oberwali tyle bełtów, że przypominali jeże.

– No, teraz to już jawny bunt – Młynarz popatrzył ponuro na zwłoki.

– Nie ma odwrotu – westchnął Piekarz.

– A zatem do dzieła – Jakub zatarł ręce.

Zamek z bliska nie wyglądał szczególnie groźnie – ot, ceglane mury, dziesiątki uzbrojonych wachmanów na blankach. Sztandar był opuszczony do połowy – na znak, Dwaj oberwańcy przytoczyli do bramy wózek z beczką i oddalili się biegiem. Strażnicy stojący na bramie spojrzeli nieufnie na porzucony ładunek.

– Hy – mruknął jeden. – Beczka.

– Aha – mruknął drugi. – Z winem chyba? Istotnie, na drewnianych klepkach czerniał napis „wino”. Wtoczyli ją na dziedziniec zamku.

– Hej, kamraci! – krzyknął wyższy. – Zobaczcie co mamy!!!

Po mniej więcej minucie, któryś z osiemdziesięciu strażników wpadł na pomysł, by wybić pokrywę kamieniem. Jakub, Semen i pastuszkowie przypadli do ziemi, ale z odległości pół kilometra fala uderzeniowa nie była już groźna. Wokoło spadały kawałki cegieł.

– Co to było? – wykrztusił któryś owczarz

– Beczka nitrogliceryny – wyjaśnił Jakub. – Hy, nieźle pieprzněło!

Z zamku nie zostało dużo.

– Wygląda na to, że Sieńko po ślubie nie będzie miał gdzie mieszkać – zauważył któryś z pasterzy, – ale trudno. Tatko zawsze powiadał, że władza powinna żyć w pobliżu ludu...

– Fala uderzeniowa poszła na boki – powiedział poważnie Jakub. – Trzeba odkopać wejście do lochów i uwolnić naszych kumpli.

– Chłopaki, naprzód!

Pastuszkowie z kilofami i łopatami na ramionach wstali z rowu i cała grupa ruszyła na miejsce katastrofy.

Ignorując resztki wachmanów zdobiące gruzowisko, szybko wgryźli się w ceglane stropy. W pierwszym lochu, do którego się przebili, stały liczne, pękate, dębowe beczki.

– A niech mnie – szepnął jeden z pastuszków. – Prawdziwa importowana okowita, a nie te siki, którymi nas karmi.

– Wypijecie później, na koronacji kumpla – ostudził go Jakub. – Szukamy dalej.

Z sąsiedniej piwnicy uwolnili Kowala i Maga...

Gdy pastuszkowie z uwolnionymi dotarli na punkt zborny w chacie Maga, Sieńki już nie

było.

– Gdzie się ten palant podział? – zdenerwował się Jakub. – Miał na nas czekać.

– Rozebrał się do slipek, zabrał włócznie i poszedł do lasu – wyjaśnił Piekarz. – Powiedział, że wybory wyborami, ale władca, żeby mieć poparcie społeczne, musi wykazać się szacunkiem dla tradycji i odwagą.

– Hmmm, coś w tym jest – mruknął Semen. – Tylko gorzej będzie, jak go pokurcze ubiją...

– A to wysoce prawdopodobne – kiwnął głową Młynarz. – Kilku już próbowało z nimi zwady.

– Nie widzieliście króla? Nie było go na zamku – przerwał uczoną dysputę Semen.

– Obozuje za tym zagajnikiem – jakiś chłop wskazał brzozowy lasek. – Stamtąd do polany idzie przecinka.

To Sieńko ma przewagę czasu – stwierdził kozak. – Ale chyba musimy mu pomóc, a przynajmniej otoczyć opieką, bo to różnie może być.

– Bierzecie wielopał? – któryś z pastuszków podał im kałasza.

– Może się przydać – kiwnął głową Jakub. – A zatem w drogę...

Zapadał późny, letni zmierzch.

– Pora ruszać w drogę – powiedział poważnie Astrolog.

– No to jeszcze strzemienne – zdecydował Król.

Chlapnął sobie szklankę samogonu i skinął na służących. Przystawili do leżanki lektykę, wystarczyło przetoczyć się na bok.

Czterej pachołkowie w liberiach złapali za drążki i ponieśli lektykę przecinką. Trochę się zasapali, ale dostarczyli go całkiem blisko polany.

– Dobra – władca wygramolił się spod koca. – Wy tu czekacie, a ja niedługo wracam z królowną. A, i macie zakaz palenia. Na całą noc.

Wziął worek z kuszami oraz kołczan pełen bełtów i skrzywił się

– Ciężkie – mruknął. – Ale czego się nie robi dla sprawy... Ledwo zniknął w gęstym lesie, najwyższy pachołek szturchnął kumpla w bok.

– Masz szlugi jakie?

– Extra Krzepkie, importowane, z cesarskiego tytoniu...

– Ty, daj po jednym, zajaramy.

– Ale król zakazał.

– A niech nas w dupę pocałuje. Wyciągaj, odpalę ci za to jutrzejszy deser...

Pachołek wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Skrzęsali ognia i po chwili we czwórce zaciągali się aromatycznym dymkiem.

– Medycy gadają, że od palenia można nawet umrzeć.

– No, jak ciebie palą na stosie, to niewątpliwie – wszyscy zarechotali.

Zaciągnęli się raz jeszcze. Nieoczekiwanie pomiędzy drzewami coś zatupotało. Krasnoludy, jak na komendę, zwolniły cięciwy kusz, mimowolnie potwierdzając teorie lekarzy...

– Hy, kogoś tu przynieśli w tym nosidle – mruknął jeden.

Szybko z nagonką... Czterech na lewo, reszta za mną na prawo! – wrzasnął.

Echo odbijało jego słowa, aż dotarły do uszu króla.

– O żesz kurde – jęknął władca, – przecież miały spać!

Rozejrzał się w popłochu, ale w noktowizorze widać było tylko drzewa. Z grubsza wiedział, w którą stronę znajduje się wioska, rzucił w krzaki worek z kuszami i kołczan, po czym chyłkiem pobiegł w tamtą stronę.

– Diabli nadali włóczyć się nocą po lesie bez obstawy... – mamrotał. – Astrologa wbije się na pal za poddawanie takich pomysłów...

Semen świecił latarką, Jakub niósł kałasznikowa. Las był pusty i cichy.

– Dziwne – mruknął Semen.

– Pamiętasz, co mówił Sieńko? Zwierzęta uciekają z miejsc, gdzie siedzą krasnoludy – przypomniał mu kumpel.

– Fakt...

Nieoczekiwanie gdzieś opodał rozległ się trzask łamanych gałęzi. Ktoś lub coś przedzierało się przez krzaki. Wędrowycz odbezpieczył broń. Ruszyli w tamtą stronę. Nagle wyleźli prosto na jakiegoś grubasa z noktowizorem na gębie. Jakub machnął kolbą i król zwałił się na ziemię jak wór kartofli.

– Co my tu mamy? – ucieszył się egzorcysta ściągając mu z głowy gogle. Spojrzał przez nie.

– Bateria się prawie wyczerpała – westchnął.

– Podłączymy tę od latarki? – kozak potrząsnął garnuszkiem z kwasem.

– Nie, tu trzeba osiemnaście wolt, a my tyle nie mamy.

– Ej, to chyba ten, co to go mieliśmy złapać – zauważył Semen. – To co, wlecemy z powrotem do wioski?

– E nie, musimy odnaleźć Sieńkę i ubezpieczyć... Pal diabli, niech tu sobie poleży, aż wrócimy. Tylko przypnę go na wszelki wypadek do drzewa – zatrzasnął jedną obręcz kajdanek na przegubie nieprzytomnego, a drugą na cienkiej brzoźce. – Żeby nie uciekł po ciemku – wyjaśnił kumpelowi.

Władca ocknął się dość nieoczekiwanie. Strasznie bolała go głowa.

– Czyżby kac? – zdziwił się.

Nie, zaraz, jak to było? Szedł przez ciemny las. A potem... potem wyskoczyli ci dwaj i dali mu w łeb.

– Sukinsyny – wycodził. – Obskura ich odnajdzie... Napaść na członka rodu panującego,

nielegalne wejście do rezerwatu, kradzież noktowizora... Co najmniej trzy razy kara śmierci – stwierdził z zadowoleniem...

Szarpnął ręką, ale kajdanki trzymały fest.

– No to jeszcze pozbawienie wolności i narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia.

Gdzieś daleko zawył wilk.

– Niebezpieczeństwo utraty życia – powtórzył jakiś głos w ciemności. – To da się zrobić...

– Kto tu? – wybełkotał Król.

– Jak będziesz niegrzeczny, trafisz do nas...

W mroku zapaliły się wilcze ślepie, potem kolejne, i jeszcze jedno...

– Jesteście wilkołaki? – upewnił się władca.

– Jasne. A ty, zdaje się, nakazałeś na nas polować... i jeszcze wpuściłeś nam do lasu krasnoludy?

– Eeee... Zrozumiałem moje błędy i wypaczenia. Może się jakoś dogadamy? Rezerwat, zakaz polowań i egzorcyzmów, owce, okresy ochronne... – zasugerował.

Odpowiedziało mu ponure wycie.

– No, trochę pobłądziliśmy, ale chyba jesteśmy u celu – powiedział z zadowoleniem Jakub.

Polana, kamienny ołtarz i szklana trumna wyglądały identycznie, jak ubiegłej nocy. Podkradli się do chałupy.

– Krasnoludy śpią – stwierdził Semen. – Co robimy?

– Ot, co – egzorzysta kolbą kałasza wybił szybkę.

A potem wyjął z kieszeni granat i wyrwawszy zawleczkę wrzucił do wnętrza. Upiorna eksplozja wstrząsnęła lasem. Wybuch wyrwał wszystkie okna i podrzucił dach do góry. Mury chaty popękały. Wiadomo: krasnoludzia tandeta...

– Trochę to niehonorowo – mruknął stary kozak.

– A oni to, niby honorowo, piętnastoletnią dziewczeczkę porwali i zgwałcili – Jakub nieoczekiwanie stał się niezłomnym obrońcą moralności. – Zresztą to nie ludzie.

Drzwi wypadły podczas eksplozji. Weszli do wnętrza chałupy.

– O kuźwa – syknął egzorzysta. – Tu ich nie ma!

Wypadli na polanę i przyświecając sobie latarką rozglądali się wokoło. Ciemno było że oko wykol. Bateria wyczerpywała się.

– Skrzesaj ognia – zasugerował jego towarzysz. – Pamiętasz co mówili? Budzą się, jak ktoś w pobliżu zapali płomień.

– Fakt – Jakub wyjął zapalniczkę Zippo i odpalił dwie pochodnie.

Odbezpieczył kałasza i powiódł lufą po zaroślach. Pusto. Cicho. Martwo. Pociągnął nosem. Zapach krwi? Ruszył w tamtą stronę i już po chwili potknął się o pierwszego trupa.

– Co tam masz? – zapytał Semen.

– Jakiś palant z wygasłym petem w zębach, ubrany w liberię – wyjaśnił. – O, a tu jeszcze trzech... Co oni tu przynieśli, łoże z baldachimem?

– To lektyka – powiedział kozak. Nieoczekiwanie potknął się o coś i runął jak długi.

– Ty, zobacz, krótki jakiś ten trup. Przyświecili sobie pochodniami.

Hy, krasnolud – ucieszył się egzorcysta. – I to przedziurawiony włócznią... Znaczy pastuszek sobie nieźle radzi...

Wrócili na polanę. Po kilkuminutowym przetrząsaniu krzaków znaleźli jeszcze sześć trupów. Teraz dopiero oświetlili szklaną trumnę. Była pusta.

– Zuch chłopak, nasza pomoc była o kant dupy potrzebna – Wędrowycz pokręcił głową. – Ale zajdźmy jeszcze na moment do tej chałupy...

– Czego tu szukasz? – zagadnął kumpel, widząc jak Jakub, w świetle pochodni, grzebie po skrzyniach.

– Jak to czego? Złota. Pamiętasz, co kowal mówił? Krasnoludy żyją z rabunku...

Faktycznie, trochę tego znaleźli. Napchali kieszenie i ruszyli przez las w stronę wsi. Wszedł księżyc i zrobiło się dużo przyjemniej.

– Gdzieś tu zostawiliśmy tego palanta króla... Trza go będzie zaprowadzić, aby lud mógł go sobie zgodnie z tradycją wykończyć... – mruknął Wędrowycz. – O, chyba tutaj...

Podarty jedwabny chałat, sąsiadował z kupką kości. Korona, połyskując, wisiała na sęku. Jakub schował ją do torby.

– Ty, w tym lesie są dzikie zwierzęta? – zdumiał się kozak. – No pewnie

– Ale sam mówiłeś, że zwierzęta uciekają z miejsc, gdzie żyją krasnoludy?

– Widać się pomyliłem... A raczej zasugerowałem tym, co mówił pastuszek. A zresztą – potrząsnął kałaszem – niech się jakieś pojawia...

Sieńko wyszedł z lasu z królewną przerzuconą przez ramię.

– To ty? – zdumiał się Astrolog.

– Ja – odparł pastuszek.

Położył dziewczkę na ziemi i mocniej chwycił drzewce włóczni. Ostrze pochłapane było czymś czerwonym. Astrologowi zrobiło się odrobinę łyso.

– Co ty? Chcesz mnie zabić?

– W sumie dlaczego nie?

Sieńko chciał go tylko postraszyć, ale pomysł likwidacji bardzo mu się spodobał.

– Byłem tylko ślepym narzędziem w rękach tego tyrana... – wybełkotał mędrzec.

– Wiesz co? Nie przekonałeś mnie – mruknął pastuszek i pchnął. Raz a dobrze, żeby już nie poprawiać.

Jakub i Semen wyszli z lasu akurat w chwili, gdy zaczynała się impreza. Na środek

wioski przytoczono wino z zamkowych lochów, na roznach już rumieniły się owce ze stada nowego władcy. Sieńko myślał logicznie i szybko pogodził się ze stratą. Ostatecznie królowi nie wypada pasać innych baranów niż poddani... Córka Kowala, wybudzona z letargu siedziała za stołem w błękitnej sukience. Wyglądała na nieco zdezorientowaną, ale kilka łyków lubczyku, który zaaplikował jej Mag, szybko przywróciło jej właściwy osąd rzeczywistości. Jakub z Semenem kosztowali napojów z umiarem, ale chcieli spróbować przynajmniej po łyku z każdej beczki, a było ich przeszło dwadzieścia. Myśli stały się ciepłe i mało klarowne, ziemia zaczęła wymykać spod nóg... Poczłapali w stronę Sieńki i Maga.

– Khy, to będzie prezent ślubny – Jakub wręczył panu młodemu koronę. – Trochę, uważasz, umazana krwią, ale to się pod ciepłą wodą odmyje...

– *Pro fide, rege et lege* – Semen wybełkotał rojalistyczną maksymę i zasalutował.

– Co? – zdumiał się młody władca.

– Za wiarę, króla i prawo – wyjaśnił Mag. – Będziesz się musiał poduczyć łaciny... Ale zaczniemy chyba od pisania i czytania?

– Chwileczkę, tego nie było w umowie.

– To jak podpiszesz akt koronacyjny?

– A nie można krzyżykami? – spłoszony Sieńko naraz zapragnął wrócić do spokojnego, pasterskiego życia.

– Nie da rady. To oficjalny dokument. No właśnie, trzeba będzie wezwać kapłanów bogini Nefet i złożyć ofiarę z dziesięciu owiec...

– Aż dziesięciu? – przyszły król przeliczył różną. Niewiele zostało z jego stada.

– Z okazji koronacji...

– Kumple, pożyczycie kilka? – przerażony były owczarz zwrócił się do pasterzy.

Pokiwali głowami, ale na ich twarzach odmalował się wyraz frasunku.

– Dobra, nie jesteśmy ciekawi waszych pogańskich obrządków, swoje zrobiliśmy, odeślij nas z powrotem...

Jakub miał już dosyć. Strasznie chciało mu się rzygać, mieszanie miodu pitnego ze słodkim winem przyprawiało go o dziwne sensacje żołądkowe.

– Ależ oczywiście... Natychmiast.

Zniknął w chałupie i po chwili wyszedł niosąc duże lustro. Oparł je o drzewo.

– Miło było was poznać.

– Dzięki wam dużo nauczyliśmy się o demokracji i wolnych wyborach – powiedział Sieńko. – To bardzo cenna wiedza. Wykorzystam ją w praktyce... Dziękuję za wszystko.

– Drobiazg – uśmiechnął się Jakub. – Nie ma o czym mówić.

– Jeśli jeszcze będziemy potrzebni to zawsze chętnie wpadniemy pomóc – dodał Semen.

– Stańcie przed lustrem – polecił czarodziej. – I gotowe. Coś błysnęło niczym flesz i świadomość obu kumpli zgasła jak zdmuchnięta świeca.

– Do kata – westchnął Wędrowycz, trąc piekące oczy. – Diabli nadali włóczyć się w lesie po nocy.

Wstał z wilgotnego mchu i przeciągnął się. Semen drzemiący w koszu motocykla też się obudził.

– Aleśmy wczoraj wypili – jęknął. Widać kac go męczył. – Ale mi się porąbany sen przyśnił... Byliśmy w innym świecie i polowaliśmy na krasnoludy.

– Ty to masz fantazję – mruknął Jakub. – Zamiast bajdurzyć, lepiej mi pomóż.

Kłęcząc zbierał klejnoty, które podczas snu wysypały mu się z kieszeni.

MATRYCA

Jakub wiedział że coś się wydarzy. Koło południa wygrzebał się wreszcie ze swojego barłogu i stanął w progu chałupy.

– Kurde – mruknął patrząc na niebo zaciągnięte chmurami.

Potem spuścił głowę i dla odmiany kontemplował podwórze. Szare błoto, a wcale nie łatwo było uzyskać taki kolor z lessu, połamane części maszyn rolniczych, potłuczone flaszki zabezpieczające przed wrogiem który podkradłby się w nocy na bosaka, ogryzione kości psów... Wszystko było w porządku. Nieoczekiwanie jego wzrok napotkał obcy element. Mały biały królik trącił nosem kawałek ogryzionej cebuli i pokicał w stronę szopy. – Hy, pasztet – zidentyfikował zwierzę stary kłusownik. Zanurkował do chałupy i po trzech sekundach stał już w progu, uzbrojony w karabin, jeszcze z pierwszej wojny światowej. Przeładował z trzaskiem broń. Do ust napłynęła gęsta ślina, tylko że... królika nigdzie już nie było widać. Egzorcysta ruszył kłusem, zajrzał do szopy, a potem za nią. Dostrzegł skrawek białego ogonka znikający właśnie w pokrzywach. Wypalił, przeładował i wystrzelił ponownie. Spudłował.

– Kurde, pokrzywy zasłaniają – mruknął wyjmując z kieszeni granat.

Zaraz jednak poniechał zamiaru. Z lufą opuszczoną w stronę ziemi ruszył starą, ledwo widoczną wśród zielska ścieżką. Po kilku minutach dróżka doprowadziła go do sąsiedniego gospodarstwa. Opuszczona przed laty chałupa chyliła się ku ziemi, w ścianach ziały przestrzeleniny od pocisków z rusznicy przeciwpancernej. Wędrowycz już nawet nie pamiętał, o co poszło. O płot, a może o miedzę? Wypaczone drzwi były gościnnie uchylone, królik właśnie znikał wewnątrz. Jakub wsunął do ładownicy kolejne dwa pociski i wkroczył do środka. Kuchnia, pokój po lewej stronie. Pchnął drzwi i zatrzymał się zaskoczony na progu.

– Kuźwa, obcy w naszej wsi! – sapnął.

Pośrodku pokoju stał wygodny fotel, na oko sądząc zagraniczny i pierońsko drogi. Mebelek kryty był cienką skórą i Jakub zaraz pomyślał, jak bardzo by mu się przydała do łatania spodni na kolanach. Na fotelu siedział Mulat w ciemnych okularach, także przyodziany w skóry.

– Hy, a coś ty za jeden? – zaciekawiał się egzorcysta.

Przybysz zagadał coś w obcym języku

– Cholera, nie rozumiem po murzyńsku – zasepił się Wędrowycz. – Wódki chcesz?

Koleś, choć obcy, wyglądał sympatycznie. Słowo „wódka” też chyba znał, bo pokręcił przecząco głową.

– Ze mną się nie napijesz?! – warknął Jakub, wciskając nieznajomemu kubek. Potem dołał z piersiówki najlepszej śliwowicy.

Gość z wahaniem przełknął poczęstunek, a potem z uśmiechem wygłosił dłuższą tyradę, zakończoną najwyraźniej pytaniem.

Jakub nic z tego nie zrozumiał, ale nie chciał peszyć sympatycznego bambusa. Pogrzebał w pamięci, szukając możliwie międzynarodowych słów.

– Okey – powiedział.

Odpowiedź wyraźnie uszczęśliwiła gościa. Wyjął z kieszeni pudełko. Wewnątrz znajdowały się dwie tabletki: czerwona i niebieska. Uśmiechnął się lekko i podał je Jakubowi.

– Mam to łyknąć? – upewnił się bimbrownik.

Facet wygłosił kolejną tyradę, będącą najwyraźniej potwierdzeniem, a potem sięgnął za fotel. Wyjął antyczny, przedwojenny telefon na korbkę i przyłożył słuchawkę do ucha. A potem zniknął.

– Kurde – sapnął Jakub. – Zawsze wiedziałem, że telefon to wynalazek szatana, ale żeby tak ludzi wsysał!?

Celnym kopem rozwalil aparat, a potem opuścił ruinę. Pudełko z tabletkami wrzucił do kieszeni.

Egzorcysta wkroczył dumnie do knajpy i uśmiechnąwszy się szeroko, powiódł wzrokiem po sali. W jednej chwili jego uśmiech ustąpił miejsca grymasowi obrzydzenia. Połowa pomieszczenia została oddzielona sznurkiem. Przy kilku stolikach siedzieli najgorsi wojsławiccy menele. Do oparcia krzeseł przyczepione były baloniki zrobione z kondomów, wypływały serpentyny zwisały z sufitu.

Pośrodku sali królował Piotr Bardak. Menele właśnie wznosili toast na jego cześć.

– A taki miałem dobry humor – parsknął Jakub sadowiąc się w mniejszej sali, przy stoliku kumpli. – Co to za szopka?

– Urodziny obchodzi – wycedził Semen. – Swoim kumplom dziś stawia za darmo.

– Na takie gówno, jakie im stawia, każdego stać – zarechotał Jakub. – A nas stać tak samo, tylko bardziej. Barman, pięćdziesiąt piw! Na mój rachunek!

– Kredyt wyczerpany – powiedział agent zza lady. – Wisisz od tygodnia za tamtą skrzynkę pryty...

– Jutro zapłacę – jęknął egzorcysta.

– Przykro mi. Forsa na stół.

Wędrowycz zaklął i wyciągnął rezerwę. Po chwili przed każdym z nich stanęła szklanka, a pośrodku stołu – butelka jabłkowej ambrozji. Semen, z racji swej uczoności, wyraził kiedyś

wątpliwość, czy istotnie bogowie Olimpu pijali taki siarkowy zajzajer, ale napis na etykiecie był jednoznaczny...

Nalali i stuknęli się szklankami.

– Sto lat, sto lat! – dobiegło z sali obok.

– Ech, aż serce boli – mruknął Jakub. – Muszę łyknąć coś na uspokojenie.

Józef, rozumiejąc go trochę opacznie, napełnił szklankę. Egzorcysta wyjął z kieszeni pudełko z tabletkami i zażył od razu obie. Popił solidnym łykiem pryty.

– Ups – potrząsnął głową. – Coś jest nie tak... A potem runął w ciemność.

Przebudzenie nie należało do najprzyjemniejszych. Ocknął się leżąc w wannie pełnej jakiegoś różowego kisielu. Usiadł gwałtownie, aż odpadło mu kilka rurek i rozejrzał się wokoło. Wanny wyrastały z wielgachnej kolumny; były ich setki...

– A cóż to takiego?! – zdumiał się. – Też mnie wessało przez telefon, czy ki diabeł?

Nie, diabła zdecydowanie wykluczył. Był już przecież w piekle i tam było jednak inaczej... Z zacięciem obejrzał czerwoną rurkę, która odpadła od jego lewej ręki. Sączyła się z niej bezbarwna ciecz. Polizał.

– A, to rozumiem – mruknął, czując wyraźny posmak pryty.

Zajrzał do sąsiedniej wanny. Piotr Bardak leżał w niej, śpiąc spokojnie.

– Hmmm – zadumał się Jakub, a potem jego oblicze wykrzywiło się z dzikiej uciechy. Sięgnął, wyrwał z żyły wroga rurkę doprowadzającą alkohol.

– Będziesz miał urodzinki, ścierwo – warknął.

A potem uwalnił się wygodnie w wannie i poprzyczepiał sobie wszystko, co odpadło. Jako ostatni podłączył przewód z pryty.

Wstrząs tym razem nie był silny. Znów siedział w knajpie, a właściwie leżał z twarzą w talerzu. Podniósł się z trudem. Odetchnął głęboko.

– No, Jakub, jak się tak zwałeś mordą w kotleta, to myśleliśmy, że zawał serca może... – powiedział Semen.

– Miałem mały zawrót głowy – wyjaśnił egzorcysta. – Już mi lepiej.

Godzinkę później, przyjemnie zawiani, opuszczali knajpę. Przyjęcie urodzinowe właśnie dogasało. Solenizant duszkiem pił kolejną szklankę wódki.

– I jak? – zapytali menele.

– Znowu nic – odpowiedział z rozpaczą...

Piotr Bardak przeżył wiele lat. Jego przypadek stał się szeroko znany w kręgach medycznych. Z bliska i z daleka przybywali uczeni, by zobaczyć prawdziwy dziw nad dziwy: człowieka, który mógł wypić kanister spirytusu, a mimo to alkomat zawsze podawał wynik 0,0 promila.

GARNEK ZŁOTA

Pewnego wiosennego poranka do Jakuba Wędrowycza przyjechał na rowerze Tomasz Cieśluk. Jakub rąbał właśnie drwa, ale widząc kumpla odłożył na później to męczące zajęcie.

– Dobry – zagadnął Tomasz zdejmując czapkę.

Sprawa, z którą przyszedł, musiała być oficjalna. Wskazywała na to jego mina.

– ... bry. Co cię sprowadza?

– Tak sobie siedziałem i myślałem, i doszedłem do wniosku, że pora zostać bogatym człowiekiem.

Jakub mocniej chwycił drążek siekiery. Cóż, jeśli się jest powszechnie znanym egzorcystą-amatorem, podejrzanym o przechowywanie Bóg wie jakich bogactw, zebranych w ciągu wieloletniej praktyki, a serdeczny przyjaciel pojawia się rankiem, mówiąc że zapragnął zostać bogatym człowiekiem, zachowanie ostrożności jest rzeczą wskazaną. Tomasz nie zauważył jego ruchu.

– Widzisz, Jakubie, tak sobie ostatnio wertowałem dziennik mojego dziadka i znalazłem ciekawą informację.

– Hym?

– Wiesz, że on pochodził z Sielca...

– Miał pole. A z tym polem była związana legenda, że jest na nim zakopany garnek złota.

– Garnek złota? – zaciekał się Jakub. Wprawdzie zawsze był dość majątnym człowiekiem, ale wiadomość o garnku złota zrobiła na nim pewne wrażenie. Całe jego złoto zajmowało zaledwie cztery słoiki po dżemie.

– Garnek – potwierdził Tomasz. – Pomyślałem sobie, że może chciałbyś mi pomóc go wykopać.

Jakub stał się niespodziewanie ostrożny. Cóż, garnki z pieniędzmi zakopuje się w pojedynkę i tak samo w pojedynkę odkopuje. Wiadomo, że gdy gorączka złota uderza do głowy, ludzkie myśli stają się plugawe.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedział. – Ale dlaczego sam go nie wykopiesz?

– Och, po prostu lubię cię Jakubie...

– Jak psy dziada w ciasnej ulicy. O co tak naprawdę w tym chodzi?

– Tego garnka pilnuje wielki, czarny pies. Znaczy duch psa. Widać go podobno czasami po nocy. Dlatego potrzebuję fachowca.

Egzorcysta poskrobał się z frasunkiem po głowie.

– Znacził o tym garnku i psie wie więcej osób?

– Aha. Ale my mamy nad nimi przewagę.

– Przewagę?

– Tak. Po pierwsze będziemy kopali w dzień, a po drugie mam wykrywacz min.

Oczy Jakuba zabłysły. To zaczynało wyglądać coraz bardziej realnie. Wykrywacz...

– Dobra. Pozostaje tylko pytanie kiedy.

– Pomyślałem, że może dzisiaj, jeśli nie robisz nic specjalnie ważnego.

Egzorcysta popatrzył na przyjaciela. Spostrzegł jego zmęczenie, maskowane nerwowym podnieceniem.

Znalazł tę informację wczoraj wieczorem – pomyślał. – Całą noc nie mógł zasnąć, tak go wzięło.

– Nie ma problemu – powiedział. – Można i dzisiaj. Leć do domu i przygotuj swój wykrywacz, a ja wpadnę gdzieś za godzinę. O której mamy pekaes z Wojsławic?

– Za dziesięć dwunasta.

Pojechał jakby go wszystkie diabły goniły. Jakub przygotowywał się niespiesznie. Założył wysokie buty. W cholewę prawego wetknął zawadiacko wyostrzony jak brzytew bagnet. Owinał się w pasie łańcuchem, zaopatrzonym na końcu w ołowianą kulę. Na szyi zawiesił sobie nieduży srebrny krzyżyk. Założył kurtkę. W kieszeni umieścił piersiówkę wypełnioną wodą święconą a po drugiej stronie, dla lepszego zachowania równowagi, piersiówkę wypełnioną spirytusem. W zewnętrzną kieszeń wsadził odrapany, ale wciąż jeszcze sprawny rewolwer. Szukać mieli w południe. Może Tomasz o tym nie wiedział, ale istniały różne paskudztwa, które właśnie o tej porze dnia lubiły szkodzić ludziom. Na przykład południce. Przejrzał się w lusterku wiszącym na ścianie szopy. Wyglądał sztywnie. Jakby go ze śmietnika wykopali. Przygładził dłonią zwichrzone włosy. Ruszył dziarskim krokiem przez pola.

Godzinę później obaj amatorzy pogrzebanych bogactw wysiedli z pekaesu na niewielkim przystanku pośrodku wsi Sielec.

– No to jesteśmy – powiedział Jakub. – Prowadź. Tomasz rozejrzał się wokół po czym ruszyli w stronę lasu. Pod lasem, na lewo od szosy, znajdowało się zapuszczone gospodarstwo.

– To chyba tutaj – powiedział sięgając po wymięty kawałek papieru na którym zapisane były słowne notatki. – Popatrzmy teraz gdzie tu jest pole z drzewem pośrodku.

Pole znaleźli bardzo szybko. Drzewo okazało się być niemożliwie starą gruszą, prawdopodobnie więc, że to właśnie miejsce miał na myśli dziadek Tomasza. Ziemia była świeżo zaorana. Tomasz wydobył z plecaka wykrywacz i włączył go. Gdy skierował

instrument w stronę Jakuba rozległo się fachowe buczenie.

– Hy! – ucieszył się egzorcysta.

– Masz coś metalowego pod kurtką? Rozpiął ją i pokazał łańcuch.

– A to do czego? – zdziwił się jego współnik.

– W razie spotkania konkurencji. To co, zaczynamy?

– Aha. Z Bożą pomocą.

Przeszedł dwa kroki, ale egzorcysta powstrzymał go gestem.

– Coś nie tak?

– Najpierw musimy odstraszyć złe duchy i przygotować dla siebie trochę szczęścia.

Z kieszeni wyjął podkowę i włożył ją Tomaszowi do górnej kieszeni marynarki. Potem ze swojego wymiętego dowodu osobistego wydobył dwie czterolistne koniczynki. Jedną podał kumplowi, a drugą włożył sobie do ust.

– No co ty? – zdziwił się jego współnik. – Mam to zjeść?!

– Aha. Najlepsza metoda na czterolistne konieczynki. W ten sposób masz pewność, że jej nie zgubisz. Jedz, nie otrujesz się.

Połknęli, popili spirytusem i ruszyli. Pole nie było szczególnie gęsto naćkane metalem. W ciągu pierwszych dziesięciu minut znaleźli jeden kapsel i odłamek pocisku.

– Zobacz – Jakub trącił kumpla w ramię wskazując na odległe o jakieś dwieście metrów zabudowania wsi.

Zza płotu wystawała głowa jakiegoś tubylca.

– Niech się gapi, wiejski ćwok.

Z bliżej niewyjaśnionych przyczyn mieszkańcy Wojśławic, mimo że miejscowość od stu lat z grubym okładem nie miała praw miejskich, uważali się za lepszych od mieszkańców okolicznych wiosek. Tomasz spokojnie penetrował ziemię. Po chwili jego towarzysz trącił go ponownie w ramię.

– Nu, co?

– Zobacz.

Zza płotu wystawały już trzy głowy.

– Może się przyda ten twój łańcuch – powiedział „saper” z rozdrażnieniem i podjął swój marsz.

Kolejne uderzenie, które zadał mu w ramię Jakub było z tych mocniejszych. Odwrócił się, by bluznąć, ale to co zobaczył odebrało mu mowę. Przez pola biegła wataha tubylców. Było ich kilkunastu. Większość z nich coś niosła: widły, sztachety, łańcuchy od krów i inne takie.

– Chodu!!! – zawył egzorcysta, wrywając go z transu. Rzucili się do ucieczki. Biegli dość długo, aż wreszcie las zasłonił ich przed prześladowcami. Padli na mech i dyszeli ciężko. Jakub miał już osiemdziesiątkę na karku, a Tomasz dwa lata wcześniej przechodził zawał. Teraz wydawał się być na najlepszej drodze do następnego.

– Cholerne dzikusy – wymamrotał.

Jego kumpel nie odpowiedział. Odkręcił korek z butelki z wodą święconą i podał mu. – Łyknij.

– Ale to spiryt...

– Nie. Mam go w drugiej butelce. Łyknij, bo źle z tobą. Tomasz wypił. Jego twarz z wolna zaczęła przybierać normalny kolor.

– Musimy uciekać dalej – mamrotał.

– Oszczędzaj siły. Odpoczniesz to pójdziemy. Odpoczywali przez godzinę. Potem poszli.

– Chyba prosto. Wyjdziemy na Siennicę Różaną. Albo na Wierzchowiny.

– No co ty. To nie w tę stronę.

Wyszli na szosę koło Depułtycz Królewskich. Akurat jechał nią pekaes. Zamachali rękami i zatrzymał się.

– Dwa bilety dokądkolwiek – poprosił Jakub kierowcę.

– No co wy? Nie wiecie dokąd jadę?

– Nieważne, byle dalej z tej okolicy.

– Dobra. Powiem wam, kiedy dojadę do końca trasy.

Jakub wsadził bilety do kieszeni. Jakies dziesięć minut później, pekaes zatrzymał się na przystanku w Sielcu. Obaj współnicy padli płasko na podłogę i nie podnosili głów tak długo, aż pojazd ruszył.

– Raz jeszcze udało się przeżyć – wymamrotał Jakub wstając.

Popatrzył w zadumie przez tylną szybę, na znikającą w oddali wieś. Grupa tubylców, uzbrojonych w sztachety, widły, etc., stojąca na przystanku, na jego widok zawyla i ruszyła klusem w ślad za oddalającym się pojazdem. Kierowca, widząc gromadę spóźnionych pasażerów, zwolnił. Jakub puścił się biegiem, depcząc po drodze ciągle jeszcze leżącego Tomasza. Dopadł kierowcy i wyciągnął z kieszeni banknot pięciotysięczny z Chopinem.

– Wiesz co to jest? – zapytał.

– Jasne.

– Jest twój. A teraz gaz do dechy.

Kierowca nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Kopnął pedał gazu. Jakub wykonał przebieżkę do tyłu i pokazał ścigającym kilka brzydkich gestów przez szybę. Zaraz jednak przestał, bowiem któryś z nich cisnął widłami. Widły rozbiły okno i zagłębiły się w fotelu. Egzorcysta na wszelki wypadek położył się znowu koło swojego współnika. Przez wybitą dziurę wpadło, niczym oszczepy, kilka sztachet. Reszta pocisków odbiła się od karoserii, a potem znaleźli się poza zasięgiem wrogów. Jakub znowu przeszedł się na przód.

– To za szybę – powiedział, wręczając kierowcy kolejny banknot.

Do Wojsławic dojechali bez przeszkód.

– Cholera, szkoda tego złota – westchnął Tomasz.

– Jeszcze ci mało?

- Złoto na drzewie nie rośnie, a te dzikusy...
- Naprawdę tego chcesz?
- A czyja coś mówię?
- Przygotuj swój motor. Dziś w nocy wrócimy po nie.
- A widmowy pies? Nie boisz się?
- Przecież jestem egzorcystą.

Noc była pogodna, choć raczej chłodna. Zaparkowali motocykl na skraju lasu i podeszli do pola od drugiej strony. Tubylców nie było nigdzie widać. We wsi nie paliły się żadne światła.

- No to do dzieła – powiedział Jakub.
- Nie będziemy jedli koniczynek?
- Nie. Nie mam już po prostu.
- E, może tamte jeszcze działają.
- Chyba się wypaliły. Zwróć uwagę, że wygrzebały nas z nielichych opalów.

Ruszyli po polu. W ciemności potykali się co chwila o grudy ziemi. Ciemno było jak oko wykol, potem zza chmur wyrżał księżyc i zrobiło się trochę jaśniej. Zaraz na skraju pola wpadli po kolana w wielki dół.

- Cholera, co to za pułapka? – zdenerwował się Jakub.
- To nasza dziura. Wtedy co wykopaliśmy tego kapsla. Była zaraz z brzegu.
- No co ty. Po pierwsze sam ją zasypałem, a po drugie była z innej strony.

Dziur ogółem znaleźli dwanaście. Jedna była tak głęboka że Jakubowi stojącemu na jej dnie sięgnęła do ramion.

Wiał paskudny zimny wiatr. Gdzieś pod lasem zawył ponuro pies. Sądząc po głosie, musiał być bardzo duży.

- Słyszałeś? – zapytał Tomasz szczękając zębami.
- Aha. Szczeka sobie coś.
- Myślisz, że to ten duch, co pilnuje skarbu?
- Zaraz, zaraz. Mówiłeś, że on straszy na tym polu. Ani słowem nie zająknąłeś się, że pilnuje naszego garnka.

- Jak to nie? Rano ci to mówiłem.
- Dobra, pies to trącał.

W lesie coś błyskało. Jakby latarka albo coś gorszego. Jakub wzdrygnął się.

- Boisz się?
- Nie. Po prostu mi się z czymś skojarzyło. – Aha. Zaraz pewnie znajdziemy. W tym momencie wykrywacz zapiszczał. Jakub pochylił się i zapalił na moment latarkę.
- Nu jesteśmy na dobrej drodze – powiedział. – Coś jest?
- Podkowa, którą zgubiłem podczas ucieczki. Teraz szczęście będzie nam znowu

sprzyjało.

Tomasz skrzywił się lekko, ale w ciemności nie było tego widać. Gardził ludźmi, którzy wierzyli w takie zabobony. A potem znowu zawył pies i nie był już taki pewny siebie. Ruszyli znowu. Coś biegło w ciemności. Poruszało się szybko, zataczając kręgi.

– Coś biega – zauważył.

– Trzeba się przygotować – Jakub wyjął z kieszeni linkę hamulcową i piersiówkę z resztką wody święconej.

Zrobił to w ostatniej chwili, bowiem z ciemności wyskoczył na nich wielki, czarny pies.

– O job twoju – wymamrotał Tomasz. – W złą godzinę wykrakałem.

– Nie da się ukryć. Garnek złota.

Pies był straszny. Wielki i czarny jak smoła. Oczy błyszczały mu dziwnym blaskiem. Z pyska unosił się dym, a może to była para?

– Grzeczny piesek, dogadamy się – zaproponował Tomasz. – Czego chcesz, żeby sobie pójść?

Pies warknął gardłowo.

– Nie pójdzie po dobroci – zauważył Jakub. – Zobaczmy jak woda święcona.

Odkręcił drętwyimi ze strachu palcami piersiówkę i chlapnął na psa jej zawartością. W pośpiechu jednak pomylił się. Zamiast piersiówki z wodą użył tej ze spirytusem.

Pies zaskowyczał i skoczył na niego. Obalił go na ziemię, ale Jakub był za starym kłusownikiem, żeby dać się tak zwyczajnie zagryźć. Zablokował paszczę łokciem, wyszarpnął z kieszeni linkę hamulcową i okręciwszy psu szyję, zaczął go dusić. Psisko było wielkie i silne, a on miał osiemdziesiąt lat, ale w końcu zwierz padł martwy. Egzorcysta zrzucił go z siebie i wstał z pola. Tomasza nie było nigdzie widać, widocznie uciekł. Wykrywacz metali i saperka leżały na ziemi. Podniósł je i w tej właśnie chwili zaświeciły mu w twarz dwie latarki. Przysłonił oczy ręką. Przed nim stało dwu gliniarzy.

– Co tu obywatelu porabiacie z łopata w środku nocy? – zapytał jeden z nich. – Okażcie dokumenty!

– Nie widzieliście czasem naszego psa...?

W tym momencie wzrok drugiego funkcjonariusza spoczął na uduszonym psisku leżącym na polu. A potem jeszcze się okazało, że to nie chodziło o Sielec, tylko o Sielce. Musiał Tomasz źle przeczytać.

WESOŁY SZPITAL

Impreza w knajpie dogasała powolutku. No ale okazja była szczególna...

– Kurde, doktoru, niezły masz spust – powiedział Jakub, strącając ze stołu kolejną pustą butelkę po perle. Stos tłuczonego szkła sięgał już prawie do kostek. Semen pstryknął palcami. Na blacie wylądowały kolejne flaszki.

Trzej dzielni mężczyźni przelali ich zawartość do kufli i stuknęli się nad stołem. Lekarz wychleptał duszkiem pół litra, po czym opadł na krzesło.

– Na dziś dosyć – wymamrotał. – Jutro muszę być w szpitalu w Lublinie... Operację, uważacie, będę robił. A potem opadł na blat i zachrapał.

– Kto to jest? – zagadnął siedzący w kącie Józef. Tomasz spojrzał na Jakuba i Semenę, którzy właśnie opróżniali kolejne dwie flaszki.

– Doktor, mieszkał w Wojsławicach jak był mały, zaraz po wojnie. Potem wyjechał z rodzicami do Ameryki. Teraz przyjechał w odwiedziny. To podobno wielki i wybitny fachowiec... Prawdziwy profesor od medycyny.

– Niezły gość. Pogadać z nim przyjemnie i wypić umie – Józef spojrzał na poniewierające się butelki... – Tylko jutro ma operować.

– Nie nasze zmartwienie – Tomasz dopił swoje piwo.

– Ale pacjentów szkoda, też ludzie... – mruknął jego towarzysz.

Jakub uniósł głowę doktora.

– Gotów – mruknął. – Nie wiesz, gdzie się zatrzymał?

– Pojęcia nie mam.

– No nic, przenocuję go u siebie, a rano wpadnę do szpitala i wyjaśnię, że nie mógł przyjechać – błysnął pomysłem egzorcysta.

Trzymając pod ramiona swojego towarzysza wytarabanili się na ulicę. Stał tu mustang doktora. W pół godziny upchnęli się jakoś do środka. Samochód był spory, motor Jakuba zmieścił się jakoś, tylko klacz Semenę nie dała się wcisnąć na tylne siedzenie.

– Nie to nie – warknął po czwartej próbie stary kozak, klepiąc ją w zad. – Nie chcesz, to zasuway do domu na kopytach.

Jakub przekręcił kluczyk w stacyjce i pojazd wypruł, mrużąc swoim

dwunastocylindrowym silnikiem.

Jakub ocknął się o szóstej rano. Doktor nadal spał i wyglądało na to, że nieprędko się obudzi...

– No to w drogę – mruknął egzorcysta.

Staął przed lustrem i zlustrował swój strój. Nie wyglądał dobrze. Wszystko pogniotło się w nocy upiornie, do tego plamy z wczorajszego piwa...

– Kurde – westchnął a potem zahaczył wzrokiem o garnitur lekarza wiszący na oparciu krzesła.

– Pożyczę, oddam zanim się obudzisz – powiedział.

Doktor otworzył jedno oko, popatrzył na niego nieprzytomnie i zaraz je zamknął. Jakub ubrał się, ogolił, przegryzł kawał zimnej pieczeni z wilczura. Po chwili zasiadł za kierownicą samochodu i odpalił silnik.

Prowadzenie ciężkiego pojazdu na krętej drodze z szybkością 120 kilometrów na godzinę było strasznie fajne. Silnik mruczał głucho, Jakub jechał bardzo pewnie. Tylko kilka razy ściał zakręty, a przednią szybę poplamiały rozjechane kury... Na szosie z Krasnegostawu do Lublina rozwinął większą szybkość. 180 na godzinę, 200, 230...

– Was nie dogoniat – śpiewał, patrząc jak policyjny duży fiat zostaje daleko z tyłu...

I faktycznie nie dogonili, a przez barykadę trzydzieści kilometrów dalej po prostu się przebił...

Pół godzinki później zajechał z fasonem przed szpital w Lublinie. Wysiadł, nonszalancko trzaskając drzwiczkami i wbiegł po schodkach.

– Gdzie tu znajdę dział kadr? – zapytał lekarza dyżurnego.

– To pan, panie profesorze! – ucieszył się konował. – Zapraszamy, czekaliśmy już tylko na pana!

Nim Jakub się obejrzał, brał udział w bankiecie na swoją cześć u dyrektora. Jacyś ludzie ściskali mu z szacunkiem dłonie i wymieniali swoje nazwiska. Wszyscy tak się ucieszyli z jego przyjazdu, że głupio było wyprowadzać ich z błędu... Wypili po kieliszku koniaku. Potem wyciągnęli kolejną butelkę...

– Dobra – dyrektor szpitala uspokoił ich zapędy. – Nie ma co balangować kiedy te huncwoty pacjenci czekają. Panie kolego – zwrócił się do Wędrowycza. – Obiecał pan pomóc...

– Dawać ich – zażądał konkretnie Jakub.

Chorzy leżeli w sporej sali. Lekarze zatrzymali się przy pierwszym.

– Co mu jest? – zagadnął Jakub. Dyrektor rzucił okiem w kartę.

– Wzdęcie pokarmowe.

– Moja ulubiona choroba – uśmiechnął się Jakub. Faktycznie, nim weterynarz zamieszkał w gminie, bimbrownik lubił ratować krowy przed skutkami objedzenia.

– Przygotujemy blok operacyjny – powiedziała pielęgniarka.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Po co!?

Wyrwał cienką aluminiową rurkę z zagłówka łóżka. Wydobyl z kieszeni nóż. Jednym ruchem ściał jej końcówkę. Odrzucił na bok kołdrę i, celując w żołądek, pchnął potężnie. Chory wydał jęk po czym z końca rury trysnął obłok gazów trawiennych. Jakub podpalił je zapalniczką.

Chory zawył dziko. Gazy strzeliły płomieniem. Po chwili wzdęty kałdun zapadł się ładnie. Egzorcysta jednym ruchem wyrwał rurę i podał pielęgniarce.

– Proszę dezynfekować, może się jeszcze przydać A temu panu opatrunek.

– Khm... – mruknął dyrektor. – Stosuje pan, panie kolego, dość radykalne, żeby nie powiedzieć drastyczne metody. Człowiek to nie krowa...

– A po co ma łóżko blokować? Szybkość i skuteczność działania to w dzisiejszych czasach podstawa hospitalizacji – powiedział Jakub naukowo. – Co my tu jeszcze mamy?

– Salmonella – przystanęli przed kolejnym chorym.

– Stosowaliśmy kroplówkę...

– Siostro, lejek – zażądał Jakub. – A wy trzymajcie go – polecił reszcie lekarzy.

Po chwili wbił pacjentowi lejek między zęby i wlał mu do gardła ćwierć litra najlepszej osiemdziesięcioprocentowej śliwownicy z własnej piersiówki. Oczy chorego poszły w ślup, ale po chwili uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedział. Spojrzenie już mu się robiło maślane.

– Nie ma za co. Wracaj szybko do zdrowia – uśmiechnął się Jakub z zadowoleniem. – Co jeszcze mamy w planach?

– Resekcja wyrostka, trepanacja czaszki i dyżur na chirurgii – wyjaśnił lekarz.

– No to od czego zaczniemy?

Zaczęli od wyrostka. Jakub, stukając po skórze, ustalił gdzie chorego najbardziej boli. Potem stuknął w to miejsce naprawdę mocno. Gdy pacjent stracił przytomność, szybko i sprawnie rozplatał mu brzuch oraz wyciachał co trzeba.

– A znieczulenie? – jęknął dyrektor.

Jakub nieco się skonfundował.

– Słyszałem w Kanadzie, że macie tu strajki anestezjologów – powiedział – więc sądziłem, że i dziś ich nie ma... No nic, i tak już za późno – uśmiechnął się lekko. – Dawać tego do trepanacji.

Pacjent został już uprzednio uśpiony. Na czaszce miał paskudne wgniecenie.

– Zrobiliśmy rentgen i tomografię, kość wgnieciona prawie do mózgu – powiedział jeden z lekarzy. – Rzuci pan okiem – podał egzorcystę wydruk.

Ten w zadumie obejrzał kreski i kropki oraz faliste linie.

– No to tniemy – uśmiechnął się.

Obmacał piłę którą mu podano, spróbował palcem brzeszczotu.

– No nie – skrzywił się. – Szmelc. Jak długo można być sto lat za murzynami?

Z buta wyciągnął żydowski włos – przedwojenną piłkę do krat sklepowych. Szybko wyciął dziurę. Wyciągnięcie odłamków z mózgu powierzył dyrektorowi. Niech też się na coś przyda.

Nadeszło południe. Lekarze rozeszli się do swoich zajęć, a egzorcysta poszedł sobie pozwiedzać szpital. W jednym z pomieszczeń znalazł magazyn. Krzątała się tu pielęgniarka.

– Co to takiego, to niebieskie? – zainteresował się oglądając tabletki leżące w otwartej szafce.

– Viagra.

– I jak, działa? – zaciekał się Jakub.

Ukraińska Viagra, którą stosował na poprawienie muskulatury była innego koloru i kształtu...

– Szczerze powiedziawszy, nie znaleźliśmy nikogo chętnego by to wypróbować – wyjaśniła, uśmiechając się lekko.

Egzorcysta łyknął na raz trzy sztuki i mrugnął do niej...

Pożegnanie było bardzo ciepłe. Wszyscy lekarze i ozdrowieńcy ściskali dłoń Jakuba, dziękując za odwiedziny. Pielęgniarka nawet pocałowała go w policzek.

– Jeszczem takiego chłopca nie miała – szepnęła mu do ucha.

Jakub też pożegnał się z nimi serdecznie i obiecał, że jeszcze kiedyś wpadnie. Gdy odjeżdżał z piskiem opon, dyrektor westchnął ciężko...

– Teraz widzicie, jak działa prawdziwy fachowiec – powiedział do współpracowników. – Widzieliście jak operował? Nawet mu ręka nie drgnęła. Jaka szybkość, tylko spojrzał i od razu wiedział co i jak! Patrzcie panowie i uczcie się...

Jakub dotarł na Stary Majdan wieczorem. Doktor siedział koło studni i leczył kaca, pijąc trzecie już wiadro wody.

– Który jest dzisiaj? – jęknął. – Miałem być w szpitalu...

– Nie martw się – uspokoił go Jakub. – Wpadłem do nich i odwalilem za ciebie całą robotę. A tak swoją drogą, możesz rzucić okiem na ten ochłap?

Wyjął z kieszeni zakrwawiony kawałek jakiejś tkanki.

– Wygląda na wyrostek robaczkowy – ocenił profesor.

– To świetnie doktorku, bo nie byłem tak do końca pewny...

GŁOWA

Półciężarówka pędziła przez uśpiony kraj. Kierowca z kamienną twarzą śledził ukazującą się w świetle reflektorów drogę. Z tyłu, na skrzynce wypełnionej flaszками z wódką, siedział pewien znany emigracyjny polityk. Polityk w zadumie wodził długopisem po czystych kartkach grubego zeszytu. U góry strony widniał skromny napis: „Orędzie do narodu”.

– Opuszczam moją ojczyznę, nie chcąc być świadkiem, jak zmienia się ona w żydowsko-masońską kolonię – odczytał zadowolony z siebie.

W tym momencie kierowca gwałtownie wdepnął hamulec. Polityk wałnął całym ciałem w przepierzenie. Zeszyt poleciał gdzieś na podłogę.

– Co się stało? – wymamrotał.

– Cholera, o mało go nie przejechałem – jęknął kierowca.

Polityk otworzył drzwiczki i wyjrzał. Na poboczu szosy kawałek za nimi leżał, przytulając głowę do przydrożnego kamienia, Jakub Wędrowycz, najwybitniejszy cywilny egzorcysta środkowej Europy, a prawdopodobnie i świata.

– Jakiś zamroczony żdziebko czciciel Bachusa – wyraził swoje przypuszczenie. – Trzeba go zepchnąć do rowu, bo jeszcze go ktoś naprawdę stuknie.

– A może zasłabł? Albo to jakiś potrącony? – zastanawiał się kierowca.

– Faktycznie, możemy sprawdzić.

Wysiedli z wozu i podeszli do leżącego. Woń taniego jabłkowego wina niesła się na kilka metrów wokoło. Polityk westchnął z nostalgią.

– Przypomina mi to czasy, gdy byłem mały i robiliśmy z moim tatą warianty turystyczne.

– Co to takiego? – zdziwił się kierowca.

– Och, znakomita zabawa. Zabiera się pijaczka z rowu koło Zakopanego i wysadza w rowie, na przykład, koło Szczecina.

– Hy, hy, hy, hy – roześmiał się kierowca. – Jeździliśmy wtedy półciężarówką... Miło powspominać dawne czasy.

– Szefie, a może zrobimy mu taki wariant turystyczny, jakiego jeszcze nie widziano na tej planecie?

Polityk podniósł wzrok na swojego kierowcę. W oczach tego ostatniego płonęły ogniki

ekstazy. Uśmiechnął się szatańsko.

– Tak, to naprawdę świetny pomysł. Tylko czy nie będzie kłopotów na cle?

– Sądzę, że żadnych. W każdym razie można spróbować.

– Ładujemy!

Wrzucili bezwładne ciało do furgonetki, po czym pochłonęła ich ciemność. Dwieście kilometrów dalej przesiedli się w nieduży samolocik. Przed świtem wystartowali...

Jakub Wędrowycz ocknął się. Było mu zimno i leżał w rowie. Sięgnął ręką do pasa gdzie przytroczony miał mały bidonek z wysokoprocentowym klinem. Pociągnął kilka łyków. Klin zadziałał. Zgniłozielony kolor zniknął sprzed oczu. Pałaca suchość w gardle ustąpiła, a myśli stały się znów składne. Otworzył szerzej oczy i rozejrzał się.

– O job twoju – wykrztusił.

Miejsce gdzie się znajdował, przypominało z grubsza to, w którym znużony powracaniem do chałupy legł spać. Była tu asfaltowa szosa i rów obok. To się zgadzało. Był płaski kamień, który podłożył sobie pod głowę, tyle tylko, że zamiast łagodnych wzgórz okolic Wojsławic, wokoło rozciągały się dzikie, górskie szczyty. Zaraz za rowem zaczynała się bardzo głęboka przepaść, a po jej drugiej stronie pasły się jakieś dziwne futrzaki, podobne nieco do owiec, ale z dłuższymi szypkami i bez rogów.

– Musi co jestem w Tatrach – powiedział sam do siebie. – Cholera, nie powinienem tyle pić. Taki kawał odleć od chałupy...

W dół prowadziła wąska ścieżka. Ponieważ właściwie nie wiedział dokąd ma iść ruszył nią. W ciągu dwu godzin dotarł na dno doliny, przekroczył rzekę po dziwnym moście uplecionym z samych sznurków, po czym zaczął wspinać się na górę po drugiej stronie. W międzyczasie jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach.

– W Tatrach nie ma liściastych drzew – wydedukował. – To pewnie Beskidy, albo nawet jeszcze jakieś inne.

Pojęcie o geografii miał mętne: za cara, gdy uczęszczał do szkoły, nauczyciele niewiele zdołali wbić mu do głowy. Po następnych dwu godzinach zdołał wdrapać się aż na widzianą poprzednio łąkę. Zwierzęta zastrzygły małymi uszkami i popatrzyły na niego zaciekawione. Jakub podszedł bliżej. Zupełnie nie były podobne do owiec.

– Jak miałem siedem lat, to widziałem takie w zoo.

Pociągnął z manierki. Coś mu tu nie pasowało.

– Może po pijanemu przeszedłem na Ukrainę? – zastanawiał się. – Ale na Ukrainie to są stepy a nie góry. Może to Czechosłowacja? Jest blisko Ukrainy, to i lamy mogą tam wystąpić, a góry jakieś tam są. Chyba te, no, Sudety.

Poskrobał się po głowie. Nic nie mógł wymyślić, więc wzmocnił się jeszcze jednym klinem.

– Do Polski to chyba na północ – wydedukował wreszcie. – Zaraz sprawdzimy, gdzie jest

ta północ. Jest mniej więcej dziesiąta rano, no może jedenasta. Narysuję na ziemi okrąg i stanę pośrodku. Zbadam w którą stronę pada mój cień, a potem dodam jedną dwunastą wycinka koła, dodać należy koniecznie po prawej stronie linii wyznaczonej przez padający cień. Otrzymana linia będzie wyznaczała kierunek północny z błędem rzędu dziesięciu stopni czyli trzech, może czterech radianów.

Jak powiedział, tak też i zrobił. Zatoczył koło na kawałku łysej ziemi i stanął pośrodku. A potem stwierdził, że w ogóle nie rzuca cienia. Sprawdził z tyłu, ale tam też go nie było.

– A może ja się zachlałem i umarłem? – zastanowił się. – Duchy przecież nie rzucają cienia. Ale duchów nie widać w dzień.

Podniósł jedną nogę i zajął pod nią. Stopa rzucała cień. Kliny były trochę za duże, z trudem utrzymał się na tej drugiej.

– Ki diabeł? – zdziwił się.

Popatrzył nieufnie do góry i stwierdził że słońce wisi mu dokładnie nad głową.

– Leci prosto na mnie? – zdziwił się.

A potem kliny zwyciężyły i stracił przytomność.

Znany polski polityk i Antonio Hererra, potomek jednego z miejscowych rodów, pochlali się aż miło znakomitą polską wódką. Na którymś etapie polityk zaczął opowiadać, jaki to wariant turystyczny wyciął jednemu swojemu rodakowi. W gęstym od dymu z cygar i oparów alkoholu pomieszczeniu, padło nazwisko. Antonio oprzytomniał.

– Powiedziałeś jak on się nazywał?

– Jakub Wędrowycz, a co? – polityk wydobył z kieszeni wymięty i przypominający zdechłą szmatkę dowód osobisty Jakuba. – Zabrałem sobie na pamiątkę.

Antonio, przewyciężając obrzydzenie, wziął dokument do ręki. Dowód nosił ślady moczenia w różnych substancjach, a jego okładka była tak wyslizgana że orzeł i napis zatarły się niemal całkowicie. Nazwisko było jednak czytelne.

– Carramba – zaklął wściekle. – Ty chociaż wiesz, kogo wiozłeś?

– No kogo?

– Ten cały Wędrowycz to najlepszy w Europie specjalista od nawiedzonych domów! Był o nim film jakoś tak na dniach. Dla niego rozwiązać nasz problem to tyle, co splunąć. To ja chciałem posłać po niego ludzi do Europy...

– O cholera.

– Ty chociaż pamiętasz, gdzie go zostawiłeś?

– Jakieś dwadzieścia kilometrów od hacjendy.

– Weźmiemy ludzi i przeczeszemy okolicę. Musimy go mieć! A ty, jeśli nadal chcesz być moim współnikiem, to na przyszłość powinienesz więcej myśleć.

Jakub doszedł do siebie z pewnym trudem. Straszliwe wspomnienie zacierało mu się

stopniowo w pamięci. Rozejrzał się dookoła. W pierwszej chwili myślał, że jest w grobie. Mur krypty, stanowił w rzeczywistości ściany niedużego domu, zbudowanego z kamienia. Ktoś siedział przy jego łóżku. Był bardzo stary i wyglądał na Indianina.

Dobrze, że się obudziłeś – usłyszał wewnątrz swojej głowy. – Ty jesteś Jakob Wentrowicz?

– Z grubsza tak – odpowiedział po polsku na głos.

Indianin zrozumiał. Zamknął oczy i skoncentrował się.

Szuka cię Antonio Hererra. Nie możesz tu zostać.

Mózg Jakuba nie nadawał się specjalnie do wysyłania sygnałów telepatycznych, ale egzorcysta wypił trochę bimbrow z bidona i dokonał tej sztuki.

Ja już sobie idę, tylko powiedzcie, mi gdzie tu jest północ.

Nie możesz iść na północ.

Chcę wrócić do domu. A to właśnie w tamtą stronę. Do Polski...

Idąc na północ z całą pewnością nie wrócisz do domu. Musisz złapać samolot do Europy i dopiero później szukać swojego kraju.

To gdzie ja do cholery jestem? Przecież to Słowacja.

Jesteś w Peru.

Jak to w Peru? – zdenerwował się Jakub. – W jakim Peru? Skąd ja się wziąłem w Peru?

Na znak szamana do wnętrza kamiennej chaty weszli dwaj młodzi Indianie w jeansach. Na głowach mieli śmieszne czarne meloniki. Pochwycili zręcznie Jakuba i ponieśli w samo serce gór.

Z nieba walił śnieg. Trzymał nielichy mróz, szyby pokryły się wykwitami z lodu. Wewnątrz knajpy panował miły, ciepły zaduch. Woń mokrych kozuchów i jesionek, skarpet, onuc mieszała się z wyziewami rozmaitych trunków. Semen wlał w gardło szóstą butelkę perły.

– Panowie – powiedział do siedzących przy stole.

– Podsumujmy. Jakuba nie ma już trzeci miesiąc.

– Aha – zgodził się Józef. – Chyba tym razem, to już po nim. Nigdy nie zniknął na dłużej niż tydzień. Może zawiadomimy gliny?

– Zawiadomienie przyjęte – powiedział posterunkowy Birski, siedzący trzy stoliki dalej.

Ten facet miał naprawdę koci słuch.

– Można by pogrzeb zrobić – zapalił się Tomasz.

– Skoro i tak nie żyje, to może nie będziemy czekali na ciało, zwłaszcza, że nie wiadomo, czy zostanie odnalezione.

– Można zrobić pogrzeb bez ciała? – zdziwił się Semen.

– Może weźmiemy jakieś używane? – zaproponował Jan, który swojego czasu był kościelnym. – Pod kościołem w krypcie leży ich tyle, że tylko wybierać. Nawet można jakieś

podobne.

– Można bez ciała – wtrącił się ksiądz, którego nie poznali w pierwszej chwili, bo był ubrany po cywilnemu. Z samą koloratką pod szyją, jadł kielbasę z musztardą przy sąsiednim stoliku. – To nawet lepiej jak bez ciała, bo takiego grzesznika to nie wpuściłbym do świątyni, a tak pusta trumna i można oko przymknąć.

– Jakub wolałby w cerkwi – powiedział Semen. – Ale jak pusta trumna, to faktycznie może być i w kościele. Wszystko jedno.

W tej chwili drzwi otworzyły się i w progu stanął listonosz pokryty warstwą śniegu. Wszyscy zamilkli na chwilę.

– Jest tu Semen Korczaszko? – zagadnął.

– Jestem – poderwał się zza stolika, niepotrzebnie, bo listonosz już go zauważył i szedł w jego stronę.

– Proszę tu pokwitować.

Semen wykaligrafował na blankiecie swoje nazwisko. Cyrylicą, tak mu było prościej.

– Kelner, grzaną wódkę dla pana listonosza – zarządził. Agent za ladą zaklął wyjątkowo szpetnie.

– Semen, ja ci mówiłem, że nie jestem kelnerem! Ja tu jestem agentem.

– Cicho, bo nie dostaniesz napiwku – odgryzł się kozak, po czym noszonym przy pasie białogwardyjskim kordem oficerskim rozpruł list. Z koperty wyłowił pocztówkę. Westchnął ciężko i z kieszeni wyjął okulary w szylkretowej oprawie. Zacerwienił się ze wstydu. Noszenie okularów było w Wojsławicach uważane za hańbę większą jeszcze niż umiejętność czytania i pisania. Pocztówka przedstawiała lamę pasącą się koło muru zbudowanego z ogromniastych głazów. Informacja na odwrocie była krótka i treściwa: Rzyjem. Wyciongnijcie mni z trąd Jakub.

Poniżej nabazgrano długość i szerokość geograficzną czegoś, zapewne miejsca przebywania Jakuba Wędrawycza.

– Hy – powiedział Semen. – Ciekawie gdzie to jest.

Rozejrzał się po knajpie i spostrzegł nauczyciela geografii wywalonego ze szkoły za alkoholizm. Wziął flaszkę piwa i przysiadł się do niego.

– Mam pytanie z dziedziny geografii – powiedział.

Nauczyciel oderwał się od przeliczania ostatnich groszaków, które wygrzebał z kieszeni. Semen potrząsnął zachęcająco butelką.

– Perła – zgadł nauczyciel.

– Jest twoja.

Dłoń wystrzeliła niespodziewanie, ale staruszek też miał refleks i zdążył ją zabrać.

– Pytanie?

– Gdzie to jest? – podsunął mu kartkę od Jakuba.

– Jakies dwadzieścia kilometrów na południe od Cuzco.

– A gdzie leży to całe Cuzco? Nazwa brzmi swojsko, ale te zwierzaki to nie są kozy.

– To w Peru.

Semen podał mu flaszkę i nawet pomógł ją odkorkować, po czym wrócił do kumpli.

– No to wszystko jasne – powiedział. – Trzeba jechać go ratować.

– A kto ma jechać? – zdziwił się Tomasz. – My nie gadamy po peruwiańsku.

Popatrzył na nich pogardliwie.

– Dobra, sam pojedę.

– Ty Korczaszko jesteś o czterdzieści lat za stary – powiedział z przekonaniem Marcin Bardak, który przylazł dopiero co i pił coś stojąc przy ladzie.

– Nie róbcie ze mnie kaleki tylko, dlatego że mam sto lat! – wściekł się Semen.

– Padniesz ze starości zanim zdążę pierdnąć – wyraził swój pogląd Marcin.

Kozak zdjął z siebie kurtkę i odwinął czterometrowy łańcuch krowiak którym był owinięty w pasie.

– Powtórz – zażądał.

Bardak tego wieczora wlał już w siebie dużo, alkohol zmącił mu nieco ocenę rzeczywistości. Powtórzył. Semen zawył i machnął łańcuchem. Po chwili, wróg trzymając połowę zębów na dłoni, biegł wyjąc przez wieś, a czerwona jucha z rozbitego czoła zalewała mu kaprawe ślepie.

– Dobra – warknął kumpel Jakuba zwijając łańcuch. – No i co się gapicie? – zagadnął grupkę przyjezdnych, którzy siedzieli po kątach, sącząc trunki i przegryzając parówki. – „Popatrzcie lepiej w koryta przed wami ustawione.

– Panie Korczaszko – zdenerwował się agent, ale starzec tylko popatrzył na niego ponuro i agent umilkł. Semen ciężkim krokiem ruszył w stronę stolika, przy którym siedział posterunkowy Birski.

– Słuchaj gliniarzu, potrzebuję paszportu.

Birski odchrząknął.

– Semen, nie można ci wystawić paszportu, bo ty od czterdziestu lat żyjesz tu bez dowodu osobistego i zameldowania – powiedział ostrożnie.

Nie żartuje się z człowieka, który trzyma w ręce cztery metry łańcucha, ale posterunkowy o tym nie wiedział. Kozak wałnął krowiakiem w stół. Stół popękał. Następnie wyjął z kieszeni jakiś starannie złożony i podklejony płótnem papier.

– To mój patent oficerski, podpisany przez samego cara – rzekł spokojnie. – Na jego podstawie proszę wystawić mi paszport.

– Hmm, muszę to załatwić przez województwo.

– Sprawa jest pilna – powiedział Semen z naciskiem.

– Za miesiąc będzie.

– On po prostu nie chce żeby Jakub wrócił – wycedził do siedzących przy stolikach.

Birski usłyszał charakterystyczny odgłos jaki wydają butelki gdy od silnego uderzenia

wypada im denko. Obejrzał się ostrożnie przez ramię. Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem dwudziestu par oczu. Światło wiszącej nad barem żarówki zapalało refleksy w dwudziestu butelkach fachowo przekształconych w „tulipany”.

– Postaram się na pojutrze – powiedział. Zabrzmiało to przekonująco. Butelki opadły, a ogień wściekłości zgasł w oczach.

– Czekaj, jeszcze raz wolniej – poprosił Jakub.

Szaman uśmiechnął się i zaczął powtarzać jeszcze raz.

Mówili w języku keczua, w którym Jakub przez ostatnie trzy miesiące poczynił znaczne postępy.

– Są trzy partyzantki. Świetlisty Szlak dąży do zbudowania tu komunizmu. Tupac Amaru chcą parcelacji ziemi i wygnania bogaczy, a my jesteśmy Inkaria. Oni potrzebują karabinów, żeby przekonać o słuszności swoich poglądów, my nie musimy.

– To zrozumiałem – uspokoił go Jakub.

– Herrera, ten który cię szuka, przechowuje w jaskini pod swoją hacjendą głowę Tupaca Amaru. To nasza broń.

Jakub przez chwilę składał to wszystko do kupy.

– Chcecie walczyć tą głową? – upewnił się.

– Musimy ją stamtąd wydobyć. Wówczas odnajdziemy resztę ciała i połączymy je razem.

– Rozumiem. Chcecie je pochować?

– Nie. Głowa naszego wodza żyje nadal.

– Nie rozumiem.

– Gdy ją odcięto ciało umarło, a ona nie. Hiszpanie nie mogli jej zabić, więc tylko zamknęli w piwnicy. Jeśli tam zostanie, to za cztery i pół tysiąca lat ciało odrodzi się, a wówczas zakłócona zostanie pacha. Nastąpi wielki ruch i nastaną czasy powszechnej pomyślności.

– Chyba rozumiem. A jak wyciągniecie ją szybciej to ciało ożyje, i to od razu? I nie trzeba będzie czekać?

– Tak.

Jakub napił się chichy z kubka. Napój był słaby, znacznie słabszy od piwa. Miał dziwny smak, ale po wymieszaniu z miejscowym dwudziestoprocentowym bimbrem nawet mu smakował.

– Dlaczego jestem potrzebny Hererrze?

– Ty Jacob jesteś specjalistą od ciemnych duchów.

– No z grubsza tak.

– On o tym wie z telewizji, a ja czytam z twoich myśli rzeczy dziwne. Bardzo dziwne.

– Ale nie powiedziałeś, po co jestem potrzebny.

– On szuka ludzi którzy dużo umieją. Przywoził zakonników z Limy i szamanów z

dżungli. Chce żeby ktoś zabił głowę.

– Aha. I co dalej? Nie nastanie szczęśliwość?

– Głowa przebywa w piwnicy razem z naszą relikwią, złotym wyobrażeniem boga Inti. Hererra chce je zdobyć, a nie może wejść do piwnicy póki głowa żyje, bo ona wszystko zabija.

– Rozumiem. Myślę, że jest jedna możliwość. Przestanę się ukrywać.

– Zabiją cię, gdy już będzie po wszystkim.

– Życie ma się jedno. Można przeżyć całe albo połowę. Napoiłście mnie i ugościliście. Pomogę wam jeśli zdołam.

Semen wszedł do chałupy Jakuba. Z pieca wyjął słoik zawierający paszport Wędrowycza. Uniósł nieco lodówkę i z dziury w klepsku wyjął kolejny słoik typu wek. Wyciągnął ze środka plik dolarów. Odliczył pięć tysięcy, a resztę wsadził z powrotem i ukrył. Wyszedł przed dom. Jeden z jego wnuków czekał z samochodem. Semen zasiadł koło niego.

– Pajechali! – zakomenderował.

Samochód ruszył ostro. Do stolicy.

– Właż – powiedział znany polski polityk i popchnął Jakuba. – Jak załatwisz to coś, daj znać.

Po chwili ciężkie, metalowe drzwi zatrzasnęły się za egzorcystą. Ruszył przed siebie i niebawem znalazł się w sporej sali oświetlonej dziwnym blaskiem. Blask bił ze złotej tarczy słonecznej opartej o ścianę w kącie. Podłogę pokrywały szkielety. Jakub naliczył ich około dwudziestu. Pośrodku, na niedużej, drewnianej kolumnie, znajdowała się ludzka głowa. Wydawała się spać, ale gdy tylko wszedł, otworzyła oczy.

– To ciebie wołają Tupac? – zagadnął Wędrowycz w keczua.

Myśl umarłego uderzyła go jak młot. Padł na ziemię i zwinął się w kłębek.

– Uż ty – powiedział po polsku. – Toś ty taki?

Siadł na ziemi po turecku i skoncentrował się. Teraz, gdy nie pił od dawna, koncentracja pojawiała się szybciej.

– No to spróbujmy się – zaproponował.

Z oczu głowy strzeliły płomienie. Nadpały ubranie Jakuba i uszkodziły ścianę. Skoncentrował się jeszcze bardziej. Głowa uniosła się kawałek nad ziemię.

– Przechwytujesz moją siłę i wykorzystujesz ją do własnych celów – stwierdził egzorcysta. – Przeciwno mnie.

A potem zablokował wyciek mocy.

– Jak w waszej sztuce walki zwanej Aikido – odpowiedziała głowa, opadając na postument.

Odpowiedziała po polsku.

– To nie nasza sztuka, tylko Japońców. Dobra, może się dogadamy.

– Ech, nie.

– Musisz wydostać się z tej piwnicy. Tak twierdzą Indiańcy z którymi gadałem.

– Sytuacja jest patowa – stwierdziła głowa. – Jeśli wyjdziemy razem to zabiją cię. A potem mnie. Tu mam dobre pole do ostrzału.

Zmaterializowała małą błyskawicę i strzeliła w egzorcystę. Ten zdołał się uchylić.

– A ty nie mógłbyś ich wybić, tak jak tych tu? – wskazał na leżące wokoło szkielety.

– Moja moc zależy od inti – powiedziała głowa.

Egzorcysta popatrzył na złotą tarczę opartą o ścianę.

– To znaczy, że bez tego będziesz kaput?

– Nie wiem, ale znaczna część mocy przepływa tylko przeze mnie. Nie dasz rady zabrać jednocześnie i mnie, i słońca, zresztą tamci tylko na to czekają.

Jakub zmrużył oczy. Obiecał szamanowi, że pomoże głowie odzyskać wolność, ale jeśli umarły władca nie chciał, nie miał tu nic więcej do roboty.

– Dobra – powiedział. – Rób sobie co chcesz, ja stąd spadam.

Ruszył w stronę drzwi, gdy niespodziewanie zatrzymała go jakby niewidzialna ściana. Odwrócił się zdziwiony.

– No co ty? – zagadnął.

Głowa uśmiechała się do swoich myśli. Jakub usiadł na podłodze w pozycji kwiatu lotosu. Jego reumatyzm zaprotestował energicznie, ale po chwili musiał się poddać. Oczy Jakuba zabłysły. Głowa ocknęła się. Z jej rozchylonych ust bryznęła struga ektoplazmy. Wędrowycz odbił ją otwartą dłonią. Ręka zaczęła krwawić, ale ektoplazma rozlała się po podłodze i znieruchomiała.

– No i co? – zapytał. – Musisz zużywać materię, żeby tworzyć następne. W ten sposób za godzinę cię nie będzie.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Zgadnij albo odczytaj.

Jakub otworzył swój umysł, tak jak nauczył się tego kiedyś dawno temu wśród białoruskich kapłanów Światowida. Jaźń Tupaca wdarła się w jego umysł. Niepotrzebnie nadał jej taki impet, bowiem Jakub nie zamierzał się bronić. Jego myśli były zbyt trujące, aby jakakolwiek siła mogła się nimi nasycić. Poczuł jakby jakieś łapy grzebały mu w mózgu. Indiański władca znalazł widocznie, to co chciał wiedzieć, bo wycofał się skwapliwie. Na jego twarzy odmalowało się skrajne obrzydzenie.

– I co? – zagadnął egzorcysta. – Jak ci się podobają moje wspomnienia?

– I taką szumowinę wysyłają żeby ze mną walczyła? – zdziwiła się głowa. – Różni tu przychodzili, szamani i duchowni, także kilku szarlatanów, ale nigdy ktoś taki...

– Chyba nieźle mi idzie, nie sądzisz? Może spróbujemy na poważnie. Ja chcę tylko stąd wyjść. Ty wolisz tu siedzieć. Może mnie wypuścisz, zanim któremuś z nas stanie się

krzywda? Nawiasem mówiąc, gdybym to ja był na miejscu tych dwu palantów tam na górze, to zalałbym piwnicę napalmem, a potem wyciągnął stopione złoto.

Wokoło głowy pojawiła się dziwna aureola. Przypominała trochę taką jak na świętych obrazach. Jakub znał to zjawisko. Głowa kumulowała energię. Widywał już podobne rzeczy na Syberii. Aureola rozbłysła lekko, po chwili ponownie zajaśniała mocniej i przygasła. Wargi Jakuba ułożyły się w sarkastyczny uśmieszek. Gdy rozbłysła ponownie, uskoczył w bok. Błyskawica uderzyła w ścianę, siejąc wokoło grad rozpalonych do czerwoności skalnych odłamków.

– Przygotuj się, bo przechodzę do kontrataku – powiedział Jakub spokojnie.

Przebiegł za „plecami” głowy i położył dłoń na złotej tarczy słonecznej. Głowa odwróciła się powolutku.

– Nie waż się kalać wizerunku naszego boga dotknięciem swoich brudnych, świętokradczych łap!

Jakub oparł drugą dłoń o tarczę. W pomieszczeniu zerwał się huragan. Głowa spadła z postumentu i potoczyła się pod ścianę. Ponownie zmaterializowała piorun, ale Jakub zasłonił się tarczą słoneczną i wyładowanie uderzyło w sufit wypalając w kamieniu dziurę. Ciało egzorcysty zaczęło świecić. Odstawił tarczę, po czym podszedł do głowy.

– Teraz widzisz, idioto, że nie chcę cię zabić – powiedział. – Teraz mnie wypuścisz, skoro nie chcesz iść ze mną. Niech się po ciebie zgłoszą Indianie z okolicznych gór.

– Gdyby to było takie proste to przyszliby sami – powiedziała głowa. – A ci biali żywego cię stąd nie wypuszczą.

– Ja jednak spróbuję. Nie sądzisz, że wy wszyscy w tych górach za bardzo boicie się broni palnej? Inkaria mogą bez trudu zdobyć ten kurnik. Tamtych palantów jest tylko trzech, plus tych dwu fajtlapców.

– Jeśli takie z nich fajtlapy, to jak cię złapali?

– Szukali mnie, to dałem się znaleźć.

Odstawił głowę na postument i podszedł do stalowych drzwi. Dotknął ich końcami palców. Opuszki rozbłysły, jak palnik acetylenowy i zaczęły ciąć stal.

– Nieźle – powiedziała głowa. – Zupełnie nieźle. Nasze bóstwo cię lubi.

Jakub parsknął.

– Nie jest ci czasem bardziej zdechło?

– Rób swoje – uspokoiła go głowa i zaczęła coś knuć za jego plecami.

Szaman pokazał Semenowi białe budynki hacjendy.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – zagadnął Semen po hiszpańsku.

Pamiętał jeszcze ten język z czasów, gdy prawie sto lat wcześniej studiował w Petersburgu.

– Tak – odpowiedział Indianin. – Lepiej poczekaj na wsparcie. Trzy tysiące pasterzy jest

w drodze.

Semen wzruszył ramionami, odbezpieczył karabin i poszedł przed siebie. Strażnicy posiadłości nie byli specjalnie odważni, posłusznie dali się związać i ogłuszyć. Nieco więcej kłopotu sprawił mu polski polityk, ale gdy przestrzelił mu kolano, także dał się przekonać. Semen stanął przed drzwiami wiodącymi do piwnicy. Ktoś pracując od środka palnikiem acetylenowym lub czymś takim, kończył właśnie je przecinać. Semen szarpnął do siebie i padły na ziemię. Z otworu wynurzył się Jakub. Wyglądał o dobre dziesięć lat młodziej. Z twarzy bił mu blask.

– Nu i jestem – powiedział Semen. – Podobno potrzebujesz pomocy?

– Aha.

Zeszli razem do piwnicy. Głowa łypnęła złowrogo okiem na nowego gościa.

– Zostaw Ciapkę, to swój – rzucił egzorzysta. – Weź, stary, to coś, a ja poniosę tarczę.

– Co to jest? – zdziwił się Semen patrząc na głowę, która robiła miny.

– Wołają go Tupac. Był tu królem albo kimś takim. Nie zwracaj na niego uwagi, nie gryzie, ale trzeba go stąd zabrać.

Semen popatrzył na leżące wokół ciała.

– Jesteś pewien, że nie gryzie?

– Słowo honoru.

– Słowo humoru – powiedziała głowa po polsku.

– Twoim zdaniem kto załatwił tych wszystkich?

– Umarli na gorączkę złota – Jakub szarpnął za płytę. Była z litego kruszcu i swoje ważyła. Semen podniósł głowę za włosy i wyszedł z piwnicy. Egzorzysta zarzucił sobie na plecy wizerunek Boga Słońca i pospieszył za nim. Wspięli się na dużą górę za hacjendą. Obaj trochę się zasapali. Indian nigdzie nie było widać. Kapłan też zniknął. – I co dalej? – zagadnął Jakub.

– Puść mnie – polecił władca.

Semen rozluźnił chwyt. Głowa zawisła w powietrzu. – Przystąpię teraz do wymierzania sprawiedliwości wrogom mojego ludu – powiedziała. – Macie natychmiast wracać do swych domów.

– Z przyjemnością – mruknął Jakub. – No to do zobaczenia.

Głowa odleciała kierując się na południe.

– Co z tym? – zapytał Semen, pukając w złotą płytę.

– Jak zobaczył prawdziwe słońce, to widocznie przestało mu być potrzebne. Nie wiem, co z tym zrobić.

– Zabrać ze sobą.

– Łatwo ci mówić. Ty niosłeś tylko tego pajaca, a ja tarczę. To draństwo ma ze trzydzieści kilo.

– Ale to złoto.

– Pies trącał, złoto czy nie złoto – zdenerwował się Jakub. – Mało to mamy złota zagrzebanego w słoikach? Z tym na plecach i tak nas do samolotu nie wpuszczą, bo bagaż maksymalny to tylko dziesięć kilo. No prowadź.

– Dokąd idziemy?

– Jak to dokąd? Najkrótszą drogą na lotnisko i do Wojsławic. Mam już dość tej zagranicy. Wszędzie dobrze, ale w knajpie najlepiej

– To co zrobimy?

– Ot co! – Jakub pchnął płytę, a ta przechyliła się i potoczyła w najbliższą, bardzo głęboką, przepaść. Leciąca w dół odbijając się i koziołkując, aż kilometr niżej zniknęła w lesie.

– Nadał nic z tego nie rozumiem – mruknął Semen gdy maszerowali w stronę stacji kolejowej.

– A co tu do rozumienia? Facet sobie zrobił w piwnicy muzeum. Wstawił to złote koło, potem dołożył głowę. W zetknięciu z relikwią ożyła i zaczęła rozrabiać. No to szukał kogoś żeby sobie z tym poradził. I padło na mnie.

– A teraz co? Głowa wymierzy sprawiedliwość?

– A cholera wie – Jakub poskrobał się po głowie. – Myślę że jak słońce zajdzie to zdechnie.

– A jeśli nie? Jeśli zacznie mordować białych?

– To poczytamy o tym w gazetach...

TUNEL

Jakub Wędrowycz stanął przed tablicą informacyjną Wiejskiego Ośrodka Kultury w Wojsławicach. Na tablicy przyklejono coś białego z dużą ilością czerwonych literek. Bimbrownik nie pałał szczególną miłością do słowa drukowanego. Oczywiście w dawnych, dobrych, carskich czasach wbito mu do głowy pewną ilość liter, ale należały do żdziebko innego alfabetu. Ponieważ nie kontynuował nauki po odzyskaniu niepodległości, miał pewne problemy z czytaniem i pisanem wedle nowych zasad. Substancje w butelkach rozróżniał głównie po etykietkach. Tym razem jednak musiał. Widząc czerwone literki nabral podęjrzenia, że rzeczona tablica służy celom propagandy socjalistycznej i zapalał chęcią natychmiastowego jej zniszczenia. Najpierw musiał jednak zdobyć pewność.

– Odczyt na temat „Jądro ziemi wedle najnowszych badań” – przesylabizował z trudem. – Wstęp wolny.

– Jądro ziemi – powiedział sam do siebie. – To może być ciekawe.

Popatrzył na swój zegarek. Zegarek stał od lat, ale nawyk pozostał.

Z pamięci wyznaczył z grubsza kierunek północny. Następnie zbadał, jak pada jego cień. Naniósł poprawkę na porę roku i na odchylenie od południka Greenwich.

– Szesnasta piętnaście – powiedział sam do siebie. Ustawił godzinę na zegarku i wpadł jeszcze na jednego do gospody. Był przy czwartym, gdy przyszli jego kumple Semen i Józef.

– Nu i co tam? – zagadnął Józwa.

– Leci. Popilnujcie stolika, za godzinę wrócę.

– Spieszysz się gdzieś?

– Będzie odczyt o jądrze ziemi.

– Hy! To ziemia ma jądra? – zdziwił się Józef.

– Nie jądra tylko jedno jądro – poprawił go Semen. Kiedyś tam coś studiował na uniwersytecie w Sankt Petersburgu i nie wszystko zapomniał. – Jak pestka w śliwce.

– To opowiedz, jak wrócisz...

Ale Jakuba już nie było. Oczywiście w drzwiach ośrodka, nie wiadomo po kiego grzyba, stał jakiś wachman. Obrzucił wioskowego egzorcystę uważnym spojrzeniem.

– Chuchnijcie obywatelu.

Jakub chuchnął. Koktajl „Królewna Śnieżka i czterdziestu rozbójników”, sporządzony z jogurtu, spirytusu, sody i innych podejrzanych ingrediencji, dał odczuć swoją moc.

– Nie wpuszczę.

Wachman był potwornie uparty, a Jakubowi nie chciało się go przekupywać. Wstęp miał być wolny. Zamiast tego obszedł budynek dookoła i wlaź od tyłu, oknem od ubikacji. Wykład zaraz się rozpoczął. Egzorcysta siedząc w tylnym rzędzie, patrzył z zachwytem na slajdy i pociągał z manierki bimber. Pociągał i pociągał i dowiadywał się coraz ciekawszych rzeczy, a potem wyszedł go ten podły wachman i wyrzucił z sali. Jakub pomasaował obolały od kopnięć tyłek. Poprzysięgłszy wachmanowi, że rzuci na niego urok, wrócił do knajpy. Kumple jeszcze siedzieli.

– A ja ci mówię, że lepiej wypić najpierw perłę, przegryźć, potem popić wodą, a nie mieszać tak jedno z drugim – dowodził Semen.

Przysiadł się.

– No i co tam?

– Wywalili mnie.

– A czego ciekawego się dowiedziałeś?

– Wyobraźcie sobie, że jądro naszej planety, to kula z żelaza i niklu rozpalona do czerwoności.

– Z niklu? – zdziwił się Józef. – Nikiel pierońsko drogo kosztuje.

– No, na skupie w Siennicy Różanej płacili za kilogram tyle co na ćwierć litra – uzupełnił Semen.

– O? A gdzie ta kula jest zakopana? – zaciekawiał się Józef.

– Wszędzie pod nami – wyjaśnił Jakub. – Coś mówili o czterdziestu, ale nie wiem czy metrach czy kilometrach.

– No co ty. Na pewno nie czterdzieści kilometrów, bo skąd byłby nikiel na monety?

– Musi co i nie na czterdziestu metrach, bo kopalnie na Śląsku są głębiej.

Józef wypił jeszcze trochę.

– Ty, a może byśmy to wykopali? – zaproponował. – Tak z parę kilo.

– Ale to jest do czerwoności – zaproponował Jakub.

– No to co. Będziemy polewali wodą.

– Długo by kopać.

– A śpieszy nam się gdzieś?

– Można się zbliżyć. Jest na podstawiu wyschnięta studnia. Wezmę drabinę i łopaty.

– Dobra, weź furę. Trzeba na coś ładować ten nikiel. A i wiadro wody, będziemy chłodzić.

Godzinę później byli na miejscu. Spuścili drabinę do studni.

Zmieściła się cała. Jakub pojechał więc do siebie i wrócił z solidnym kawałem liny oraz kanisterkiem bimbru, żeby się lepiej pracowało. Mijały godziny. Wprowadzili system zmian. Jeden kopał na dole, a dwaj wyciągali wiadra z ziemią i wysypywali obok. Stos rósł.

Wreszcie przyszła kolej Jakuba. Pokrzepił się dwoma kubkami i zlął na dół. Ledwo wbił łopatę, stracił równowagę i wyrznął głową w cembrowinę. Zobaczył wszystkie gwiazdy, a potem poleciał w ciemność.

Gdy doszedł do siebie, leżał na zabawnym kawałku łączki. Otworzył oczy. Słońce stało wysoko. Usiadł i rozejrzał się trochę zdezorientowany. Tu było inaczej niż w Wojsławicach. Pachniało też inaczej. A nieopodal pasły się jakieś dziwne zwierzaki. W pierwszej chwili wydało mu się, że mają trzy nogi. Ale potem zorientował się, iż to z tyłu to masywny ogon. A potem zobaczył, że jeden ma na brzuchu torbę, a w niej siedzi mały.

– Ki diabeł? – zdziwił się.

Gdzieś z głębin pamięci wypłynął mu podobny obrazek w jakiejś gazecie. Nie pamiętał jednak, jak się te paskudztwa nazywają.

– Ciekawe czy smaczne.

Zaczął macać po kieszeniach, w poszukiwaniu linki hamulcowej służącej mu do celów kłusowniczych. Nie znalazł. Jednak zdążył uporządkować sobie w mózgu na tyle, by wydedukować właściwą interpretację.

– Takich zwierzaków nie ma w Wojsławicach ani w sąsiednich gminach. To na pewno delirium.

Wstał chwiejnie na nogi i rozejrzał się. Niedaleko zobaczył szosę i sklep.

– Wypiję klina, a potem przez kilka dni ani kropli do ust nie wezmę – obiecał sobie i ruszył w tamtą stronę.

– Ciekawe którądy do domu? – zastanowił się, ale nie miało to większego znaczenia.

Gdy odpowiednio się upił, włączał mu się zmysł naprowadzający na bimbrownię pod chałupą. W sklepie siedział jakiś wachman i bełkotał coś tak niewyraźnie, że Jakub za cholerę nie mógł go zrozumieć.

– Słuchaj, potrzebuję wódki – powiedział.

Facet nie rozumiał. Egzorcysta uderzył się kantem dłoni po szyi. Mężczyzna nadal nie kapował. Wreszcie Jakub chuchnął na niego i to pomogło. Zdjął z półki pękata flaszkę i znowu coś zagdakał.

– Ty zapisz się na kurs logopedyczny – poradził mu egzorcysta.

Macał po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy, aż trafił na żelazną rezerwę w postaci złotej pięciorubłówki. Facet wyglądał na uszczęśliwionego. Zaraz za węglem sklepu egzorcysta obejrzał flaszkę. Na jej etykietce widać było takie samo bydle, jak te z torbami na brzuchu.

– Cholera, ale daleko odlazłem od chałupy – zdziwił się. – Może jestem w zoo?

Odkorkował i pociągnął. Zawartość była niezłej mocy, tylko zajeżdżała, jakby cukierkami eukaliptusowymi. Wypił jeszcze trochę i świadomość jego ponownie uległa zmaceniu.

– Pochlali się w cztery dupy przy przekopywaniu tej studni – powiedział aspirant Rowicki

do siedzącego w radiowozie posterunkowego Birskiego.

Trzy ciała, w stanie totalnego upojenia, leżały wokoło.

– Aby tylko nie zarzygali auta.

– Może nie zarzygają. Rowicki schylił się po coś.

– Niech pan zobaczy, tacy szmciarze, a co piją!

W jego dłoni, w świetle koguta, połyskiwała to żółto to niebiesko flaszka ozdobiona etykietką: AUSTRALIAN DRY GIN.

SPOTKANIE Z NARODEM

W domu Wielkiego Grafomana zadzwonił telefon. Grafoman oderwał się od pisania 37 tomu swojej sagi i leniwie sięgnął po słuchawkę.

– Halo? Czy to Wybitny Pisarz? z Warszawy? – zaskrzeczał po drugiej stronie jakiś głos.

– Tak – oświadczył z godnością Grafoman. – A kto pyta?

– Józwa Bardak, nieważne, jest robota.

Brwi literata uniosły się lekko do góry. Robota... Przydałby się drobny zastrzyk gotówki. Na koncie bankowym pozostało tylko 17 złotych, a i w portfelu nie było lepiej.

– Za ile? – zapytał konkretnie.

– No, z kuzynami śmy się na tysiąc zrzucili – głos rozmówcy zdradzał zażenowanie.

– Mało – skwitował konkretnie artysta. – Zazwyczaj tyle biorę za stronę – zełgał.

– O kuźwa – jęknął rozmówca. – E, to zadzwonim do kogo innego...

Włosy na głowie grafomana stanęły dęba. Nadludzkim wysiłkiem woli stłumił panikę.

– Zaraz, zaraz – powiedział. – Po co ten pośpiech. Mówię zazwyczaj, ale jeśli robota nietrudna, to trochę mogę opuścić.

– Chcieliby zamówić tekst o takim jednym kaprawym typie, który wchodzi nam w drogę...

– Brzmi faktycznie nie bardzo skomplikowanie – mruknął. – Musiałbym pewnie przyjechać na miejsce...

– No właśnie. Wszystko gotowe, tylko łązić po wsi i zbierać materiał...

– Dobrze, a co to za wieś?

– Wojsławice w powiecie chełmskim... Przez plecy grafomana przebiegł dreszcz.

– O nie – jęknął, – tylko nie Wojsławice. Tam jest pełno meneli!

– Nie bój dupy, pisarz. Najgorsi menele w okolicy to my...

Wielki Grafoman wysiadł z pekaesu i zaniepokojony rozejrzał się wokoło. Stał przed niebrzydkim domem towarowym, po drugiej stronie ulicy ciągnął się rząd estetycznych pawilonów, które może należałoby w przyszłości odmalować. Przeszedł kilka kroków. Dom z podcieniem, o elewacji wyłożonej łupanym kamieniem, dalej lśniąca nowością trzy domki

wbudowane w pierzeję dawnego rynku... Chodniki były świeżo zamiecione. Otarł pot z czoła, słoneczko przygrzewało. Zasiadł na ławeczce i rozejrzawszy się wokoło, zaczął pisać w kajecie:

Wojśławice po całonocnej ulewie prezentowały się jeszcze gorzej niż zwykle. Bryzgi błota z licznych dziur na jezdni zasychały powoli na szarych od brudu, poprzekrzywianych ścianach. Szosę gęsto znaczyły krowie placki, a ich woń walczyła o lepsze ze smrodem przydomowych wygódek i kup śmieci wyrzuconych na ulicę... Na przystanek przed ruiną, która kiedyś była domem towarowym, wtoczył się ze chrzęstem dawno nie smarowanych osi, zardzewiały pekaes.

Ulicą nadszedł malowniczo oberwany typek w powyciąganym dresie adidasa. Towarzyszyła mu ponura, niedorozwinięta dziewczyna, uzbrojona w kij bejsbolowy, wystrugany zapewne ze styliska łopaty. Jej krzywe zęby...

– Pan Pisarz? Marcin Bardak – przedstawił się człowiek w garniturze. – Mój brat dzwonił. Przepraszamy za spóźnienie. Gosia, kwiaty dla pana.

Towarzyszająca mu urocza szesnastolatka wręczyła grafomanowi trzymany w ręce bukiet róż.

– Miło nam powitać pana w naszej wsi – powiedziała, obdarzając go uśmiechem perłowobiałych ząbków...

– Ach dziękuję.

– Zapraszamy na mały poczęstunek, a potem pojedziemy sobie obejrzeć obiekt pańskiej pracy – zaproponował przewodnik.

– Z przyjemnością. Poprowadzili go naprzód.

Knajpa – ponury loch o pokrytych grzybem ścianach – powitała ich smrodem dawno nie sprzątanego ludzkiego chlewu. Na odrapanych stolikach nakrytych gazetami stały opróżnione kufle, wokoło rozwaleni na krzesłach spoczywali rozmaici menele. Z zaplecza dochodziła obrzydliwa woń, jak gdyby ktoś smażył flaki na zużyтым oleju silnikowym...

– Bardzo dobra ta golonka – powiedział grafoman odsuwając talerz, na którym spoczywała wielka, ogryziona kość. – Jeszcze jedno piwo – poprosił ajenta.

– A więc porozmawiajmy o zleceniu.

– Nasza rada rodzinna – Gosia uśmiechnęła się czarująco, – postanowiła, że wynajmiemy pana. Chcemy, aby napisał pan opowiadanie, może cykl opowiadań o jednym naszym sąsiedzie... Przydałoby się go maksymalnie obsmarować, tak żeby nie zostawić suchej nitki...

– Rozumiem – kiwnął głową i wypił jeszcze kilka łyków złociste poranki

– Opowiadania najlepiej byłoby puścić w jakimś czasopiśmie, które ma duży nakład – zaproponował Marcin. – Tak, żeby cała Polska czytała i aż jęknęła ze zgrozy...

– Myślę, że to da się zrobić... Mam dojścia w kilku periodykach literackich – pochwalił się Grafoman.

Faktycznie, była taka trzeciorzędna gazetka dla miłośników SF, w której czasem z litości

publikowali jego wypociny...

Samochód, kupa zardzewiałych blach, nie wiadomo jakim cudem trzymających się jeszcze powyginanego podwozia, parsknął. Z rury wydechowej kapnęło kilka kropli niedopalonej benzyny. Silnik zawył ponuro, po czym wehikuł ruszył naprzód. Po obu stronach drogi ciągnęły się rzędy wałących chałup. Krzywe płoty chroniły błotniste podwórka przed wzrokiem obcych. Kierujący wozem z wielkim trudem wymijał licznych pijaków ciągnących szosą w stronę miasteczkowej knajpy. Co chwila któreś koło wpadało w jedną z licznych dziur ziejących w starym, popękanym asfalcie. Szary jesienny deszcz bezlitośnie zacinał w brudne, popękane szyby...

– Tutaj mieszka to ścierwo – Marcin zatrzymał samochód na polnej drodze, wysoko nad wsią. Wysiedli. Czerwone daewoo tico przyjemnie wyglądało na tle wyłożonych pszenicą pól... Grafoman wbił chciwie wzrok w gospodarstwo odwiecznego wroga Bardaków. Nieduża chałupka lśniła bielą akrylowych tynków, słońce połyskiwało w świeżo umytych szybach. Klomb z niewielkim oczkiem wodnym odbijał lekkie, białe chmurki, sunące po błękitnym niebie. Gospodarza chyba nie było, bo jasne, sosnowe drzwi domu były zamknięte, a nad kominem nie unosił się dym. Jasnobrązowa klacz skubała trawę.

– Da pan radę to odpowiednio opisać? – zapytała Gosia z frasunkiem. – Ten koleś nazywa się Jakub Wędrowycz.

– Plugawa siedziba Jakuba Wędrowycza ozdabiała Stary Majdan niczym trujący grzyb ścianę. Poprzekrzywiana ze starości chałupa...

– Nie, źle – mruknął.

Chałupa poprzekrzywiała się ze starości. Spomiędzy belek sterczały resztki słomy i pakul, którymi gospodarz uszczelniał co większe szpary. Po drugiej stronie podwórza chyliły się ku ziemi ruiny zabudowań gospodarskich, stodoły i obory... Wgłębi, przywiązana do rachitycznej jabłonki, mokła na deszczu stara, wyleniała klacz. Nieszczęsne zwierzę ubłocone było od pęcin po chrapy. Pod pokrytą liszajami skórą można było policzyć wszystkie żebra. Przechodzący drogą weterynarz westchnął ciężko. Od roku usiłował przekonać gospodarza, że cierpiące straszliwie zwierzę należy natychmiast dobić...

– Brawo – westchnęła w uniesieniu dziewczyna. – Pan to ma prawdziwy talent!

– Sekundkę, to jeszcze nie wszystko – uśmiechnął się mile polechtany.

– No to gadaj.

– Nad dołami na odpadki unosiła się upiorna woń padliny, ekskrementów ludzkich i zwierzęcych oraz zgniłych kartofli. Ale nawet ona nie mogła zabić smrodu bimbru. W

głębokiej piwnicy Jakub przepuszczał właśnie przez aparaturę kolejne sto litrów buraczanego zacieru.

– Klasa – powiedział z uznaniem Bardak. – Pan jest naprawdę wart tych pieniędzy...

– Muszę jeszcze zobaczyć tego całego Jakuba – stwierdził Grafoman. – No, żeby go dobrze opisać...

– O tej porze zazwyczaj bywa w pubie – wyjaśniła Gosia. – Ale lepiej, żeby nie widział nas razem, bo czegoś się domyśli...

Podjechali pod niewielki, uroczy lokal przy zakręcie szosy. Dziewczyna zajrzała do środka przez okno.

– Jest – wskazała, – to ten w czarnej jeansowej kurtce...

– Dobrze. W takim razie wejdę, zamówię piwo i poobserwuję go przez chwilę...

– To my się już zmywamy – mruknął Bardak. – Przystanek PKS jest tam – wskazał wiatę mającą w odległości nie większej niż sto metrów. – Parę minut po czwartej jest pekaes do Lublina.

– Ok. – Pisarz spojrział na zegarek. – To mam dwie godzinki.

– Świetnie. Tu są pieniądze. – Dziewczyna podała mu zwitek stułotówek. – I proszę pamiętać, ma być wyjątkowo plugawym degeneratem...

– Załatwione – grafoman uśmiechnął się szeroko. Pojechali a on wszedł do lokalu.

Podłoga posypana była dawno nie zmienianymi trocinami. W powietrzu unosił się ciężki dym z papierosów najpośledniejszego gatunku. Przy odrapanym barze, zbitym byle jak z płyt pilśniowych, sterczał Jakub Wędrowycz. Łapcie z opony traktorowej, powyciągane spodnie od ortalionowego dresu oraz czarna esesmańska kurtka dopełniały jego stroju. Wodnistobłękitne oczka, osadzone w porośniętej szczeciniastym zarostem twarzy, spoczęły na przybyszu. Potężne łapska zacisnęły się w pięści. Człowiek, który wszedł do knajpy z pewnością nie był tutejszy. A przecież na drzwiach umieszczono lojalne ostrzeżenie „Witamy w krainie, gdzie obcy zginie”...

– Rany Julek! – wykrzyknął Jakub. – Przecież to Wybitny Pisarz!

Grafoman skulił się w sobie.

– My się znamy? – zagadnął ostrożnie.

– Jasne, doktorku, widziałem cię na wieczorku literackim w zeszłym roku w Lublinie. Czytałem wszystkie twoje książki. Są znakomite. Siadaj. Barman! Dwa piwa, ja stawiam...

Zasiedli.

– Cóż sprowadza tak wybitnego twórcę w nasze strony? – zapytał tubylec.

– A tak sobie podróżowałem i wdepnąłem tylko wypić piwo przed dalszą drogą

– Rozumiem.

Stuknęli się kuflami i wypili po łyku browaru.

– Świetnie że cię widzę – ciągnął bimbrownik. – Zaświtał mi taki pomysł. Ty sporo piszesz różnych opowiadań... A ja mam problemik mały. Są tu tacy dranie, którzy bez przerwy

podkładają mi świnie. Nie dałoby się ich jakoś opisać? Oczywiście... wiesz, żeby wyszli w książce na drani, bydlaków, brudasów, alkoholików... Bardaki się nazywają. Jak jechałeś przez Witoldów, to pewnie widziałeś ich gospodarstwo, takie nowoczesne, obory, silos, biały dom z czerwonym dachem...

– Aha – przytaknął grafoman. – Zwróciłem uwagę.

– To gdybyś pisał, to niech to ich gospodarstwo będzie takie, no wiesz, zapuszczone, ruiny, zardzewiałe maszyny, umorusane błotem bachory...

– Myślę, że to da się zrobić – powiedział ostrożnie.

– Wiedziałem, że się dogadamy. – Jakub klepnął go po ramieniu. – To na ewentualne koszta. – Wcisnął mu do kieszeni grubaśny zwitek pieniędzy. – To co, jeszcze jednego na drogę?

Dzień był paskudny, w sam raz na walną bitwę. Szambiarka Bardaków, ubezpieczana przez traktor, wjechała na podwórze. Zwalił się cały klan. Co najmniej dwunastu chłopa. Wszyscy uzbrojeni byli po zęby... Oto nadeszła chwila ostatecznej rozprawy. Jakub dopił słoik mętnego bimbrowa.

– Sporo ich – mruknął Semen. – Może być naprawdę gorąco.

– Spokojna marchewka – odparł Wędrowycz, podnosząc burą szmatę, która dotąd nakrywała garnek z granatami. – Chcą wojny, to będą ją mieli...

JAKUB W OPERZE

Jakub Wędrowycz, genialny egzorcysta, najlepszy fachowiec w kraju, stanął przed słupem ogłoszeniowym. Zaciągnął się skrętem z machorki a potem w zadumie wpatrzył w plakat.

– U-p-i-ó-r w o-p-e-r-z-e – przesylabizował z trudem. Spojrzał na list gończy i pokiwał z uznaniem głową. Niełatwo tak dobrze sfotografować ekto plazmę. Zdjęcie umieszczone na afiszu było doskonałej jakości. Napisów poniżej nie zdołał rozszyfrować, ale z grubsza wiedział co tam jest nacykane. Ktoś poszukuje fachowca, żeby rozprawić się z upiorem. Egzorcysta raz jeszcze obejrzał plakat ale nie znalazł ceny. Tak, ten, co go zawiesił może i umiał robić dobre zdjęcia, ale poza tym był kompletnym dyletantem. Po co, złamas jeden, plakatował tym po mieście, zamiast zgłosić się bezpośrednio do Jakuba?

Ano racja, przecież od tygodnia siedział u syna w stolicy. Najwidoczniej właściciel teatru wpadł na Stary Majdan, tam mu powiedzieli, że Jakub jest w Warszawie, no to nalepił na słupach...

– Logika to podstawa – powiedział z zadowoleniem.

Spojrzał uważnie i odkrył jeszcze schematyczny rysunek budynku teatru. Co za miłe ułatwienie...

Gmach znajdował się opodal. Jakub ruszył po monumentalnych schodach do głównego wejścia. Tu jednak spotkało go niemiłe rozczarowanie. Zamknięte było na głucho. Załomotał. Po chwili pojawił się wachman.

– Czego? – warknął.

Egzorcysta nie przypadł mu jakoś do gustu.

– Ja w tej sprawie – Wędrowycz podał mu kawał afisza odpruty od słupa.

– Kasy są tam – wachman wskazał ręką kierunek i zniknął.

Jakub poczerwieniał ze złości. Co oni, za ciula go mieli? W przeciwieństwie do niejakiego Wiedźmina Geralta, Jakub Wędrowycz najpierw odwał brudną robotę, a potem dopiero wyznaczał cenę i zgłaszał się do kasy... I nigdy nie brał zaliczek. Tfu, co za hańba, wzięli go za byle egzorcystę, tymczasem on jest fachowcem... Najlepszym w kraju fachowcem, mistrzem nad mistrze... Cholera.

Zatrzymał się gwałtownie. Zatopiony w myślach o własnej wielkości nie zauważył, że odszedł od drzwi i minąwszy kasę dotarł aż do rogu budowli. A przecież żeby zapolować na upiора musiał wejść do środka... Obejrzał się, mierząc wzrokiem przebyty dystans, a potem pomaszerował dalej. Nie było sensu wracać, gdzieś tu powinny być jeszcze jedne drzwi...

Przecucie nie myliło go, niebawem natrafił na wejście oznaczone tabliczką:

„Portiernia W”.

Przyglądał nastroszone, siwe włosy i w zadumie popatrzył na swój strój. No nie, jego roboczy ubiór egzorcysty – fioletowe spodnie od ortalionowego dresu i czarna esesmańska kurtka – jakoś tu nie pasowały. Teatr to teatr... Tu trzeba kulturalnie wyglądać. Przetoczył wzrokiem po okolicy.

Przeciął ulicę, nie zwracając uwagi na samochody. Był w swoim prawie; gdy on zaczynał chodzić po ulicach, pojawiał się na nich jeden samochód na sześć dni... No to niech sami uważają. Wizg hamulców przeszył okolicę. Audi zahamowało nie dalej niż 3 centymetry od nóg Jakuba. Powietrze wypełnił smród palonej gumy. Z pojazdu wyskoczył dresiarz z bejsbolem. Wybluzgał dłuższą tyradę i rzucił się w stronę egzorcysty.

W pierwszym odruchu Jakub postanowił go zastrzelić, ale przypomniał sobie, że stoi ciągle przed teatrem. Kultura musi być... Dlatego zamiast rewolweru wyjął z kieszeni granat. Docisnął łyżkę i wyciągnął zawleczkę.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał sztucznie ugrzecznionym tonem, pokazując cytrynkę wrogowi.

– O kurde! – wyjąkał dresiarz, po czym rzucił się do ucieczki, pozostawiając na ulicy otwarty samochód. Jakub wszedł do sklepiu. Wnętrze zafascynowało go dokumentnie. Balowe suknie, mundury, kontusze...

– Czym możemy służyć? – sprzedawczyni obrzuciła go ciekawym spojrzeniem. – Rany Julek, jaka piękna esesmańska kurtka. Gdzie ją panu uszyli?

– Nawet nie wiem – wybąkał skołowany. – Dostałem w prezencie – zełgał.

– Potrzebuje pan dystynkcji?

– Mam w kieszeni – wyjaśnił szybko. – Chciałbym kupić ten żupanik...

– My nie sprzedajemy, to tylko wypożyczalnia... – wyjaśniła ochoczo.

To nawet jeszcze lepiej – pomyślał. – Taniej wyjdzie.

Pięć minut później, Jakub odmieniony nie do poznania, opuścił wypożyczalnię. Żupan, słucki pas, szabla, do tego oczywiście odpowiednie spodnie i czapka. Audi nadal stało, tamując ruch uliczny Egzorcysta wszedł do środka. Kluczyk tkwił w stacyjce.

Zakręcił z fasonem i podjechał do bramy w teatralnym murze. Zatrąbił. Wrota uchyliły się gościnnie. Zaparkował na wewnętrznym dziedzińcu.

– Zapraszamy – jakiś człowieczek otworzył przed egzorcystą drzwi.

Jakub wszedł do wnętrza „Portierni V”.

– Pan? – zagadnął wachman siedzący za kontuarem.

– Wędrowycz, Jakub Wędrowycz – powiedział z godnością. – Ja w sprawie upiora.

– A, trzeba było tak od razu, strój mnie zmylił – uśmiechnął się portier. – Oto pańska przepustka, – Szybko wypisał na blankiecie dane. – Tu bony do stołówki na czwartym piętrze. Jeśli jeszcze coś możemy dla pana zrobić... Próba o dwunastej.

– Dziękuję. – Jakub zgarnął papiery i zanurkował w trzewia teatru.

Miło było, że okazują taki szacunek. Tylko po jaką cholere jaką próbą? Taki fachowiec jak on nie musi trenować.

Upiory teatralne w zasadzie ukrywać się mogą zarówno na strychu jak i w piwnicy. Czasem mogą też występować w różnych zakamarkach... Jakub wszedł do windy i pojechał na samą górę to znaczy na piąte piętro. Znalazł się w niedużym holu. Wyjrzał przez okno i zaklął. Był dopiero w połowie wysokości budynku. Dziwne, czyżby windy nie wjeżdżały na samą górę? Zatarł ręce i ruszył korytarzem. Na razie nie wyczuwał żadnych śladów obecności widma... Korytarz był fajny, szeroki na dwa, metry ale wysoki na co najmniej sześć... Po bokach były jakieś drzwi. Jakub dobył wytrycha i zaczął zaglądać po kolei do wszystkich mijanych pomieszczeń. Znalazł pakamery z narzędziami, szczotki, szafy. Nie tego szukał...

Na końcu korytarza znajdowała się pracownia kostiumów. Ledwo przekroczył próg, doskoczyły do niego dwie dziewczyny trzymające w zębach igły. Nawet nie zdążył się przestraszyć, jak zręcznie zacerowały mu rozdarcie koło łokcia. Podziękował i wycofał się na korytarz.

Z galeryjki metalowe drzwi prowadziły na kolejne schody. Po kilku minutach Jakub wyładował w szerokim, ciemnym pasażu na siódmym piętrze. Przejście zawałone było rekwizytami. Jakub ominął wielkiego, sztucznego byka leżącego na wózku. Przypomniał sobie arię z opery „Carmen”, którą kiedyś często nadawali przez radio.

Zagwizdał, niemiłosiernie fałszując, ale zaraz zainteresowała go płócienna buda. Zajrzał do środka. Na drewnianym stole leżały ramy do sitodruku. Suszyły się. To, co tak huczało okazało się potężnym wentylatorem. Koło sit stał nieduży kanisterek opatrzony napisem Sericol.

– Ciekawe co to? – zainteresował się egzorcysta.

Odkręcił wieczko i powąchał ciecz. Zapach był przyjemny, choć bardzo silny. Łyknął sobie odrobinę. U!!!! Zaparło mu dech w piersiach a w oczach stanęły łzy. Przypomniał sobie jak kiedyś na kosmodromie Bajkonur pochłanił się z ruskimi kosmonautami paliwem do rakiet kosmicznych. W sumie to było całkiem podobne... Mocne jak piorun.

Zakręcił z szacunkiem korek. Twardzi ludzie muszą pracować w tym teatrze, skoro takie rzeczy piją, i to pięciolitrowymi kanistrami.

W przeciwległej ścianie były kolejne stalowe drzwi. Otworzył je i wyszedł na zewnątrz. To znaczy tak mu się wydało w pierwszej chwili. Zaraz jednak odrzucił tę możliwość. Przed chwilą, gdy był na galeryjce, panował dzień, tu zaś była noc. Nie mogło to być przejście do innej czasoprzestrzeni. Jakub odwiedził kilka sąsiadujących wymiarów. Wszędzie rytm

dobowy pokrywał się z naszym. A zatem to musiało być sztuczne... Stał na stalowej kratownicy, przed sobą miał ogromną, pustą przestrzeń. Na dole, podświetlony reflektorami, białął nieduży dworek. Poskładanie tego wszystkiego do kupy zajęło Jakubowi dobre dziesięć minut.

W środku teatru najwyraźniej znajdował się hangar o powierzchni z pół hektara i wysokości jakichś siedmiu pięter.

– Pewnie tu trzymali rakiety z głowicami atomowymi – wydedukował.

Pomieszczenie oplatały pomosty techniczne, umieszczone co jedno piętro. Nad sobą widział jeszcze dwa poziomy. Pod sobą cztery. Z niektórych padały strumienie światła...

– Hy, scena teatralna – domyślił się wreszcie. – W starym silosie na rakiety „Pobieda”.

Odnalazł drabinkę i wspiął się poziom wyżej, a potem jeszcze wyżej. Był pod dachem. Od sceny dzieliło go ze trzydzieści metrów. Spod sufitu zwisały jakieś szmaty. Wszędzie wokoło biegły grube pęki lin. W poprzek pomieszczenia biegł wąski pomost techniczny. Jakub nie wiedział, że umieszczony był za tą częścią kurtyny, która podczas przedstawienia pozostaje nieruchoma...

Egzorcysta ruszył śmiało wąską kładką. Nadal nie wyczuwał upiора, ale ten musiał gdzieś tu być. Maszerował odważnie, ostatecznie drogę pod nogami widział, co mogło mu więc grozić?

Nieoczekiwanie wszystko drgnęło. W następnej chwili Wędrowycz leżał płasko na pomoście, nakrywając głowę rękami. Liny jęknęły, bloczki zatrzeszczały. Skomplikowany system sznurów, wielokrażków i silników ożył. Jedna z wiszących pod sufitem płacht opadła w stronę ziemi, tworząc za dworkiem tło w postaci kwitnącego sadu.

– Tfu, zgroza – syczał Jakub, czołgając się w stronę ściany pomieszczenia. – Ukatrupić mnie chciało...

Po drabince zszedł na dół. Nie pamiętał, na który pomost wyszedł, ale nie miało to większego znaczenia. Można było zejść także tędy. Niebawem znalazł się na poziomie sceny. Otrzeptał żupan. Technicy uwijali się przy reflektorach, wytwornicach dymu i podobnych urządzeniach.

– Za pół godziny zaczynamy. – Jeden z pracowników błędnie zinterpretował pytające spojrzenie egzorcysty.

– Aha – mruknął Jakub. – Dzięki. Czekać, którędy do wyjścia?

– Do garderoby? Tędy. – Technik pokazał mu korytarz za kulisami.

– Dzięki – mruknął Jakub raz jeszcze i zagłębił się w przejście.

– Aaaaaa! Aaaa, aaaa, aaaaaaaaaa, a aaaa aaaaaaaaaa aaaaaaaaaaaaaa, aaaa! – dobiegło go gdzieś z zakrętu.

– Uf – odetchnął z ulgą i ruszył spiesźnie.

Cały ten teatr okazał się bardzo skomplikowanym miejscem, ale teraz nareszcie znalazł coś znajomego. Jakaś baba najwyraźniej została opętana! A zatem był na tropie upiора.

Drzwi garderoby były uchylone. Egzorcysta naszykował srebrny sztylet i zajrzał ciekawie do środka. Przecucie go nie myliło. Pośrodku pomieszczenia stała wysoka, niebrzydka kobitka. Wyła w szale, aż na policzkach wystąpiły jej rumieńce. Już miał pospieszyć na ratunek gdy spostrzegł, że haniebnie się spóźnił. Wewnątrz garderoby uwijał się już jakiś niewysoki człowieczek. Dreptał wokół opętanej, wtykając jej tu i ówdzie strusie pióra.

Partacz – pomyślał Jakub.

A potem aż przysiadł z wrażenia. Człowieczek pomachał przed kobietą piórem i ta z miejsca przestała się wydzierać. Jej twarz odzyskała normalny wyraz. Podeszła do lustra i okręciła się.

– Dziękuję, panie Ignacy – powiedziała zupełnie spokojnym tonem.

Nie była nawet zachrypnięta, mimo że przed chwilą wyła z mocą co najmniej 80 decybeli!!!

– Niemożliwe – szepnął.

Odprawił w życiu sporo egzorcyzmów. Miał do czynienia z różnymi rodzajami opętania. Ale nigdy nie widział żeby skutki zapętlania przez obce siły cofnęły się tak błyskawicznie i bez śladu. Tajemniczy Ignacy był fachowcem najwyższej klasy. Specjalistą... Kurde. Jakub przyznał z zawiścią, że ten gość jest lepszy nawet od niego! Jakim cudem nigdy o nim nie słyszał?

Skołowany wrócił na scenę. Personel właśnie ustawiał jakieś płoty. Egzorcysta dotarł do kurtyny i podniósłszy ją przelazł pod spodem na drugą stronę. Stał opodal krawędzi. Przed sobą miał rozległą przestrzeń widowni, pięć balkonów, powyżej jeszcze łoże... Kilka tysięcy foteli. Nieco zgłupiał.

– Zaraz, to odpalanie atomówek tyle ludzi miało na raz oglądać? – zdumiał się, ale zaraz sobie przypomniał, że z tajnej bazy wojskowej zrobiono teatr... Siedzenia umieszczono tu zapewne później...

Podszedł do krawędzi podłogi i popatrzył przed siebie. W dole znajdował się głęboki szyb, pewnie dawne centrum dowodzenia. Teraz ustawiono tam krzesła i pulpity do nut. Uwagę Jakuba przykuł jednak jakiś gość stojący na podwyższeniu. Mężczyzna miał na sobie frak, a w dłoni trzymał coś, co ewidentnie przypominało czarodziejską różdżkę...

Wędrowycz uśmiechnął się do swoich wspomnień. Nie dalej jak miesiąc temu, zabrał podobną jakiemuś smarkaczowi w okularach, z blizną w kształcie błyskawicy na czole... Gnojek próbował rozrabiać, myślał że trafił na frajera. Egzorcysta skupił uwagę na człowieku z różdżką. Ten machał nią w wyjątkowo profesjonalny sposób, najwyraźniej odczytywał urok.

– Cholera – szepnął Jakub.

Gość naprawdę znał się na rzeczy. Wędrowycz wycofał się bokiem. Zaklął cicho. Teatr do rozprawy z upiorem wynajął dwu naprawdę dobrych fachowców. Tylko skąd, u licha, ich wytrzasnęli?

Czego jeszcze nie sprawdził? Piwnice i niższe piętra... Poblądził chwilę, aż trafił na

szeroki korytarz. Z za jednych drzwi dobiegały go jakieś rytmiczne potupywania i charakterystyczny chrzęst kości

– Mam cię – mruknął.

Uchylił drzwi i zajrzał do środka. Dwanaście młodych baletnic ćwiczyło przed lustrem. Nieoczekiwanie poczuł strużkę śliny spływającą po brodzie. Odruchowo sięgnął do kieszeni po paczkę z viagrą, ale przecież miał na sobie żupan.

– Cholera – mruknął. – Właśnie wtedy, kiedy jest potrzebne...

Zamknął ze złością drzwi i otarłszy twarz rękawem, ruszył dalej. Gabinety kierowników i dział księgowości pominął, upiory boją się biurokratów. Zapamiętał tylko gdzie się znajdują, tu będzie przecież odbierał nagrodę... Znalazł windę i zjechał nią do piwnic. Długi betonowy korytarz, nieliczne żarówki pod sufitem. Zamknięte na głucho drzwi.

Idealne miejsce żeby zapolować... – pomyślał Jakub.

Godzinę później nie był już tego taki pewien. Przeszedł co najmniej trzy kilometry, ale nie natrafił na żadne ślady upiora.

– Kurde – palnął się w głowę. – Tamci dwaj go zlokalizowali koło sceny... Tam musi siedzieć, a ja tu próżno zelówki zdzieram...

Westchnął ciężko i ruszył na poszukiwanie windy. Godzinę później w sympatycznej stołówce na czwartym piętrze Jakub zasiadł do obiadu. W międzyczasie łyknął jeszcze kropelkę sericolu – tak na uspokojenie. Obiad też był niezły.

– Zjem i pójde go poszukać – zdecydował. – Tamtym w drogę nie będę wchodził, fajer plajt musi być. Ale to ja go dopadnę... Bo przecież to ja jestem najlepszy...

Rzucił kosę spojrzenie na konkurentów, którzy jedli przy sąsiednim stoliku. Spróbował wysondować ich aurę i zdębiał. Aura każdego obdarzonego różni się od fal emitowanych przez zwykłych ludzi. Ci mieli zupełnie normalną...

– Sukinsyny – mruknął z uznaniem. – Aż tak się zabezpieczyli?

No cóż nie było to takie głupie. Jeśli ktoś umie stłumić emanację osobowości, demony nie zostaną przed czasem ostrzeżone...

Do tamtych dwu dosiadł się trzeci z aktówką.

– Dobrze, że panów widzę – powiedział z uśmiechem. – Jest dla panów trochę forsy. Po sto dwadzieścia jeden złotych, trzydzieści groszy. Zaraz, o proszę tu pokwitować...

– To za upiora? – upewnił się charakteryzator.

– Oczywiście.

Jakub Wędrowycz wybiegł z teatru ze łzami w oczach. Co za podłość. Nie dość, że dopadli upiora szybciej niż on, nie dość że byli od niego lepsi, to jeszcze brali pięć razy taniej!!!

– To niesprawiedliwe! – zawył z rozpacz. Spłoszone gołębie poderwały się w powietrze.

JAKUB NA TROPACH YETI

Wielki Grafoman, sapiąc jak lokomotywa, wdrapał się na halę. Dziś rano z niepokojem zbadał swoją wagę. Nie dość, że była zbyt wysoka, to jeszcze z niezrozumiałych przyczyn nie stracił nawet kilograma... A przecież odchudzał się intensywnie, cały tydzień przecierpiał na diecie złożonej z samego piwa i chipsów...

Słoneczko przygrzewało, usiadł więc na kupie kamieni w cieniu rachitycznego świerczka. Z torby wydobył deskę służącą mu jako rysownica oraz gruby kajet zapisany tysiącami pomysłów i fragmentów opowiadań, które skutkiem przejściowych problemów z potencją twórczą, nie doczekały się od kilku lat dokończenia.

Rozejrzał się po halach i natchnienie spłynęło na niego natychmiast.

W nienaturalnym pięknie okolicy krył się groźny fałsz – zanotował pierwsze zdanie.

Natchnienie, jak zwykle, ulotniło się natychmiast, gdy tylko oderwał długopis od papieru.
– Kurde – mruknął rozeźlony.

Possał koniec długopisu i poprawił króliczą łapkę tkwiącą w kieszeni.

Słońce stało wysoko nad górami – zaczął jeszcze raz. – Po niebie sunęły ciężkie, burzowe chmury. Owce, becząc rozpaczliwie...

Faktycznie, gdzieś daleko pasły się owieczki. Tfurca z uśmiechem zanotował na górnym marginesie: „Beczenie Owiec”. Poskrobał się długopisem po skroni. Coś mu to mówiło. Czyżby ktoś już wcześniej wymyślił opowiadanie pod tym tytułem?

– Cholera – zaklął. – Jakież potworne męki twórcze ja cierpię... – rozżalił się. – Ale mężnie stawię im czoła, choć problemy z którymi się zmagam są potworne. Jakoś trzeba przecież zarobić na wakacje.

Z torby wyłowił butelkę „dopalacza” i niepomny na tragiczny los kilku kultowych pisarzy, pociągnął solidny łyk. Natchnienie powróciło. Ujął wiernego watermana w dłoń.

Na trawę hali padł złowrogi cień pobliskiego szczytu. W przedwieczornej ciszy słysząc było wycie wilków.

Zawahał się na moment. Z torby wyjął podręczną encyklopedię przyrody górskiej i przekartkował pospiesznie.

– Psiamać – mruknął rozeźlony.

Wilki były zwierzętami nocnymi i w związku z tym nie były w dzień. Trawił uzyskane informacje przez kilka długich minut. Łyknął dopalacza i natchnienie znów obudziło się z drzemki.

Wilki przebudzone nagle w swoich legowiskach zastrzygły uszami i zawyły ponuro do księżyca – napisał.

Coś mu się nie zgadzało. Przeczytał od początku tekst. No fakt, zdanie wyżej było o słońcu. Rozwiązanie tego problemu fabularnego chwilowo przerosło jego możliwości intelektualne.

– Ech, ludzie nie zdają sobie sprawy jak haruję – mruknął. – Wydaje im się, że napisanie książki to ot tak, pstryk i jest.

Tymczasem – zanotował na kartce.

Bardzo fajne słowo, otwierające nowe możliwości fabularne. I co z tym fantem dalej zrobić? Nieoczekiwanie jego wrażliwe powonienie dźgnął jakiś upiorny smród. Coś śmierdziało, ni to padliną, ni to dworcowym trollem.

Góry spowił upiorny smród – Grafoman radośnie zanotował kolejne zdanie.

A może przerobić tytuł opowiadania na „zapach owiec” albo „pranie owiec” Hmmm, czy na pewno pranie? Bardziej pasował mu wyraz na „s”...

Chciał się odwrócić żeby zobaczyć co tak cuchnie, gdy nieoczekiwanie włochaty kułak zamalował go w głowę.

– No to kuszajcie – Jakub Wędrowycz postawił przed kumplami flaszkę i zagrychę.

Macki w galarecie wyglądały bardzo wykwintnie, jak z chińskiej restauracji. Semen i Józef zasiedli do stołu, nalali sobie do szklanek mętnego samogonu i nałożyli na talerze egzotycznej zagrychy.

– Jakub, skąd wytrzasnąłeś taką ośmiornicę? – zapytał stary kozak. – U nas w rybnym przecież tego nie ma?

– Siedziało w studni, mówiło że nazywa się Ktulu – wyjaśnił.

O tym, ile czasu zajęło mu wyłowienie wszystkich macek, oderwanych wybuchem granatu, nie wspomniał. Bo i po co?

– Swoją drogą, to dawno nie byliśmy na wczasach – zauważył Semen. – Już cały rok minął. A pamiętacie, jak fajnie było turystów puszczać z torbami?

– Hmmm – mruknął Jakub. – W sumie to można by się gdzieś wybrać. Nad morze albo na Ukrainę.

– Podobno w Czechach jest tania śliwowica – zauważył Józef. – Można by tam.

– No to postanowione – huknął pięścią w stół egzorcysta. – Jutro jedziemy na wakacje. Trzeba zorganizować transport. Ja zajmę się napojami na drogę... A na razie zaplanujmy, gdzie by tu jechać.

Ze strychu zniósł stary atlas szkolny. Otworzył go na mapie Królestwa Polskiego.

– My zdies. – Semen stuknął paluchem w środek guberni chełmskiej. – Pojedziemy przez Nowoaleksandrowsk, Iwanogród...

– Znaczy Puławy i Dęblin – burknął Józef. – Przez osiemdziesiąt lat mogłeś się nauczyć.

– Po co się kłócić – załagodził Jakub. – Jedźmy inną drogą. Zwłaszcza że góry to gdzieś na dole mapy przeważnie – wspomnienie ze szkoły odbiło mu się w mózgu bolesnym echem.

– Fakt – kiwnął głową Józef. – Pojedziemy na Zamość, a tu, cholera, granica... Trza będzie wziąć paszporty.

– Uch ty durny – burknął kozak. – Tej granicy nie ma od osiemdziesięciu lat. Mogłeś się nauczyć – przedrzeźniał kumpla.

– Nie masz jakiejś nowszej mapy?

Gospodarz poskrobał się pogłowie.

– Zaraz coś poradzę – obiecał i zniknął na strychu. Z góry dobiegły odgłosy szurania i przewracania jakichś pudeł. Wreszcie egzorcysta zlął po drabinie.

– A o – powiedział pokazując książkę. – Wnuk zostawił. A tu w środku jest mapa.

– Śródziemie – odcyfrował Semen. – Ty, to chyba nie jest Polska. Choć nazwy niby podobnie brzmią...

– Może jakiś kraj słowiański – mruknął Józef. – Ale skoro góry na południu, to po cholere nam mapa? Kompas się weźmie i tyle.

Po kilku łykach przyznali mu rację.

Wielki Grafoman ocknął się na hali, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi. Strasznie napierniczała go głowa. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego u licha jest mokry. Drugie wiadro wody pomogło mu dojść do siebie.

– Gdzie som nasze dutki? – usłyszał pytanie. Otworzył oczy i zaraz przezornie je zamknął. Stali nad nim trzej kolesie. Sądząc po góralskich strojach – miejscowi.

Kolejny kubeł wody zmusił go do ponownego otwarcia oczu. Górale trzymali w rękach ciupażki, i to nie takie ze sklepu z pamiątkami, ale prawdziwe. Były naostrzone, a szczyrby wskazywały na to, że właściciele używają ich często i z pewną wprawą.

– Co to są dutki?

– Pieniądzorki – wyjaśnił ten najniższy.

– A, zbójnicy jesteście? – ucieszył się grafoman.

O rany, to dopiero będzie pomysł na opowiadanie, o ile oczywiście wyjdzie z tego spotkania żywy. Na razie nie zanosilo się. Górale najwyraźniej mieli ochotę porąbać go na plasterki.

– My nie zbójce! – huknął najwyższy. – Łodszkodowanie zapłacisz.

– Odszkodowanie? – Grafoman teraz dopiero spostrzegł swój portfel. Wybebeszony poniewierał się na ziemi, a zużyte norweskie karty telefoniczne, które umiejętnie wetknięte udawały kredytowe, leżały na kamieniu.

– Zeżarłeś nam trzy łowieczki – wyjaśnił środkowy, – no to teraz musicie zapłacić.

Grafoman wysilił pamięć. Przecież nie jadł żadnych owiec.

– To niemożliwe – odparł. – Przecież trzech na raz bym nie zjadł.

– Mądrze godo – mruknął najniższy.

– A to je co? – Grafoman powiódł wzrokiem za gestem górala do ogniska. Pośród węgla poniewierały się ogryzione kości trzech owiec oraz flaszka.

– Rany Julek! – wrzasnął macając po kieszeni.

Przeczucie go nie myliło – to była jego piersiówka. Zerwał się i podbiegł do ognia. Niestety, butelka była pusta jak wylizana. Zagraniczna zawartość, specjalnie sprowadzona przez kumpla ze Szkocji, uległa wychłaptaniu. Na ten widok Grafoman rozplakał się rzewnymi łzami.

– To chyba nie jego robota – mruknął najwyższy góral.

Nagle pisarzyna znieruchomiał. Zdumiony wpatrywał się w ślad czerniejący na stygającym popiele.

– Zobaczcie panowie – przywołał górali.

Na skraju ogniska widniał odcisk stopy. Ale jakiej! – Heeej! Rozmiar 15 co najmniej – najwyższy góral wytrzeszczył oczy. – W naszej łokolicy takiego ni ma.

Zdobycie transportu zasadniczo wymaga pewnej ilości gotówki. Wszyscy trzej przyjaciele uznali jednomyślnie, że pieniędzy nie ma co trwonić, gdyż kiedy dojadą na miejsce, będą niezbędnie potrzebne, by się zabawić. Problem transportu rozwiązali zatem we własnym zakresie. O świcie, na szosie biegnącej z Wojsławic na południe, pojawił się ciekawy ekwipaż. Przodem, na zardzewiałym motorze marki Junak jechał Józef. Do tylnego zderzaka jednośladu doczepiono dyszel niedużej klatki, którą zazwyczaj wożono na targ cieleta.

Podłogę zmyto starannie szlauchem i wyłożono świeżą słomą. Kawał blachy od siewnika, przymocowany drutem, zabezpieczał przed palącymi promieniami słońca. W przyczepce zmieściła się plastikowa beczułka z samogonem, dwa plecaki zagrychy oraz Jakub i Semen. Wygodnie rozwaleni.

Obserwowali przesuwający się krajobraz. Okolica robiła się powolutku coraz bardziej pagórkowata. Jakub rozmyślał, swoim zwyczajem, o dupie Maryni, przeliczając zielone tabletki ukraińskiej viagry, Semen studiował liczący 1400 stron wydruk norm ISO dla krajów Europy Środkowej, który skądś zaiwanił jego wnuk pracujący w kancelarii sejmu.

– Po cholere ci te szpargały? – zapytał egzorcysta. Skończył liczyć tabletki i wsypał je do słoika.

– To niezwykle cenna księga – odparł Semen. – Owoc natchnionej myśli biurokratycznej zespołu liczącego tysiące szczywanich urzędasów...

Wędrowycz, słysząc te wyjaśnienia stracił zainteresowanie. Niesłusznie.

Kierowali się z grubsza na Rzeszów, gdy nieoczekiwanie ich pojazd wyprzedził radiowóz. Policjant pomachał lizakiem. Józef zahamował delikatnie.

– Ups – Mruknął Jakub i pospieszenie nakrył beczułkę starą szmatą. Semen spokojnie wygramolił się z klatki i ruszył w stronę gliniarzy.

– Prawo jazdy i papiery motoru w porządku – mruknął policjant oddając dokumenty staruszkowi. – Ale wożenie ludzi w klatkach, zwłaszcza na tak dalekich trasach, jest zabronione. Będzie mandat.

– Jeśli można... – odezwał się Semen otwierając księgę norm na stronie 867. – Nasz pojazd jest zgodny z europejskimi normami ISO 2000. Proszę tylko zobaczyć. Ogumienie według standardów, specyfikacja stali użytej na osie się zgadza, specyfikacja blach i lakieru na karoserii – wskazał zardzewiały daszek – również.

– Skąd pan wie, że się zgadza? – zdumiał się funkcjonariusz. – Przecież na oko widać że to złom.

– Na oko to chłop w szpitalu zmarł – kozak zacytował przysłowie ludowe. – Jeśli pan nie wierzy, proszę zrobić badania laboratoryjne użytych komponentów. Tylko te normy zawartości chromu – zafrasował się – to trzeba będzie sprawdzić na Zachodzie, u nas nie ma odpowiednich technologii analitycznych...

– Eeee – powiedział uczenie policjant.

– A co do pana... – Semen spojrzał na niego z frasunkiem i otworzył księgę w innym miejscu. – Zdaje się normy europejskie nakazują, by wzrost funkcjonariuszy służb mundurowych zawierał się między 178 a 188 centymetrów... Pan coś za duży urósł... Podeszwy pańskich oficerek są oczywiście olejoodporne? – złapał policjanta za nogę i oderwawszy stopę od ziemi, obejrzał spód buta. – Może i są, ale brak oznaczenia normy – stwierdził ze smutkiem. – Broń była czyszczona smarem WX 473?

– Tak – oznajmił triumfalnie policjant.

– Też niedobrze – pokręcił głową kozak. – To smar zimowy, latem trzeba używać tego drugiego... Widzę, że i napisy na radiowozie zrobione nie tym lakierem co trzeba... Czy pan w ogóle jest prawdziwym policjantem?

– Owszem. Nawet mam tu niedaleko posterunek w miasteczku.

– Z przyjemnością go obejrzę – uśmiechnął się zjadliwie.

– Dobra, jedźcie za mną – prychnął policjant.

Dziesięć minut później weszli na komendę.

– Słuchajcie chłopaki, ten facet mówi, że jestem nieprawdziwy – gliniarz zwrócił się do kolegów.

– No coś pan – posterunkowy podniósł się z miejsca. – Kpi pan sobie? Szeregowy Tomaszczuk miałby być fałszywym gliniarzem?

– Podobnie jak wy wszyscy – prychnął Semen patrząc po kątach. – Cała ta komenda jest lipna. Zasadzkę do rabowania tirów urządziliście?

– E? – zdziwił się posterunkowy

– Przecież widzę. Kafelki na podłodze powinny być gładkie, aby można je było łatwo spłukać wodą. I fugi między nimi muszą być silikonowe.

– Gówna prawda – parsknął dowódca.

– Zaraz udowodnię.

Wyciągnął z biurka identyczne tomiszczce i kartkował przez chwilę.

– O, proszę. Budynek użyteczności publicznej o dużym natężeniu ruchu. Podłoga musi być wyłożona kafelkami antypoślizgowymi.

– Posterunki policji są wyłączone z tej kategorii – Semen otworzył swoją księgę w innym miejscu. – Miejsca prewencyjnego zatrzymania, kafelki gładkie dla lepszego utrzymania czystości.

Posterunkowy długo studiował przepisy.

– A niech mnie – mruknął.

– Jeszcze jedno – warknął Semen. – Macie tu drzwi nie trzymające norm ISO dotyczących przepisów przeciwpożarowych.

– To znaczy?

– Rzuci pan okiem na stronę 459: powinny otwierać się na zewnątrz.

Policjant po chwili ze skrucą przyznał mu rację.

– Obawiam się, że będę musiał o tym zameldować gdzie trzeba – westchnął Semen. – Tak rażące naruszenie norm europejskich, i to w instytucji rządowej...

Po chwili kozak zadowolony wyszedł z posterunku. Wsiadł do klatki.

– Jedziemy – polecił Józefowi.

– Dużo musiałeś dać łapówki, żeby nas puścili? – zapytał Jakub.

– Nie tylko nie dałem, ale nawet wziąłem – Semen pokazał stułotowy banknot.

– Trzeba się było nauczyć czytać – Semen błysnął złotymi zębami.

Egzorcysta prychnął. Nie, lubił jak przyjaciel wyskakiwał ze swoją uczonością.

– Heeej! – stuknęli się szklanicami nad stołem. Wielki Grafoman i jego trzech góralscy kumple napełnili gardła piwem.

– Żywe yeti to interes, który może przynieść nam ciężkie tysiące złotych – gość podjął przerwany wątek. – Po pierwsze muzeum. Głównym eksponatem byłby oczywiście wypchany okaz. Do tego odciski stóp, kamienne narzędzia wykonane przez bestię...

– Zara, a jak łon ni robi narzędzi? – zafrasował się Jędrus

– Trochę lipy nie zawadzi – uciał pisarz. – Od archeologów kupimy. Do tego oczywiście fotografie przedstawiające ślady maskary... – zadumał się. – Tak, trzeba będzie zrobić dużo niesamowitych zdjęć. Musicie mi pomóc. Wiecie, samo zjadanie owiec nie wstrząśnie zwiedzającymi w wystarczającym stopniu. Trzeba czegoś drastycznego – strzelił palcami. – Już wiem! Dogasające ognisko, a w popiele ludzkie kości.

– Dobrze godo – ucieszył się Franek.

– Ty, ale skomd weźmimy? – zastanawiał się Maciuś. – Ze szkoły pożyczymy kościotrupa – zasugerował przybysz. – Teraz są wakacje, im niepotrzebny. Przecież używając tego samego możemy kilkanaście fotek zrobić. Polali mu jeszcze.

– Do tego trza będzie wycinki z gazet porobić, niby że tu od stu lat już grasuje. Drukarzę mam, czcionkę jak w gazecie, odpowiednią.

– Ale jak to stare gazety to żółty powinien być – zmartwił się Jędrus.

– Co za problem? W mocnej herbacie namoczymy! I, teges, trochę starych gratów. Beczka rozwalona, niby że on ją zniszczył, narty stare połamane, to się kartkę postawi, że tylko tyle po turyście zostało... A do jednej stary but doczepimy i niech z niego kość złamana wystaje, niby nogi kawałek został...

– A skomd jom weźmimy?

– Z owcy na przykład. W gablocie zamkniemy, nikt się nie kapnie.

– Hy. Tyż prawda...

– I jeden tom dzieł Lenina sobie musimy z makulatury wygrzebać. Dorobi się jedną stronę, gdzie Lenin opisuje spotkanie z yeti.

– Toż poznają że lipa – zafrasował się Franek

– Gdzie tam, kto w dzisiejszych czasach czyta Lenina? A będzie, nazwijmy to, dowód historyczny. I bab trzeba kilka zaufanych posadzić. Niech napiszą wspomnienia sprzed wielu lat, że widziały...

– Heeej, ten to ma sakramencko dobry pomysłunek – mruknął Maciuś. – Tera kwestia najważniejsza, jak siem dzielić będziemy?

Wielki Grafoman udał zaskoczenie, choć myślał o tym przez cały czas.

– Trzeba postawić muzeum – powiedział. – Wy, górale, to pewnie się na ciesielce znacie? Pokiwali głowami, ale na ich twarzach odmalowała się pewna troska.

– Zabytki zrobimy razem. Jak już mówiłem, trochę lipy nie zawadzi. Dorzucimy trochę pamiątek regionalnych, to dotację dostaniemy – błysnął kolejnym pomysłem...

Trzej wspólnicy wytrzeszczyli oczy.

– A to si tak do?

– Pewnie. Przecież samorząd ma obowiązek utrzymywania instytucji kulturalnych. Dwa etaty powinni dać. To podzielimy na cztery połówki. To wszyscy będziemy mieć robotę... Wpływy z biletów wysokie nie będą, ale teren wokół muzeum wydzierżawimy.

– A na co to? – zdumiał się Franek.

– Pod stragany z pamiątkami – tłumaczył grafoman. – Budki z piwem, szaszłykarnię. Każdy będzie chciał zakręcić się koło naszego interesu, ale po cichu będziemy mieli udział. W ten sposób nic nie musimy robić, a pieniądze lecą.

– Hy, dobrze godo, polejcie mu jeszcze...

– Góry, ech – westchnął rozmarzony Jakub. – Góralki z warkoczami, bimber ze śliwek, szaszłyki z baraniny, nocne tańce z nagimi dziewczętami na halach...

– Gówno tam – machnął ręką Semen.

– A co, pomarzyć nie wolno? – egzorzysta sięgnął kubkiem do beczki i wychylił jeszcze jedną miarkę bimberku.

– Można, można, zaraz chyba pojedziemy – mruknął grzebiący przy motorze Józef. – O kurde...

Złamany tłok silnika został mu w ręce.

– No i nie pojedziemy – stwierdził filozoficznie Jakub. – Chyba żeby zdobyć jakiś transport – jego spojrzenie omiotło horyzont i zatrzymało się na nadjeżdżającym audi. Z plecaka wyjął transparent, zrobiony z prześcieradła i spokojnie rozwiesił go na klatce. Teraz pozostało tylko czekać, aż pojazd zbliży się na odpowiednią odległość.

Obaj pasażerowie audi aż rozdziawili gęby widząc haselko:

„Tylko głupie psy noszą adidasy”.

– Ty – mruknął Grucha wciskając hamulec. – Ktoś tu obraża nasze Dresy.

Wysiedli z pojazdu. Jakub na ich widok zakręcił piersiówkę. Szykowała się zadyma, a przecież gdyby się wylało, żal każdej kropli.

– Niezły wozik – powiedział egzorzysta do Semena.

– Motor upchamy w bagażniku.

– A co z tymi? – stary kozak wskazał na dwu osiłków, którzy właśnie wyjmowali z pojazdu kije do bejsbola.

– Sportowcy jacyś, czy co?

– Nieważne. Wy dwaj – zwrócił się do dresiarzy, – potrzebujemy waszego samochodu.

Grucha ryknął i wałnął na odlew kijem. Wędrowycz specjalnie się tym nie przejął. Złapał nadlatującą pałę i ścisnął lekko. Drzazgi poleciały na wszystkie strony. Viagra czyni cuda... Chwycił zaskoczzonego osiłka, zakręcił nim nad głową i wrzucił do rowu. Obejrzał się na drugiego, ale ten już umykał jak zając.

Trzej przyjaciele umieścili w bagażniku beczułkę z bimbrem.

– Co z motorem? – zapytał Semen.

Józef tylko machnął ręką.

– Do dupy, posypał się stary złom, zostawiamy...

Zapakowali się do pojazdu i ruszyli z kopyta. Semen włączył klimatyzację, a Jakub zaopiekował się skrzynką piwa stojącą na tylnym siedzeniu. Ech, wakacje...

Po jakimś czasie dostrzegli zajazd. Był to ładny budynek z drewnianych bali.

Pokoje gościnne z łazienkami – głosiła wywieszka. Zaparkowali z fasonem i udali się do lokalu. Było raczej pustawo, więc usiedli przy stoliku. Stary kozak wziął w dłoń menu.

– Trzy razy placek po zbójnicku – zadysponował – a do tego piwa.

Po kilku minutach stanęły przed nimi talerze z dymiącym daniem oraz zapotniałe kufle.

Tręcili się nad stołami i włali w gardła potężne hausty napoju.

– Nieźle nam idzie to podróżowanie – powiedział Jakub, – ale może zostaniemy tutaj? Fajnie jest.

– Nie – pokręcił głową Józef. – Jedziemy w góry. Mężczyźni nie powinni zmieniać zdania tak w połowie drogi.

– Fakt – mruknął Wędrowycz zawstydzony. Podjedli i poszli do pokoju. Trzy łóżka, łazienka – luksus.

Uwalili się w butach na wyrach. Jakub łyknął z piersiówki.

– Świat nie jest taki zły – stwierdził.

W tym momencie przed zajazdem ktoś wypruł serię z kałacha. Brwi Semena uniosły się lekko, ale nie zdążył ich opuścić, gdy drzwi rozleciały się pod wpływem mocnego kopa i stanęło w nich trzech dresiarzy.

– No i co frajerzy? – wrzasnął Bejsbol.

– Masz nieprawidłowy dres – powiedział spokojnie Semen. – Wietnamska podróbka – otworzył tomiszcze na odpowiedniej stronie. – W przypadku dresów czteropaskowych obowiązuje 8 mm odstępu między paskami, a tu, jak widzę, jest mniej. Zresztą możemy to zaraz sprawdzić – wyjął z kieszeni suwmiarkę.

Intruz puścił jego słowa mimo uszu.

– Rambo zaraz was wystrzela jak kaczki – obiecał.

Jakub pociągnął jeszcze jeden łyk.

– Ten gość nie wygląda mi na faceta, który by to potrafił – powiedział. – A już na pewno strzela z kałacha gorzej niż ja.

– Nie pierdol, dziadu! – obraził się kafar. – Strzelam najlepiej w całej mafii.

– A potrafisz przestrzelić trzy jabłka jedną kulą? – Osilek przez chwilę liczył coś na palcach. – No... nie da się – wybełkotał. – Dwóch pocisków zabraknie.

– Dobry fachowiec, taki jak ja, poradzi sobie z tym problemem.

– Gównu, nie wierzę.

– To zrobimy tak. Jak mi się nie uda, możecie nas zabić, ale w przeciwnym razie puszczacie nas wolno.

– Dobra – kiwnął ogolonym łbem Grucha.

Wyszli na podwórze. Jakub ustawił trzech koleśi na tle ściany garażu. Każdemu na łysym łbie położył jabłko.

– Kurde, kumplu, to niemożliwe – powiedział Semen skrobiąc się po głowie. – Jakby stanęli rzędem jeden za drugim, to może wtedy, ale tak... Przecież się nie da!

– Zaraz zobaczysz.

Egzorcysta mrugnął do przerażonej kelnerki, która obserwowała zajście przez okno. Odbezpieczył automat i ściał wrogów piękną seryjką. Strzelał aż do końca magazynka.

– Kurde, oszukiwałeś! – wybełkotał dogorywający pod murem Rambo.

– Przepraszam, karabin się zaciął – Jakub uśmiechnął się promiennie. – Skocz po łopaty – skinął na Józefa. – Trzeba zakopać te ścierwa.

Zmarnowali na tym uroczym zajęciu pół nocy. Oczywiście poszłoby im znacznie szybciej, ale Semen sarkał, że skoro paski były nieprawidłowe, to chociaż grób musi mieć głębokość zgodną z normami ISO...

Wielki Grafoman doszedł do siebie w pasterskim szałasie na hali. Leżał na klepisku, Spodnie miał spuszczone do kolan, wokoło poniewierała się cała masa kłaków. Do obolałej kuśki przykleiło mu się nieco wełny.

– Współżyłem z owcą? – zdumiał się.

– No, niezłe kino było – zachichotał Jędrus, – jak z amerykańskiej kasety na video... Szkoda żeśmy aparatu nie mieli, a jakeście panocku z nią zaczęli gadać o ewolucji i teorii Lamarcka, to dopiero było.

– Nieważne – mruknął Grafoman podciągając spodnie.

– Która to godzina?

Strasznie bolała go głowa.

– Południe będzie – odparł Franek. – Jakeście z łowieckom skończyli, trzecia dochodziła.

– Trza upolować jetiego – Grafoman próbował dźwignąć się z posłania i zwałił się jak długi.

– Klina mu! – zaproponował Maciuś. – Albo zabije, albo na nogi postawi.

Postawiło. Gość obwiązał sobie bolący łeb mokrą szmatą. Zgarnęli ze stołu oscypki, nożyce do wełny, kleszcze do kastrowania oraz inne szpargały i rozłożyli mapę.

– Tu będzie melina, tu bimbrownia, a tu som my – Jędrus pokazał miejsce. – Ło a tu was znaleźlim.

– Hmmm. Yeti, z tego co mi wiadomo, mieszka na lodowcach i zostawia skalpy tybetańskim mnichom – miastowy poskrobał się po głowie. – Macie tu gdzieś lodowiec?

– Na Kasprowym Wierchu trocha śniegu będzie, ale to z piesziesiomt kilometrów – wyjaśnił Maciuś.

– Kurde... A może mnisi tybetańscy tu gdzieś mieszkają? – W Warszawie tośmy takich widzieli – mruknął.

– A i u nas łońskiego roku jeden się przyplątał ale ciupazką łoberwał i poszedł... Tyla go widzieli.

– Zaraz – Grafoman puknął palcem w sztabówkę – tu jest zaznaczona jaskinia.

– A mamy takom maluśkom jaskinke – potwierdził Jędrus, – co za Hitlera tatko siem łukrywał.

– Co on, partyzantem był? – pisarzyna zwietrzył sensację.

– A dzie tam. Bimberek pędził to się łukrywać musioł.

– Myślę, że tak duże bydlę jak yeti, musi gdzieś przesypiać dnie, by nocą wyruszać na

łowy.

Maciuś poskrobał się po głowie.

– Kiedy panocku w biały dzień was po łbie stukło i łowcę zeżarło.

– Hmmm. Więc tym lepiej. Pewnie wraca do swojej jaskini wieczorem. A my się zaczaimy w środku i przygotowujemy pułapkę – zatarł z radochy dłonie.

Audi pokonywało kolejne kilometry. Z tyłu wesoło chlupotała beczułka z samogonem. Jakub siedział wygodnie na tylnym siedzeniu i co jakiś czas pociągał łyka z plastikowej rurki biegnącej do bagażnika. Nowiutkie spodnie od dresu, zdarte przed zakopaniem Gruchy, połyskiwały odbłaskowymi paseczkami. Przy biodrze dyndał mu telefon komórkowy. Tylko kartę wyciągnęli ze środka, żeby nikt nie mógł ich namierzyć. Semen utyskiwał, że pokrowiec na komórkę nie trzyma jakiejś tam normy, ale puszczała jego głądzenie mimo uszu. Okolica robiła się coraz bardziej pagórkowata. Ech, wakacje.

Wielki Grafoman i towarzyszący mu górale stanęli u wejścia do jaskini.

– Dobra – zdecydował. – Włazimy do środka i robimy zasadzkę.

Wyjęli z kieszeni latarki i śmiało wleźli do ciemnego lochu. Dno pokrywało namulisko. W zastygłej glinie utkwili potłuczone flaszki od pryty. W kącie leżało nieco poobgryzanych kości, stary materac i jakieś szmaty.

– To jak robimy tom zasadzkę? – zapytał Jędrus. – Bo po mojemu to trza by taką klatkę łopadającą z góry. To go żywcem weźmimy.

– A po co nam żywy yeti? – wzruszył ramionami Franek. – Do muzeum to trza wypchanego.

– Hmmm – zadumał się Maciuś. – A może żywego więcej ludziów będzie chciało łobaczyć?

– Możliwe – kiwnął głową Grafoman, – ale trzymanie go żywcem rodzi poważne kłopoty. Po pierwsze trzeba bydlaka karmić. A nie wiem, ile tych owiec macie... Po drugie, trzeba pilnować żeby nie nawiał, po trzecie, Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami może się czepić... Wypchany jest, że się tak wyrażę, mniej kłopotliwy. Dziabniemy go z wiatrówki i po krzyku.

– Z wiatrówki? – zaniepokoił się Jędrus. – A to się tak da?

Pisarz wyciągnął zza paska pistolet.

– Na naboje CO2 – pochwalił się. – Prędkość wylotowa 190 metrów na sekundę...

W tym momencie jasną plamę wejścia przesłonił cień. Pod światło trudno było rozpoznać szczegóły, ale potężna, przygarbiona sylwetka nie dawała złudzeń

– O krucafuks – jęknął Maciuś. – Prawdziwy yeti.

– Chodu – Franek rozejrzał się przerażony.

Tylko Grafoman nie stracił zimnej krwi. Wycelował w potwora i pociągnął za spust.

Cyngiel cofnął się kawałek i zatrzymał.

A, trzeba odblokować – przypomniał sobie właściciel broni. Wymacał w ciemności przełącznik i przesunął go.

– A wy tu co? – ryknął yeti.

Pisarz dał ognia. Charakterystyczne klaskanie rozprężającego się gazu w ciasnej jaskini brzmiało prawie jak wystrzały. W każdym razie niezwykle fachowo. Pociągał za spust, aż doliczył do dwudziestu. Po każdym trafieniu Yeti cofał się i wydawał z siebie coś na kształt jęku. Tak. Grafoman sądził, że już po pierwszym strzale potwór przewróci się martwy. A tymczasem...

... a tymczasem Jakub z kumplami zaparkowali audika nad zakolem górskiego potoku. Na niedużej łasze znalazło się jeszcze miejsce, by rozstawić namioty. Rozłożyste świerki rzuciły przyjemny cień na obozowisko. Z bagażnika wytoczyli beczkę z samogonem i rozstawili leżaki.

– Nudzi mnie jakoś ta beczyność – stwierdził Jakub po godzinie lenistwa. – Może podpalmy coś albo zrobmy komuś jakąś krzywdę? Albo pójdziemy do knajpy i urządzimy zadymę?

– Innymi słowy preferujesz aktywny wypoczynek – zauważył Semen.

– Co!?

Wielki Grafoman ocknął się w kącie jaskini. W powietrzu unosił się miły zapach mięska pieczonego na grillu.

– Obiad? – zdziwił się.

– Obiad – parsknął obok Franek. – Już łoni nam dadzą obiad... – splunął. – A ty nas w to wkopałeś...

– Nie jego to winy – westchnął w ciemnościach Jędrus. – Łomylił się... Lepiej coś bystro obmyślny, bo źle będzie.

W kiepskim świetle dawało się to i owo wypatrzeć. Wszyscy czterej związani byli jak balerony sznurkiem od snopowiązałki.

– Ale co się stało? – zapytał przestraszony Grafoman.

– No, jak poczęstowałeś tego małpiszona z pistoletu, to chyba się wkurzył, bo ryknął. A wtedy ze środka wyskoczyło.

– Ze środka?

– No bo tu jest jeszcze jedna komora dalej – wyjaśnił Maciuś. – zapomnieliśmy o niej. A tam widać siedzieli.

– Więcej yetich?

– Bo ja wiem czy to są yeti? – burknął Franek. – Chociaż z mordy podobni.

– Uch, nie godoj – zdenerwował się Jędrus. – Akurat żeś prawdziwego yetiego widział,

żeby móc porównywać...

W tej chwili do jaskini wszedł pokraczny osobnik. Popatrzył chmurnie na związanych jeńców i wyszczerzył ponuro paskudne zębiska.

– Pitekanthropus erectus – zidentyfikował Grafoman.

Kiedys wylali go ze studiów na archeologii...

– Jaki tam erektus – Franek spojrzał na przyrodzenie domniemanego yeti. – Viagry mu trza.

Stwórz tylko parsknął i wyszedł.

– Ty coś ło tym wiesz? – Jędrus szturchnął pisarza pod żebro. – Co z tom erekcją?

– To takie małpoludy, a nazwa od tego, że wyprostowane chodzą – wyjaśnił. – Kurde, to nawet lepsze eksponaty do muzeum niż yeti. A czaszki by pewnie chętnie kupili amerykańscy kolekcjonerzy...

– Na razie to chyba nasze czaszki kupiom jich kolekcjonerzy – powiedział ponuro góral. – Godoj, co o nich wiesz?

– Żyli w hordach liczących po kilkanaście osobników, polowali na zwierzynę, znali ogień i praktykowali kanibalizm.

– Krucafuks, wiedziołem – zdenerwował się Maciuś. – Od razu sobie pomyślełem jak tylko to łobaczyłem.

– A co zobaczyłeś? – zaciekał się pisarz.

– A ło – wskazał stojące pod ścianą, zastrzone na końcu pręty zbrojeniowe.

– To nie ich, oni nie znali żelaza – uspokoił go Grafoman. W tej chwili do jaskini wszedł wyjątkowo wielki osobnik.

– Ty – zwrócił się do pisarza. – Z takim kulkowcem to sobie możesz do puszek postrzelać, a nie do nas – odsłonił w uśmiechu żółte zębiska. – Chude coś te wasze owce – zwrócił się do zbaraniałych górali, – ale na zagrychę od biedy mogą być. Chcecie wyjść z tego żywi?

Pokiwali energicznie głowami.

– No to zrobimy tak: wypuścimy jednego, a reszta zostanie jako zakładnicy. Skombinujcie beczkę wódki, wtedy was wypuścimy...

– Kto pójdzie? – Franek popatrzył po związanych kumplach.

– Ten wygląda na najinteligentniejszego – małpolud dźgnął pisarza paluchem w pierś. – Masz godzinę. Jak nie wrócisz do tego czasu, kumple idą na grilla...

– Ale ja nie wiem, gdzie tu można tyle kupić... i nie dam rady przydźwigać. I nie znam okolicy! – jęknął grafoman.

– Jak się nie da, to trudno – małpolud wymownie spojrzał na pręty. – Zrobimy z was szaszłyki od razu.

– Spróbuj chociaż, pieronie zatracony! – wrzasnął Jędrus.

Uwolniony grafoman wyszedł z jaskini. Kilkunastu małpowatych właśnie szykowało

chrust. Na jego widok uśmiechnęli się aż ciarki go przeszły. Pobiegł klusem przez łąkę. Gdy wpadł między drzewa, zwolnił.

– Gównu – mruknął. – Zanim dobiegnę do wsi, minie półtorej godziny. Muszę jeszcze monopolowego poszukać. Zesram się, a nie zdążę. W sumie to, kurde, nawet nie ma co próbować. Szkoda chłopaków, serdeczni byli i napić się dali, a teraz ich zeżrą małpiszony... Chyba żeby we wsi polecieć na posterunek, wrócić z gliniarzami... ale przecież nikt mi nie uwierzy.

Zniechęcony ruszył przez las.

– W sumie dobrze, że choć ja się jakoś wykaraskałem... Nieoczekiwanie wyszedł na krawędź parowu. Dołem płynęła rzeka.

Na leżakach spoczywali jacyś trzej oberwańcy, pogrążeni w głębokim, pijackim śnie. Grafoman zszedł na dół. Duża, plastikowa beczka, wokoło walające się musztardówki... Podniósł pokrywę. Zapach podłego bimbru nieomal ściął go z nóg. Spojrzał na zegarek: godzina i czterdzieści pięć minut.

– To cud – szepnął. – Uratuję kumpli.

Przytwardził starannie pokrywę i z trudem przewrócił beczkę. Sześćdziesiąt litrów jak obszył... Wytaskał ją na górę i potoczył ścieżką w stronę jaskini. Gdy dotarł na miejsce, miał jeszcze prawie godzinę rezerwy.

– Nieźleś się spisał – pochwalił go pitekanthrop. – Słowo się rzekło, puszczamy was.

Cała czwórka umknęła w stronę lasu jak zające.

– Jak ci się to łudało? – zapytał Jędrus. – Przecież nawet jakbyś do wsi zdążył, to i tak nie wiesz gdzie bimbier kupić!

– Zaiwanilem takim frajerom w lesie – pochwalił się pisarz. – A teraz, chłopcy, musimy pomyśleć nad naszym muzeum.

– To znaczy...

– No przecież nie puścimy płazem naszych krzywd – prawie się obraził. – Trzeba zdobyć broń, wystrzelać tę hołotę, zakonserwować, wypchać... Albo... – zmrużył oczy – uśpić, wsadzić do klatek i pokazywać za pieniądze.

– Mądrze godo – ucieszył się Jędrus. – Ja mam wujka gliniarza, może on nam pożyczy trochę gazu?

Ruszyli przez las do wsi.

Wódz pitekanthropów zręcznie zdjął pokrywę z beczki. Zaczerpnął pełną filiżankę ciecchy. Przytknął do ust i naraz zamarł.

– Jakub Wędrowycz – zidentyfikował producenta samogonu.

Cała horda poderwała się na równe nogi. Spod sienników i skór wyciągnęli spluwy i wycelowali w stronę wejścia do jaskini. Wódz ze złością przewrócił beczkę.

– Na pewno zatrute – parsknął.

– Co robimy? – zapytał któryś z jego współplemieńców. – Bronimy się czy uciekamy? Sporo nas.

– A jak znowu wrzuci granat? – prychnął szef. – Dwu na zwiad obserwować las, reszta pojedynczo chodu...

Przemykali gęsiego, rozglądając się uważnie na boki. Dwa kilometry od jaskini w zagajniku stał ich samochód. Wódz zatrzymał ich gestem i sprawdził, czy pojazd nie został zaminowany. To dziwne, ale Jakub chyba przeoczył ich ciężarówkę! Odetchnęli z ulgą.

– Wsiadać, szybko...

Piętnaście minut później cała banda tłoczyła się już bezpiecznie pod plandeką zdezelowanego stara.

– Zachciało nam się wakacji – parsknął któryś. – Wracajmy lepiej do domu.

Dobre sto kilometrów dalej przywódca hordy odetchnął z ulgą.

– Raz jeszcze udało się przeżyć... – mruknął. – Kurs na Dębinę.

Jakub obudził się na leżaku i odruchowo sięgnął szklanką do beczki z samogonem. Niestety, naczynie trafiło na próżnię.

Postawiłem z drugiej strony – wydedukował i sięgnął na lewo. Ponownie złowił tylko powietrze. Otworzył oczy i rozejrzał się, a potem wąwóz wypełnił dziki skowyt.

Kumple poderwali się z leżaków.

– Jakies kutasy zaiwaniły nam beczkę z bimbrem!!!

Semen dotknął dłonią bruzdy pozostawionej przez rant toczzonego pojemnika.

– Ślad jeszcze świeży – ocenił. – 60 litrów to sporo. Daleko nie uciekli. Dopadniemy ich.

Trzej starszaki ruszyli przez las wilczym tropem. Po półgodzinie dotarli do jaskini.

– Jest beczka – mruknął egzorzysta patrząc na swoją własność. – Tylko, kurde, bimber wychlali...

Kopnął w plastik. Zadudniło.

Józef ostrożnie przelał do butelki to, co zostało na dnie. Dobre i pół litra...

– Oho, nasi tu byli – Semen kontemplował rysunki mamutów wykonane sprayem na ścianach. – To ci małpowaci z Dębinki.

– Pierdoły – parsknął Wędrowycz. – Skąd by się tu wzięli?

– Może przyjechali na wakacje?

W tym momencie rozległ się syk i jaskinię wypełniły kłęby mlecznego oparu.

Gliny – Jakub ostatnim przeblyskiem świadomości zidentyfikował skład chemiczny substancji. A potem polecili w niebyt.

Wielki Grafoman przekręcił dyszę, zatrzymując wyciek gazu. Zajrzał do wnętrza jamy.

– No i załatwione – powiedział z głębokim zadowoleniem. – Uśpieni.

Wyciągnęli łup na światło dzienne.

- Kurde – zaklął Jędrus. – Coś nie wyglądają na yeti.
- Faktycznie – zasępił się grafoman. – Może pomyliliśmy jaskinie?
- A gdyby tak... – zaczął Franek. – Mam w chałupie trzy stroje polarnych niedźwiedzi z czasów jak w Zakopanem robiłem fotografie turystom... przebierzemy ich.
- To brzmi nawet niegłupio – zauważył Maciuś, – ale jak dojdą do siebie, to pościągają.
- Przylepimy butaprenem? Mam pół beczki...

Jakub ocknął się w klatce. Było mu coś gorąco. Spojrzał na ręce i stwierdził, że porasta je białe, skołtunione futro. Kumple też dochodzili do siebie. Za grubymi, stalowymi prętami widać było tłum ludzi.

- Targ jakiś czy co? – zdziwił się Semen.
- Pierdoły – parsknął trzeci niedźwiedź głosem Józefa. – Śni nam się pewnie.
- Tu widzicie trzy prawdziwe yeti – powiedział Jędrus do zgromadzonych na targu baców. – Za flaszke pofikają koziołki.

Puścił w obieg kapelusz, a gdy nappełnił się drobnymi, podał Jakubowi przez kraty butelkę śliwowicy.

- Koziołki? – zdziwił się egzorcysta. – Debilny sen.
- Sen czy nie, napijmy się – zaproponował Semen. Osuszyli butelkę błyskawicznie, a potem, ku uciechu gawiedzi, faktycznie podokazywali trochę. Potem była kolejna butelka. I banany na zagrychę. Wreszcie nieubłagane nadszedł sen.
- No to mamy niezły utarg. Sto dwadzieścia złotych za kilka godzin nieskomplikowanej pracy – Wielki Grafoman przeliczył stos monet. – Jak się będziemy dzielić?
- Publika dała sto dwadzieścia, ale na wódkę dla eksponatów wydaliśmy sto sześćdziesiąt – parsknął Jędrus. – Wiesz, pisarz, nie powiem, niegłupio to sobie wymyśliłeś, ale trochę przeszacowałeś ekonomiczną stronę zagadnienia...
- No fakt... – Grafoman rzucił na stół brakujące 40 złotych. Jakoś nie miał ochoty na ciupagę w głowie... – To co, zwijamy interes?
- Zwijamy. Nie miej do nas żalu. Po prostu fajnie było, ale się nie łopłaca. Chodźta na piwo...
- A co z tymi yeti?
- A pośpią pewnie do jutra. Wywalmy ich do jakiegoś rowu, klatkę trza łoddać...

Jakub ocknął się na skraju łąki. Męczył go kac gigant.

- Ale miałem fajny sen – powiedział do kumpli. – Śniło mi się że jestem niedźwiedziem i sztuki w klatce pokazuję...
- Kurde – mruknął Józef. – Nadal wyglądamy jak niedźwiedzie...
- Faktycznie, stroje solidnie przylepione klejem trzymały się fest.
- To chyba nie był sen – Semen popadł w zadumę.

- Wiem, to była wakacyjna przygoda! – rzucił odkrywco.
- To wyjaśnienie jakoś wszystkim przypadło do gustu.
- To co robimy? – zapytał Jakub. – Zdejmujemy z siebie te łąchy?
- Poszukajmy jakiegoś zamku – zaproponował Semen.
- Będziemy straszyć turystów...

Wielki Grafoman z zadowoleniem rozejrzył się po zrujnowanym dziedzińcu zamku. Usiadł wygodnie na cembrowinie zasypanej studni.

- Cisza i spokój – powiedział sam do siebie. – Żadnych turystów, żadnego yeti...

Otworzył kajet i zaczął skrobać z mozołem: Zwaliska prastarej fortecy porastała cisza gęsta jak krzaki... Skreślił.

- Źle – mruknął.
- ... oplatała cisza zawieszona jak mgła. – nagryzmołił.
- A może...
- ... miękka jak śmietana.

Napisawszy zdanie posłał koniec długopisu. Natchnienie jakoś uleciało. Łyknął kapinkę dopalacza i starannie zatkał piersiówkę. Nieoczekiwanie, gdzieś z tyłu, dobiegła go słaba woń jakby butaprenu. Nie zdążył się odwrócić, gdy owłosiony kułak zamałował go w łeb.

- Hy, frajer flaszke miał – ucieszył się Jakub wyjmując z bezwładnych palców twórcy butelkę. – To co, chłopaki, wypijemy, a potem pozwiedzamy ruiny i poszukamy skarbów?

Semen i Józef uśmiechnęli się szeroko pod maskami. Na szczęście butapren już puszczał...

- A co z tym ścierwem? – stary kozak popatrzył na powalonego.

– A może przebierzemy go w góralski strój i zamkniemy tam? – Józef wskazał niewielką niszę osłoniętą kratą. – A turystom powiemy że to prawdziwy zbójnik. I forsa za oglądanie wpadnie...

- Charoszaja idea – ucieszył się Semen. – W końcu jakoś trzeba zarobić na wakacje...

UCZEŃ SZEWCA: MAJSTERSZTYK

Jakub Wędrawycz wsadził wtyczkę do kontaktu i popatrzył w zadumie na swoje dzieło. Stary fotel fryzjerski oplątany został rozizolowanymi miedzianymi drutami. Ciągnął się od niego pęczek kabli, prowadzący do skrzynki z pokrętkiem umieszczonej pod blatem stołu. – No to mamy krzesło elektryczne – powiedział staruszek sam do siebie. – Tylko po kiego grzyba jest mi ono potrzebne? Nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie. Po prostu przed kilku dniami wypił nieco zbyt dużo i miał przeczucie. Przeczucia miewał raz na kilka lat i jeszcze nigdy na tym źle nie wyszedł. Tym razem przeczucie kazało mu zmajstrować krzesło elektryczne.

– No trudno – powiedział egzorcysta. – Później się zobaczy.

Wyłączył gałką obwód i odkorkowawszy flaszkę wypił kilka łyków Perły.

Nad Wojsławicami szalała burza. Dziwna burza.

W lokalnej gospodzie było gwarno i wesoło. Niespodziewanie od strony drzwi powiało chłodem. Rozmowy umilkły. Do wnętrza lokalu wszedł całkiem goły facet. Mężczyzna miał dwa metry wzrostu i był umięśniony jak kulturysta. Za to ptaszka miał całkiem malutkiego. Na ten widok zebrani w knajpie bywalcy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Przybysz powiódł po nich wzrokiem. Elektroniczny mózg zdejmował wymiary rechoczących tubylców. Niestety bezskutecznie. Wszyscy bywalcy gospody byli drobni i cherlawi. Próba zdobycia ubrania nie powiodła się. Golas wyszedł przed lokal i potoczył wzrokiem po opustoszałej ulicy. Przed knajpą stał tylko jeden motor. Mężczyzna wsiadł na niego i spróbował odpalić silnik.

– Semen – odezwał się leniwie podpity agent – Ten naturysta kradnie ci motor.

Semen oderwał półprzymknięte spojrzenie od kufla z Perłą.

– Na zdrowie, i tak daleko nie zajedzie – powiedział.

Silnik motoru zawył na wysokich obrotach. Rozległ się wizg opon a po chwili głuchy odgłos zderzenia z latarnią.

– Kierownica się zablokowała – wymamrotał Semen. – A i hamulec jest trochę nie tego...

A potem oparł głowę o stół i zasnął.

Jakub ze zdumieniem patrzył na gołego faceta który wywalili kopem drzwi jego domu i

wtarabanił się do środka.

– Cholera – mruknął z uznaniem patrząc na solidne mięśnie gościa. A potem zobaczył jego małego ptaszka i zaczął się śmiać.

– Jakub Wędrowycz? – zagadnął kulturysta.

– Tak. A o co chodzi?

– Muszę cię zabić – przybysz uniósł zardzewiałą pepesze wyciągniętą z Jakubowej szopy i pociągnął za spust.

Lufa pepeszy była całkiem zardzewiała za to reszta mechanizmów działała jako tako. Zamek wybuchł kulturysty w twarz, wywalając mu całkowicie jedno oko. Z oczodołu błysnęło coś w rodzaju czerwonej żarówki.

– Klapnij. – Jakub wskazał mu fotel. – Pogadamy. Gość oszołomiony nieco eksplozją usiadł posłusznie.

– Dlaczego chcesz mnie zabić? – zagadnął Jakub nalewając do dwu szklanek spirytusu.

– Za czterdzieści pięć lat twój wnuk stanie się przywódcą ludzkości – powiedział gość. – Przybyłem z przyszłości. Muszę cię wyeliminować.

Jakub poskrobał się po głowie.

– Aha – powiedział. – A po co?

– Żebyś nie zdążył go spłodzić. Znaczą nawet jego ojca. Wnuk Jakuba, Maciuś miał już dziesięć lat, ale egzorzysta krępował się wyprowadzić gołego przybysza z błędu.

– A ty, to znaczą będziesz kto? – zdziwił się staruszek.

– Jestem Terminatorem.

Egzorcysta przeleciał w pamięci wszystkich znajomych rzemieślników, ale nie pamiętał żeby któryś z nich miał dwumetrowego gołego przyglupa jako ucznia.

– Opatrz sobie mordę, bo się wykrwawisz – powiedział życzliwie.

– To niepotrzebne. Jestem stalowym androidem powleczonym tylko warstwą ludzkiej tkanki.

Wziął nóż, którym Jakub kroił sobie zazwyczaj kaszanke, przeciął skórę w około nadgarstka i ściągnął ją jak rękawiczkę. Oczom egzorzysty ukazał się zakrwawiony metalowy szkielet.

– Cholera – mruknął Jakub z uznaniem. – Fajna sztuczka.

– A teraz... – powiedział Terminator podrzucając nóż w dłoń.

– Zaczekaj – powstrzymał go staruszek. – W naszym kraju jest taka tradycja, że zanim się kogoś zabije trzeba wypić za jego zdrowie.

Podsunał mordercy musztardówkę pełną spirytusu. Robot posłusznie ujął ją w dłoń i zbliżył do ust.

– Czekaj... – powiedział Jakub. – Wpierw stuknąć trzeba.

Stuknęli się nad stołem. Robot wychylił szklankę po czym opadł na fotel. Jakub od niechcenia pokręcił gałką potencjometru. Z terminatora strzeliły błękitne iskry, skóra

nadpalila się w kilku miejscach. Czerwony blask oczu zgasł.

Gospodarz wyłączył prąd. Wyciągnął robota z fotela i wyniósł go za dom. Tam rzucił koło sporego mrowiska. Do rana został sam metalowy szkielet. Egzorcysta wypolerował go popiołem i piaskiem a potem ustawił na polu jako stracha na wróble. Po kilku latach terminator zardzewiał, więc sprzedał go na złom. Wnukowi Jakub nic nie powiedział, że kiedyś będzie przywódcą ludzkości. Niech ma chłopak niespodziankę.

ZAMEK

Pociąg pędził przez zamieć z oszałamiającą szybkością. Reflektory wyławiały z mroku tumany śniegu. Gdzieś w połowie składu nieoczekiwanie otworzyły się boczne drzwi. Ciemny kształt oderwał się od wagonu i przeleciawszy w powietrzu kilkanaście metrów zarył artystycznie w zaspę. Konduktor zatrzaskał drzwi. W ciągu kilkunastu sekund pociąg zniknął bez śladu w białym тумanie.

Zaspa drgnęła, śnieg nawiany wiatrem osypał się na dwie strony i na wierzch wygramolił się Jakub Wędrowycz. Pomasował obolały od kopniaka tyłek. – Czekaj cholero, już ja cię urządzę – mruknął. Złożył odpowiednio palce i wyszeptał w ciemność kilka słów po starocerkiewnosłowiańsku.

Dwadzieścia kilometrów dalej konduktor wszedł do ubikacji. Nieoczekiwanie sedes bluznął fontanną szamba, pokrywając go od stóp do głów fekaliami.

Jakub uśmiechnął się złośliwie, a potem rozejrzał wokoło. Sytuacja wyglądała niewesoło. Pole było cudownie puste. Nigdzie w oddali nie płonęło żadne światełko, mogące wskazywać na obecność ludzi, ciepła, schronienia, pożywienia i napoju.

– Aha – wydedukował Jakub.

Wiatr zawył triumfalnie.

– Rumunia – mruknął egzorcysta. – Dzicz. Cywilizacji nie ma. Trzeba się ratować suriwalcem.

Ruszył na oślep w lodowate piekło. Należy w tym miejscu wyjaśnić, skąd Jakub wziął się w środku zimy w środku Rumunii. Po prostu pewnego dnia odwiedził go znajomy dziennikarz i przy kilku butelkach jakubowych wynalazków opowiedział wrażenia z podróży na Bałkany. Jakuba zafascynowała informacja, iż w Rumunii wódka jest tańsza niż na Węgrzech woda mineralna. Fascynacja była tak silna, że po paru tygodniach duchowych rozterek egzorcysta wyruszył w podróż, żeby naocznie sprawdzić, czy to prawda z tymi cenami. Z zakupieniem w Warszawie biletu do Bukaresztu nie było problemu, natomiast zakupienie w Bukareszcie biletu do Warszawy przekroczyło możliwości językowe Jakuba. Podróż na gapę nie udała się, za sprawą wścibskiego rumuńskiego konduktora, który wykopał egzorcystę z pociągu. Ale przynajmniej cena wódki okazała się prawdziwa. Jakub wędrował

niestrudzenie przez zaspy. Zaczynało mu być zimno.

– Oj, nie obejdzie się bez suriwalcu – mruknął. – Zastanówmy się logicznie. Ciało to woda i inne takie. Tak przynajmniej gada Semen, a on jest człowiekiem wykształconym. Wody tej jest, zdaje się, sto siedemdziesiąt procent. Woda zamarza, krew przestaje krążyć i od tego się umiera. Wodę w ciele można podgrzać, albo zapobiec jej zamarzaniu. Są na to dwa sposoby. Po pierwsze, woda posolona zamarza znacznie wolniej.

Zza pazuchy wyłowił plastikową butelkę węgierskiej wody mineralnej. (Był ciekaw co to za cudo, skoro jest droższa niż wódka w Rumunii i dlatego kupił na dworcu w Budapeszcie). Zerwał zębami plastikową nakrętkę i wypił kilka łyków.

– Złodzieje – stwierdził. – Niby mineralna a tu wcale minerałów nie czuć. Nawet nie jest słona!

Rzucił ją w ciemność.

– Istnieje druga metoda powstrzymania wody i innych cieczy przed zamarzaniem – powiedział w zadumie. – Jeśli do płynu hamulcowego w traktorze doda się alkoholu, to on wtedy nie zamarza.

Zza pazuchy wyłowił litrową butlę rumuńskiej wódki i zmienił skład chemiczny wody zawartej w jego ciele. Od razu poczuł się znacznie lepiej.

– W sztuce przetrwania ważne jest zdobywanie pożywienia – zacytował swojego wnuka Maciusia. – Z tym akurat nie będzie problemu.

Wyłowił z kieszeni tabliczkę czeskiej czekolady i zjadł ją razem z opakowaniem. Dochodziła dwudziesta gdy wreszcie natrafił na pierwsze ślady cywilizacji. Wdrapał się właśnie na sporą górkę, przed sobą spostrzegł kolejną, a na jej szczycie zamek.

– O cholera – wyraził zdumienie. – Niezły kurnik. Zbliżył się do budowli. Krata w bramie była opuszczona, ale wewnątrz, na starannie odśnieżonym dziedzińcu, parkowało kilkanaście luksusowych aut. Z podziemi dobiegały dźwięki muzyki. Jakub wyjął spod podeszwy buta żydowski włos i w niecałe pół godziny wypiłował sobie odpowiednią dziurę w kracie. Właśnie rozglądał się po podwórku, gdy ktoś pojawił się w drzwiach. Jakub schował się za najbliższą limuzyną. Nieznany wróg obszedł podwórze wokoło, a następnie ponownie zniknął wewnątrz budynku. Egzorcysta podniósł się i wówczas spostrzegł, że w drzwiach limuzyny od jego strony nie spuszczonego bezpiecznika. Nacisnął na klamkę. Otwarte. Wpełzł do ciepłego, przestronnego wnętrza i wyciągnął się wygodnie na tylnej kanapie.

– Świat nie jest taki zły – stwierdził. – Odpocznę sobie trochę, a rano ruszę dalej. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, to zobaczę Papieża, a potem zabiorę się z polskimi pielgrzymami do kraju.

A potem odkrył dziwną skrzyneczkę. Otworzył ją z ciekawości i zamarł zdumiony. Wewnątrz skrzynki znajdowały się butelki w liczbie kilkudziesięciu. Były też szklaneczki. Jakub wyciągnął pierwszą flaszkę.

– Martini – przesylabizował. – Cholera, zupełnie jak na filmie.

Pociągnął z gwinta, po czym zainteresował się kolejną.

– Bacardi – wydukał. – To pewnie francuskie. Zawartość miała przyjemnie rozgrzewający smak. Następna butelka nosiła zagadkową nazwę Napoleon.

– To chyba ten król Francji, co go car ściął na gilotynie – wydedukował staruszek.

Napoleon przypadł mu do gustu. W bocznej skrytce Jakub odkrył cygara. Wybrał najgrubsze, przypalił i zaciągnął się porządnie. Walonki oparł o śnieżnobiały zagłówek siedzenia kierowcy.

– Tak się żyje, jak się ma pieniądze – mruknął sam do siebie. – Ja też mam pieniądze, a jakoś nie pomyślałem. Zaraz, co robili ci ludzie na filmie, com go u syna oglądał? Aha, drinki. Mieszali takie kolorowe.

Wziął wysoką szklanę.

– Zobaczmy. Na początek tego Napoleona. Teraz Martini, Bacardi i jeszcze jedno Martini, tym razem czerwone. A to co? Puszka Coca Coli. Napój amerykańskich imperialistów produkowany z rozgniecionej stonki ziemniaczanej. Przepiórki też jedzą stonki i są bardzo smaczne, znaczy Amerykańcy wiedzą co robią. No to dolejemy trochę coli. Wodą sodową nie ma co paprać, od tego napój traci procenty. Nie zaszkodziłoby oliwek.

Znalazł słoiczek i hojnie wsypał od razu połowę zawartości.

Lodu w walizeczce nie było, więc otworzył drzwi i zaczerpnął garść śniegu prosto z karoserii. Utoczył z niego kilka kulek i wrzucił do drinka. Zabełtał palcem, wypił zawartość duszkiem i połknął oliwki.

– Mnim. Małmazja. No to może teraz spróbujemy innej kombinacji. Likier czekoladowy, likier miętowy, wiskhy i Napoleon. Hmm... To jest gorsze. Aha, lodu nie dodałem. O, oliwki się skończyły. No to teraz... Co to? Malibu. Z palm? A, z kokosów. I jeszcze Martini. O! Ktoś tu zgubił flaszkę Smirnoffa. Dziadek opowiadał, że pijał to przed rewolucją. Wódka widać dobrego rocznika. Błady trochę ten drink. Co by tu jeszcze Chateau? Rocznik 1968. Młode winko. A w smaku? E, pryta truskawkowa lepsza, ale niech będzie. Niezła kombinacja. Znowu zapomniałem śniegu. A teraz spróbujemy tak. Red Rum, likier miętowy, cola, śnieg, cholera, jakieś brudy z karoserii, ale to nic, alkohol wszystko dezynfekuje. Co to, denaturat? Nie, to jakieś jagodowe. A to? Goldwaser? To chyba po żydowsku, jak Goldstein. Nigdy nie piłem żydowskiej wódki. Drink niczego sobie. Cholera, nie ma gołego spirytusu? To czym podnoszą moc?

Dochodziła północ, gdy Jakub, nieco wstawiony, opuścił limuzynę za potrzebą. Z piwnicy gdzieś pod zamkiem nadal dobiegały odgłosy muzyki.

– Imprezka jest? – zdziwił się egzorcysta. – I mnie, cholera, nie zaprosili?

Zawrócił do samochodu, ubrał się w znaleziony w bagażniku garnitur, przetarł twarz śniegiem i ruszył w stronę zabawy. Odemknął ciężkie dębowe drzwi i znalazł się w niewielkiej sieni. Prowadziły z niej schody gdzieś w dół. Widok sali zasłaniała kotara. Jakub odsłonił ją sobie ostrożnie i włosy stanęły mu dęba na głowie. Zawrócił do samochodu po

okulary. Uzbrojony w optykę zajął jeszcze raz. Duża sklepiona piwnica przystrojona została na czarno. Na kamiennej posadzce w rytm muzyki tańczyli goście. Mężczyźni byli bladzi na twarzach, ubrani w czarne płaszcze lub fraki. Kobiety, także blade, jak upudrowane, nosiły suknie z dekolami i peruki. Większość tańczących miała zęby wystające aż na brody. Inni mieli krótsze, widać było je tylko wtedy gdy się uśmiechali. Na ścianach wisiało kilka luster, ale odbijała się w nich pusta sala. Na honorowym miejscu wisiał portret hrabiego Drakuli. Tego typka Jakub poznał, bo widział go kiedyś na obrazku w książce. Wycofał się po cichutku.

– Wampiry. Zafajdane wampiry – mruknął. – Niech to cholera weźmie. Co najmniej czterdzieści sztuk. I co tu robić? Jestem ostatecznie egzorcystą. Ludzkość mi zaufała.

Zajął jeszcze raz. Jedyne wyjście z piwnicy prowadziło przez drzwi, którymi wszedł.

– Sukinsyństwo – stwierdził. – Można poczekać do rana aż posną, ale wtedy większość zwieje, bo jest tu najwyżej dziesięć trumien, a ich cała kupa. Zresztą samochody z przyciemnionymi szybami też nie bez powodu... Trzeba działać.

Rozejrzał się po podwórzu i spostrzegł nieduży dystrybutor paliwa. Pokręcił się po zamku i niebawem wrócił zaopatrzony w parczany wąż od hydrantu. Podczepił go jednym końcem do dystrybutora, a drugi spuścił w dół do piwnicy. Uruchomił maszynę. Benzyna popłynęła w dół rzeką. Z kawałka gazety skręcił ciasny zwitek i umoczywszy jego koniec w paliwie, odpalił od cygara. Stał przy drzwiach czekając. Nagle ze środka buchnął okrzyk. Ktoś zauważył, co się święci.

– Smażcie się w piekle, sukinsyny! – krzyknął po polsku i cisnął gazetę.

Podmuch wyrzucił go aż na podwórze. Poderwał się jednak niemal natychmiast i podbiegłszy do drzwi, zatarasowanych złomami kamienia ujrzał niespodziewany widok.

– Trzeba wiać – mruknął do siebie.

Popatrzył w zadumie na kratę w bramie. Wybrał solidnie wyglądającego jeepa cherokee i rozpędziwszy staranował kratę. Jeep rozwaliał się przy okazji na kawałki. Egzorcysta wyczołgał się z wraku i zasiadł za kierownicą znajomej limuzyny. Urwał stacyjkę, spiął druty na krótko. Pożar oświeślał mu drogę.

Dwa dni później Jakub siedział w pekaesie pędzącym do Wojsławic. Pod pachą piastował walizeczkę ze smętnymi resztkami luksusowych alkoholi. Zapadał już w drzemkę, gdy niespodziewanie kierowca podkręcił nieco głośniej radio, żeby wysłuchać wiadomości.

– Służby bezpieczeństwa narodowego Rumunii nadal poszukują zwyrodniałego mordercy. Przypomnijmy, że w noc sylwestrową na północ od Bukaresztu zginęło trzydziestu młodych rumuńskich biznesmenów, bawiących się na balu zorganizowanym przez sponsorowane przez nich Towarzystwo Miłośników Księcia Władę Palownika, bardziej znanego jako Drakula. Zwyrodniały bandzior, wykorzystując brak ochrony i odpowiednich wyjść ewakuacyjnych...

Jakub pociągnął sobie z plastikowej flaszki drinka.

– Niedobrze wyszło – zauważył. – Musiałem dać za mało Martini.

WIIWAT ŚWIĘTA

Lipcowy żar lał się z nieba. Odlany z powleczonego brązem betonu Feliks Dzierżyński spoglądał w zadumie na przewalający się u jego stóp tłum ludzi i samochodów. Na twarzy posągu malował się dziwny grymas, coś w rodzaju krzywego uśmiechu. Niemal dokładnie naprzeciw niego stał wysoki wieżowiec, obłożony płytami szkła jadowicie pomarańczowego koloru. Nie zanosilo się na to, by kiedykolwiek ten wrzód na tyłku Warszawy, został zbudowany do końca. Krwawemu Feliksowi było to dokładnie obojętne.

Koła samochodu podskoczyły na leżącym na ziemi kawałku stalowej szyny.

– Dojechaliśmy na miejsce – poinformował szofer.

Jakub Wędrowycz pociągnął za klamkę i wysiadł z samochodu. Jego wodnistobłękitne oczka zlustrowały budynek oraz otaczające go rumowiska zardzewiałych stalowych elementów.

– Wot te na – powiedział sam do siebie.

Tu coś było. Nie zdążył się jednak skoncentrować, bo z budynku przez dziurę w ścianie wyszło trzech smutnych osobników.

– Jakub Wędrowycz, egzorcysta? – zagadnął ten najsmutniejszy.

– Zgadza się – potwierdził ochotczo.

Panowie okazali się być grubymi rybami. Jeden był wiceministrem budownictwa, drugi przedstawicielem burmistrza a trzeci konsultantem do spraw technicznych. Jakub uściśnął każdemu rękę.

– Dobra – powiedział spoglądając na swój unieruchomiony przez korozję radziecki zegarek. – W czym problem?

– Wezwaliśmy pana, panie Wędrowycz, ze względu na problemy inwestycyjne – powiedział przedstawiciel burmistrza.

– Znaczy chcecie ode mnie datek na budowę tego tu? – gestem wskazał wieżowiec. – To by cholernie drogo kosztowało, ja mam forszę na co najwyżej ćwiartkę tej chałupy.

Nie uwierzyli, ale nie miało to znaczenia.

– Pieniądze w tę budowę pompujemy już od wielu lat, ale jakoś nie rusza z miejsca – powiedział doradca. – Krążą paskudne pogłoski o kłątwie...

– Tu stała wielka synagoga na Tłomackiem, zburzona podczas powstania w Getcie – uzupełnił Jakub. – Hitlerowcy chcieli tu coś budować, dlatego Żydzi postarali się trochę pomieszać im szyki. Miejsce jest obłożone wyjątkowo paskudną klątwą – cheremem. A ja zostałem tu wezwany, żeby ją zdjąć?

Kiwnęli jednocześnie głowami.

– Dobra, prowadźcie do piwnic.

Niebawem znaleźli się w paskudnym podziemnym pasażu. Po ścianach spływała woda. Było ciemnawo i lekko śmierdzało. Jakub przykląkł na betonie i przyłożył ucho do ziemi. Włosy stanęły mu dęba. Członkowie komisji wymienili uwagi. Jakub wstał i przyklepał włosy poślinioną dłonią.

– Nie da się nic zrobić – powiedział dobitnie.

– Zaraz, nie da się zdjąć klątwy? – zdenerwował się przedstawiciel burmistrza.

– Za mocna. Wygaśnie dopiero w siódmym pokoleniu.

– Ale tu nie ma pokoleń, to przecież budynek.

– Dopiero siódmy budynek tu postawiony ma szansę przetrwać – uściślił Jakub. – Jeśli nie macie innych życzeń, pożegnam was.

– Cholera – zdenerwował się konsultant. – Mówilem, że to nic nie da.

– Zrealizujemy wariant drugi – odezwał się wiceminister. – Skoro ci Jugosłowianie chcą wziąć na siebie budowę to trzeba będzie do nich zadzwonić.

– Biedna Jugosławia – mruknął do siebie Jakub. Wszyscy trzej zignorowali go, ale nie minęło kilka lat i przypomnieli sobie jego słowa.

Jakub wyszedł z budynku i wsiadł do samochodu.

– Załatwione? – zagadnął szofer.

– Tak, zawieź mnie do Kurii i będzie na tyle.

Archiwum Kurii przypominało Jakubowi siedzibę główną KGB – ciągnący się w nieskończoność betonowy korytarz i wypływały chodnik na ziemi. Tyle tylko, że tu przy ścianach stały metalowe regały zastawione teczkami. Młody ksiądz, drepczący rażno przed Jakubem, pogwizdywał wesoło.

– To, znaczy się, akta takich tam różnych grzeszników i teczki na nich? – zagadnął egzorcysta ciekawie.

– Gdzie tam – ksiądz machnął lekceważąco dłonią. – To kserokopie i odpisy różnych dokumentów kościelnych.

Podszedł do jednej z półek wyciągnął opasłe tomiszcze i przekartkował go przed oczyma Jakuba. Skoroszyt z ubiegłego wieku. Przewodnik wcisnął papiery na miejsce i ruszyli dalej. Niebawem dotarli do korytarza biegnącego w poprzek. Na jego końcu znajdowały się masywne drewniane drzwi. Przewodnik otworzył je bez pukania i przepuścił Jakuba przodem. Egzorcysta zmrużył oczy oślepione nagłym blaskiem i już witał się ze znajomym.

– Siadaj – ksiądz Wilkowski podsunął mu obrotowe krzesło na kółeczkach. – Co tam

słuchać?

– A nic takiego – powiedział egzorcysta. – Pomalutku. A co u ciebie?

– Praca – ksiądz wskazał gestem stos kserokopii. – Mam ustalić datę Bożego Narodzenia. Jakub wyszczerzył w uśmiechu zęby. Były żółte, a niektóre nawet złote.

– Nu, w Wigilię, co nie?

– Nie, zupełnie nie. To my obchodzimy Boże Narodzenie w Wigilię, konkretnie w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty grudnia. Tyle tylko, że ta tradycja pojawiła się późno, w czwartym wieku naszej ery.

– Coś podobnego? – zdumiał się Jakub. – To kiedy powinniśmy?

– Właśnie usiłuję ustalić – Wilkowski machnął ręką w stronę stosów papierów. – Niektóre apokryfy podają datę, ale każdy nieco inaczej. Prawdopodobnie zdarzyło się to na przełomie czerwca i lipca lub w połowie lipca. Jakoś tak teraz na dniach powinniśmy obchodzić.

– Hmm. A jak wykryjesz, to przeniosą Boże Narodzenie na lato?

– Nie, nie ma sensu. Dla Boga ważne jest, że Go czcimy, a kiedy, to zupełnie inna sprawa. W każdym razie, drogi Jakubie nie łam sobie tym głowy. Opowiedz lepiej, co tam słysząc u ciebie.

Jakub opowiadał przez bite cztery godziny. Gdy skończył, na głowie księdza Wilkowskiego przybyło siwych włosów.

Noce na Starym Majdanie były nieznośne. Nawet wysoko na wzgórzach, tam gdzie stał dom Jakuba, najłżejszy powiew wiatru nie poruszał gorącym powietrzem. Jakub wypił butelkę wina przed snem, a obudziwszy się w nocy poczuł gwałtowne pragnienie. Język miał jak z drewna. Wygrzebał się z łóżka. Poczłapał do kuchni. Odkręcił kran i podstawił podeń wyszczerbioną szklanę, ale nic nie pociekło.

– Cholera – zaklął, a potem wraz z winem uderzył mu do głowy pewien pomysł.

W oborze było automatyczne poidło. Nawet jeśli siadł wodociąg, to powinno być w nim nieco wody. Założył na bosc stopy gumofilce i poczłapał w ciemność. Oborę znalazł bez większego problemu, ostatecznie jedna butelka to było, jak na niego, niewiele. Odsunął skobel i wszedł do środka.

– Co się stało? – zapytała sennie krowa.

– Nie wiem – odpowiedziała klacz Jakuba, Marika. – Chyba nasz gospodarz znowu się tłucze po pijanemu.

Gospodarz zatrzymał się w pół kroku. Jego zamroczony umysł przetrawiał informacje. W Wigilię zwierzęta mówią ludzkim głosem. A ksiądz powiedział...

Zatrzymanie się w pół kroku w stanie wskazującym na spożycie nie wyszło mu na dobre, bo stracił równowagę i poleciał do tyłu. Jego czaszka wydała dziwny odgłos gdy zderzała się z leżącą koło bramy cwiartką cegły, ale Bóg chroni szaleńców i pijaków (choć oczywiście nie wszystkich i nie zawsze), więc nie zrobił sobie większej krzywdy, tyle tylko, że stracił

przytomność.

Ocknął się gdy ktoś polał go wiadrem lodowatej, zaczerpniętej prosto ze studni wody. Spora jej ilość dostała mu się przy okazji do ust i ugasila dokuczliwe pragnienie. Jakub otworzył oczy. Stał nad nim człowiek ubrany w nieprawdopodobny czerwony kaftan. Człowiek musiał być wiekowy, miał bowiem obfitą białą brodę.

– O, Mikołaj? – zdziwił się Jakub. – Daj mi spać – poprosił.

Starzec kiwnął głową i odszedł w ciemność. Gdzieś spod bramy rozległo się ciche brzęczenie dzwonków.

Egzorcysta ocknął się bladym świtem. Był mokry i leżał w błocie przed wrotami obory.

– Ki diabeł? – mruknął sam do siebie, potrząsając głową. Przypominał sobie, że ktoś go w nocy polewał, ale wydarzenia mieszały mu się w pamięci. Otrzeptał przyodziewek z większych grud błota i rozejrzał się dookoła. Jedno skrzydło bramy chwiało się na wietrze.

– O nie – powiedział. – Porządek musi być – i ruszył aby je zamknąć.

Koło bramy spostrzegł na ziemi dziwne ślady. Gleba zryta była odciskami sporych racic zostawionych niewątpliwie przez zwierzę parzystokopytne.

– Na kozę za duże, a jak na krowę ma zbyt szeroko rozstawione racice – zastanawiał się Jakub.

Obok odcisnięty był podwójny ślad.

– Płozy sań? – zdziwił się.

Straszliwe przypuszczenie wdarło mu się do mózgu.

Z za zakrętu wyszedł prowadząc rower Józef Paczenko. Jakub poczuł gwałtowną ochotę uzewnętrznić swoje uczucia.

– Józwa! Wesołych świąt! – zawołał.

Józef zatrzymał się i popatrzył ze smutkiem na przyjaciela.

To na pewno delirium – pomyślał.

KOTŁOWNIA

- Co oskarżony ma na swoją obronę? – zapytał sędzia.
- Wysoki sędzie, jestem absolutnie niewinny – oświadczył z godnością egzorcysta...
- Aha... A co powie pan, prokuratorze?
- Wysoki sędzie. Fakty są powszechnie znane. Do gospodarstwa obecnego tu elementu...
- Protestuję – oświadczył Jakub z godnością.
- ... obywatela, wjechała grupa uderzeniowa policji w sile dwu radiowozów. Pierwszy wpadł na podłożoną przez oskarżonego minę przeciwpiechotną i dachował. Ranni zostali czterej policjanci...
- Proszę o głos! – wściekł się egzorcysta.
- Udzielam – powiedział łaskawie sędzia.
- To są insynuacje! Nie podkładałem, żadnej miny. Widocznie leżała w tym miejscu zakopana jeszcze od wojny...
- Proszę kontynuować.
- Po opatrzeniu rannych przystąpiono do szturmowania domostwa oskarżonego. Po otwarciu drzwi odpalił samopał zrobiony z obrzyna XIX-wiecznej strzelby skałkowej. Nabój śrutowy prawie oderwał nogę aspirantowi Rowickiemu.
- Jednak oskarżonego proponuję pociągnąć z czterech paragrafów. Usiłowanie zabójstwa, nawiasem mówiąc pięciokrotne, niszczenie mienia organów ścigania, stawianie oporu władzy, przechowywanie niezarejestrowanej broni palnej i materiałów wybuchowych...
- Proszę o głos – zdenerwował się Jakub.
- Udzielam.
- Ja w kwestii tej strzelby. Nie musiałem jej rejestrować, bo wykonano ją w 1851 roku, czyli jeszcze przed powstaniem styczniowym...
- Rejestracji podlega broń wykonana po 1850 roku – zagrmiał sędzia. – Sąd uda się na naradę... Po kilku minutach powrócił na salę.
- Sąd uznał Jakuba Wędrowycza winnym wszystkich zarzucanych mu czynów i skazuje go na łączną karę piętnastu lat pozbawienia wolności z możliwością wcześniejszego zwolnienia w przypadku wzorowego sprawowania...

– W dupę sobie wsadź ten wyrok i podpal! – zawył Jakub. – To są kpiny, w chwili gdy oni się wysadzali w powietrze ja siedziałem w knajpie. Mam na to trzydziestu świadków...

Ale sędzia już nie słuchał. Dwaj policjanci wykręcili egzorcyście ręce i wywlekli z sali...

Naczelnik więzienia obrzucił nowego pensjonariusza uważnym spojrzeniem.

– Cholera i znowu cię, takiego dziadka, zapudłowali – zdziwił się. – Musiałeś nieźle zależeć im za skórę...

– Ale mnie zapuszkowali za niewinność – pozałił się Jakub. – Poprzednie pięć razy to nawet poniekąd mieli rację, znaleźli bimbrownię, mieli prawo... Ale tym razem...

– Dobra dobra, wszyscy tak mówicie... I gdzie by cię tu umieścić? Poprzednim razem siedziałeś z Zenkiem pedałem, teraz biedny Zenek musi sikać na siedząco. A jeszcze poprzednim z Rozpruwaczem... – naczelnik zmarszczył czoło przypominając sobie stare dzieje. – Dlaczego cię przenieśli? Ach tak, Rozpruwacz zrobił harakiri przemyconym bagnietem od kałasznikowa. Siedziałeś też z Frankiem Majchrem, i to właśnie wtedy popełnił samobójstwo wieszając się w nocy na linie hamulcowej. Cholera, teraz więźniowie mówią że przynosisz im pecha...

– To nie moja wina – Jakub dziwnie spuścił wzrok.

– Czekaj, damy cię do celi z hrabią. Ładny dwuosobowy pokój z widokiem na dziedziniec... I co jeszcze? Ach tak, robota. Pracowałeś w warsztacie stolarskim, to było wtedy jak nadzorcę wkreśliło w strugarkę. Potem przy szczotkach, jak się pedofil Józio nadział na kij od miotły. Umiesz robić przy piecu centralnego ogrzewania?

– Jasne. Fajna robota, przynajmniej ciepło...

– To pomożesz hrabiemu.

Egzorcysta, niosąc sort pościelowy, szedł korytarzem. Zza krat oddzielających cele po lewej i po prawej spoglądali więźniowie.

– O cholera, to przecież Jakub Wędrowycz – towarzyszył mu przerażony szept. – Znowu będą trupy...

Zeszli po schodach jedno piętro niżej. Strażnik wsadził klucz w zamek i przekręcił.

– Hrabio, to twój nowy współlokator – oznajmił.

Jakub wszedł i drzwi zatrzasnęły się. Wysoki, szpakowaty mężczyzna odwrócił się od ściany. Miał pociągłą, arystokratyczną twarz, a pod brodą starannie zawiązał wycięty z szarego, siennikowego płótna krawat.

– Miło mi poznać – podał rękę egzorcyście. – Jakiego pan herbu?

– Ja chłop z kozaków – wyjaśnił Jakub.

Spojrzał ciekawie na ścianę, przy której stał wcześniej arystokrata. Od samej podłogi pokrywało ją niezwykle skomplikowane drzewo genealogiczne. Sięgało czasów Mieszka I. Powyżej, ołówkiem na betonie, wyrysowano herby.

– Cholercia – mruknął nowy. – Zaczyna familia... Za co zapuszkowali?

– Za niewinność – wyjaśnił hrabia. – Ktoś napisał donos, że pędzę bimber... No i wlepili

pięć lat...

– A pędziłeś?

– To nasze prawo. Już Kazimierz Wielki nadał polskiej i litewskiej szlachcie prawo propinacji, czyli pędzenia gorzałki zarówno na użytek własny jak i na handel. Po powstaniu styczniowym okupacyjne władze carskie odebrały nam ten przywilej, aby zniszczyć naród...

– A to słyszałem – Jakub przypomniał sobie, jak przed wojną służył we dworze. – Wyjątkowe świństwo, to mogli tylko zaborcy zrobić... A po odzyskaniu niepodległości nie oddali wam prawa?

– Niestety – hrabia pokręcił głową. – I właśnie dlatego uważam, że tak naprawdę jeszcze nie odzyskaaliśmy niepodległości...

Spojrzał na zegar zdobiący ścianę.

– Oho – powiedział. – Trza zajrzeć do pieca. Wejście do kotłowni było na końcu korytarzyka z celi.

W ponurym lochu królował wielki, opalany węglem piec. Nad nim wisiały zbiorniki na gorącą wodę, oplecione pajęczyną rur z parą techniczną...

– Trzeci zbiornik jest pusty – wyjaśnił hrabia.

– A to co takiego? – egzorcysta wskazał rurkę idącą do góry.

– To woda oligoceńska do gabinetu naczelnika; znajduje się tuż nad kotłownią...

– Aha... Czysta woda głębinowa nie jest zła... do zacieru.

Przeszedł się po kotłowni zaglądając we wszystkie kąty. W magazynku na węgiel zauważył trzy dziwne worki.

– Co w tym jest? – zapytał trącając jeden nogą. – Kartofle. Obok jest magazyn z żarciem, musieli omyłkowo wrzucić nie w tę dziurę co trzeba...

– Hrabio, co ty na to, żeby trochę się napić?

– Ale nie mamy czego... Było odrobinę spirytusu technicznego do czyszczenia zaworów ale już się skończył.

– Ech ty jolopie. Mamy kartofle, pusty zbiornik, kilometr rur, wodę, źródło ciepła...

– Bimbrownia? – hrabia wytrzeszczył oczy. – W pudle!?

– A coś ty myślał? Do więzienia nas nie wsadzą bo już jesteśmy w więzieniu...

– Nie mamy drożdży...

Jakub odwinął gruby wojskowy pas. W wydrążonej mosiężnej klamrze siedziało trochę szarego proszku.

– A zatem do dzieła.

Naczelnik więzienia wyjął z szafki kubek i podszedł do kranu z oligocenką. Napelniwszy naczynie przytknął je do spragnionych ust. Łyknął. Oczy stanęły mu w ślup. Drżącą dłonią odpakował drugie śniadanie i zakąsił. Dopił resztę.

– Kurde – powiedział w zadumie. – Jeszcze nigdy z mojego kranu nie płynął bimbier...

Nalał sobie drugi kubek.

– I to jeszcze tak świetny – mruknął. – Czysty prawie jak sklepowa wódka... Znać rękę fachowca... Ha! Przecież mam pod kluczem fachowca!

Tknięty przypuszczeniem popędził korytarzem, a potem po schodach do kotłowni, uprzednio jednak nie zapomniawszy o ostrożności.

Uchylił obite stałą drzwi. W nozdrza uderzył go cudowny zapach świeżego samogonu prosto z aparatury. Uszy popieścił niebiański chór...

W ciasnym pomieszczeniu wokoło pieca siedzieli prawie wszyscy strażnicy z tej zmiany. Na skrzynkach leżały obrusy ze świeżych gazet. Stały szklanki i słoiki z ciecżą, a także wykradziona z magazynu kiełbasa.

W kącie przykuty za nogę do rury Cygan rznął na harmonii... Hrabia krzątał się dolewając z kanistra do szklanek. Naczelnik wciągnął w płuca metr sześcienny powietrza.

– Co tu się do cholery...?

W tym momencie mocne, przyjacielskie klepięcie po plecach odebrało mu oddech.

– Przyszedł szef! – wrzasnął radośnie Jakub. – Karniaka dla naszego kierownika!!!

Hrabia podał blaszany kubas bimbru i kiełbasę. Głupio było odmawiać...

Naczelnik obudził się w swoim gabinecie. Okropnie bolała go głowa.

– Szef zmiany do mnie – rzucił w mikrofon interkomu. Po chwili pojawił się wachman.

– Co to wczoraj było? – naczelnik chłodził rozpalone czoło o ścianę...

– A więc pochłaliśmy się wszyscy w cztery dupy... A potem podpisywał pan papiery...

– Rany boskie, jakie papiery?

– No zwolnieniowe dla Jakuba i Hrabiego, za dobre sprawowanie, a do tego, ale to żeśmy wszyscy też podpisali, petycję do prezydenta o zniesienie monopolu spirytusowego...

– Bimbrownia w kotłowni...? – Zlikwidować, posprzątać, zapomnieć...

– Jak to zlikwidować? – oburzył się wachman.

– No po prostu. W państwowym więzieniu nie może być bimbrowni.

– Jak rozkaz to rozkaz – powiedział strażnik ponuro, – ale chłopakom się to może nie spodobać... Kurczę, będą wściekli.

– Mam ich gdzieś. W więzieniu musi być porządek.

– Ale oni mają zdjęcia z wczorajszej balangi. Nieźle się pan zabawiał... Cygana i jego harmonię tośmy zakopali pod murem, nikt nie powinien się czepiać. Trzydzieści kul, strasznie był żywotny. Ale co będzie, jeśli ktoś go przypadkiem wykopie i porówna na balistycę?

Naczelnik milczał przez dobre dwie minuty.

– W sumie – powiedział już zupełnie innym tonem.

– Jedna mała bimbrownia, dobrze ukryta, chyba nikomu nie będzie przeszkadzać...

MYŚLĄCY BIMBER

W cieple i ciemności narodził się rozumny byt. Nie był w stanie mierzyć upływu czasu. Przetaczał się leniwymi falami w zamkniętej, ograniczonej przestrzeni. Rozejrzał się wokoło i stwierdził, że jest ciemno. Istniała tu grawitacja, mógł więc określić, gdzie jest góra, a gdzie dół... Choć nic mu to nie dawało.

A potem spoza jego rzeczywistości rozległy się miarowe kroki po skrzypiących deskach. Kłapa nad przestrzenią wewnętrzną uniosła się, wpuszczając do środka oślepiający strumień światła. I dał się słyszeć głos. – No jak tam, kochany zacierku? Byt zrozumiał, że ma imię. W jednym ułamku sekundy pojął, iż jest istotą rozumną. Uzyskał samoświadomość, a raczej zdał sobie z niej sprawę. I dowiedział się, że imię jego brzmi Zacier. A potem zapadła ciemność.

Jakub zatrzaskał kłapę kadzi fermentacyjnej. Spojrzał ponuro w zaciągnięte chmurami niebo.

– Wygląda na to – mruknął do stojącego obok Semena, – że ten zasrany Czarnobyl nie zaszkodził zacierkowi.

Stary kozak splunął ponuro.

– Leci to świństwo z nieba... – wycedził. – Spodziewałem się tego od czasu, gdy profesor Filipow w 1907 roku powiedział, że można zbudować bombę atomową...

Jakub zmarszczył brwi. Nie lubił, gdy jego kumpel wyskakiwał ze swoją uczonością.

– Ja tam wiem jedno, na skażenie najlepsze jest oczyszczenie krwi... – powiedział. – Na Ukrainie piją czerwone wino... To chroni przed promieniowaniem. Jak tylko pieprzněło, kupiłem całą skrzynkę truskawkowego mózgotrzepa.

Stary kozak spojrzał na niego z uznaniem.

– W takim razie proponuję natychmiast przystąpić do odkażania – uśmiechnął się i z zadowoleniem zatarł długie palce.

Zacier spoczywał w kadzi. W jego galaretowatym ciele szybko zachodziły procesy myślowe. Pierwszym i najważniejszym źródłem informacji, pozwalającym na powiększanie potencjału intelektualnego, była analiza dźwięków docierających spoza kadzi. Pokrywa

dobrze sprawowała się jako membrana. Szybko jednak pojawiło się dziwne uczucie wewnętrznej pustki. Zacier przetrawił dostępne informacje i wydedukował, że to głód...

Wewnątrz kadzi nie było odpowiedniego pożywienia. A zatem należało uzyskać je z zewnątrz... Zacier przeanalizował możliwości usunięcia pokrywy. Wybrał najprostszą metodę hydrauliczną. Z powierzchni cieczy wystrzelił w górę strumień pod ciśnieniem czterech atmosfer. Kłapa z brzękiem poleciała w kąt. Nie minęło pięć minut i w drzwiach szopy pojawił się Jakub.

– Co za cholera – wyszeptał zdumiony.

– Gazy fermentacyjne strzeliły – ocenił Semen. – Mocno musiało buzować... Dodaj surowca.

Egzorcysta sięgnął dłonią do niedużego wiaderka z potłuczonymi, przeterminowanymi landrynkami. Spokojnie sypnął dwie szufelki. Zacier aż mlasnął z rozkoszy. A więc człowiek, który nadał mu imię, miał go także karmić. Kto by pomyślał.

Zaraz potem pojawiły się jednak wątpliwości. Nowy byt przeanalizował sytuację i doszedł do wniosku, że cukierki dostał bynajmniej nie bezinteresownie. O co więc chodziło? W jaki sposób będzie musiał za nie zapłacić?

Truskawkowa pryta łała się leniwie w spragnione gardła. Przeplýwała przez organizm, oczyszczając go z czarnobylskich toksyn.

– No to pewnie niedługo będą po naszej gminie latały mutanty – zauważył filozoficznie stary kozak.

– To znaczy co?

– Na przykład cielę z dwiema głowami...

– A to musi przed wojną widziałem. Czasem tak bywa...

– No to teraz będzie bez przerwy – Semen stuknął się z nim szklanką nad stołem. – Do tego dojdzie impotencja, choroby różne...

– O żesz kurde – mruknął Jakub. – Najgorsza ta impotencja...

– A co, na dziewczynki chcesz się wybrać? – zdumiał się Semen. – Ile ty masz właściwie lat?

– Osiemdziesiąt. Coś koło tego. Żaden wiek.

– Fakt, zapomniałem, żeś trochę młodszy. I że jeszcze masz zielono we łbie. – Semen, z racji swojej setki na karku, lubił traktować Jakuba jak smarkacza.

Zacier przeanalizował swoją budowę chemiczną oraz fizyczną. Potem dokonał przeglądu dostępnej wiedzy o świecie. Niewiele tego było. Ale zdawał sobie sprawę, że nie uzupełni braków bez poznania świata na zewnątrz kadzi... Od strony chemicznej jego sytuacja nie przedstawiała się źle. Miał krochmal z gnijących kartofli, cukry, metale ciężkie, białka, skrobię... Zbudował sobie otoczkę z żelu a następnie wypróbowanym już sposobem wywalił

kłapę. Wzniósł się na półtora metra ponad beczką i rozejrzał wokoło. Ujrzał stary telewizor, motocykl, jakieś rurki, zdezelowaną pralkę i zepsutą automatyczną dojarkę. Wyciągnął w stronę motocykla mackę. Nie przewidział jednego. Grawitacja okazała się mocniejsza. Sama hydraulika nie wystarczyła. Runął na krawędź kadzi. Cofnął się rozpaczliwie w ostatniej chwili, i tak tracąc przeszło dziesięć procent objętości.

Na krawędzi kadzi przycupnął szczur. Obserwował nieruchomą powierzchnię i węszył. Pachniało nieźle. Macka strzeliła po ścianie. Zwierzę, straciwszy równowagę, wpadło do środka.

Sekcja zwłok gryzonia pozwoliła odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących mechaniki ruchu organizmu białkowego...

Jakub wszedł do szopy niosąc pół wiaderka melasy.

– O kurde – zaklął ujrawszy plamy zacieru na podłodze. – Nieźle buzuje draństwo... – chlupnął solidną porcję melasy i udał się na spoczynek.

W normalnych warunkach taka dawka by wystarczyła, jednak intensywna praca intelektualna szybko doprowadziła do deficytu cukru w roztworze. Jednocześnie Zacier czuł, że w miarę jak drożdże zamieniają cukier na alkohol, jego potencjał intelektualny wzrasta. Analiza szczura zakończyła się pełnym sukcesem. Zacier wiedział już, jak stworzyć prosty układ hydrauliczny. Kolejna macka, która wzniosła się nad każdą, zbudowana była z cieńszych i grubszych rurek. Sterowanie przepływem wypełniających je cieczy nie było specjalnie skomplikowane.

Wypustka sięgnęła półki i zaczęła obmacywać napotkane przedmioty. Drobinę substancji spływały kanałem percepcyjnym do beczki, gdzie były analizowane. Śruta, wytloki, owies, wreszcie potłuczone landrynki... Podniesienie puszki bez udoskonalenia systemów mogłoby się zakończyć kolejną katastrofą. Dlatego Zacier wybrał inną drogę. Otworzył jedną z rurek i wstrzyknął do puszki strumień samego siebie. Po dziewięciu minutach wystarczyło rurką gastryczną wessać rozpuszczoną substancję... Paliwo do procesów życiowych zostało dostarczone, teraz bez pośpiechu zabrał się za czyszczenie szopy z innych przydatnych substancji. Ziemniaki, marchew, saletra amonowa, wapno do malowania drzewek...

O czwartej nad ranem z kadzi wypelzł galaretowaty szczur. Był oczywiście znacznie większy niż pierwotny. Ostatecznie musiało się w nim zmieścić pięćdziesiąt litrów zacieru. Stwór ruszył naprzód i dotarł do drzwi. Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Nagle wypalił samopał zaczepiony do drzwi szopy jako alarm przeciwwłamaniowy. Kilkaset ziarenek śrutu wbiło się w grzbiet zacierozaury.

Jakie to szczęście, że nie skopiowałem tkanki nerwowej – pomyślał Zacier.

Jednak przez dziury w żelatynowej skórze wyciekał płyn wewnętrzny. Z każdą chwilą tracił go coraz więcej... Wrócił ciężkim klusem do kadzi. W minutę później do szopy wpadł

Jakub z pepeszą w dłoni.

– Cholerne złodziejaski!!! – rozejrzał się wokoło, szukając wroga.

W szopie było pusto, tylko po całym pomieszczeniu rozchlapano nastaw.

– Głupie obezjajce – warknął. – Czekaście, jeszcze was dostanę.

Nachylił się nad kadzią i poskrobał po głowie. Kilka włosów i nieco łupieżu padło na powierzchnię cieczy. Z zacierem chyba wszystko było w porządku.

– Jutro trza będzie zrobić destylację – mruknął.

A potem poszedł spać. Do rana Zacier zakończył analizę DNA z jakubowych włosów. Jednocześnie – miał podzielną uwagę – sformułował pierwsze prawo fermentacji:

Fermentacja to inteligencja... ale co u licha mogło oznaczać nieznane mu słowo „destylacja”? Świtało. Zacierozaur ponownie wypełził z kadzi. Przemknął z szopy w stronę chałupy Jakuba, na progu stała flaszka z resztką bimbru. Obwąchał ją dokładnie, a potem łyknął substancji ze środka.

Oślepiający błysk pojawił się przed oczyma stwora. To w środku to była czysta inteligencja, aczkolwiek pozbawiona świadomości... Słoneczko ostro przygrzewało. Żel na grzbiecie stwora wysychał. Przez powstałe pęknięcia znowu zaczęły wyciekać płyny... Zawrócił do szopy i ukrył w znajomej kadzi. Analiza substancji z butelki pozwoliła sformułować pierwsze prawo destylacji:

A zatem wystarczyło czekać, aż wielki mistrz Jakub dokona tego zbawienego dzieła...

Jakub zwłókł się ze swojego barłogu. Od tego cholerne Czarnobyła strasznie bolała go głowa. – *Bimbru, bimbru, bimbru dajcie A jak nie to sier...* – zanucił.

Wyszedł przed chałupę i podniósł ze schodka pustą flaszkę.

– Cholerny Czarnobyl nawet wódkę mi wypił – pogroził w stronę obłoczków na niebie.

A potem spojrzał pod nogi. W błocie pokrywającym podwórze wyraźnie rysowały się dziwne trójpalczaste ślady.

– Pewnie struś – wydedukował egzorcyista.

Ruszył do szopy. Wytoczył kadź z zacierem, stoczył do piwniczki i postawił na palenisku. Z wprawą podczepił rurki.

– A zatem do dzieła... – mruknął.

Godzinę później miał pięciolitrowy baniaczek całkiem niezłej gorzały.

– Dobry bimberek – stwierdził mierząc stężenie spirtomietrom. – Udany wypęd...

A więc teraz jestem bimbrem – pomyślał były zacier.

Proces kondensacji alkoholu zwiększył jego możliwości intelektualnie do około pięciu tysięcy IQ, ale jednocześnie ze zgrozą uświadomił sobie, że jest zamknięty w szczelnym naczyniu. Co gorsza, wszystkie składniki dotąd umożliwiające mu ruch, pozostały w kadzi, jako odpad. Bimber, który dzięki swojej mądrości mógłby zapanować nad światem, podstępnie został tej możliwości pozbawiony... Na szczęście nie na długo.

Impreza u Jakuba była tego wieczora bardzo udana. Egzorcyista postawił na stół to, co

miał najlepszego: wędzonego milicyjnego wilczura bez kartek i pięciolitrowy baniaczek przedniego samogonu.

– Drodzy przyjaciele – powiedział. – Napijmy się, zanim wredny Czarnobyl nie rozpanoszył się w gminie. Jutro nasze kurczaki mogą już mieć dwie głowy.

Dwadzieścia szklanek uniosło się do góry. Ludzie wypili. A potem zaczęły dziać się dziwne rzeczy...

Jakub obudził się na ciężkim kacu. Łeb okropnie go bolał, w dodatku w chałupie było zimno jak w psiarni.

– Co to wczoraj było? – potarł głowę. – Cholera, i po co było tyle pić...? Co myśmy, naukowców udawali?

Zwłókł się z łóżka. W całym domu walały się sterty zabazgranych wzorami matematycznymi, chemicznymi i fizycznymi papierów.

– Wzór na lot szybszy niż światło – przeczytał własne bazgroły. – Kurde, ależ się to wszystko pozajączkowało... Głupie zabawy.

Pozbierał całą tę makulaturę i załadował do pieca. Wyciągnął zgrabiałe dłonie do płomieni. Ogarnęło go cudowne ciepło... Spojrzał na resztkę bimbru w bańce.

– Jednak ten Czarnobyl szkodliwy – mruknął, a potem wlał resztkę produktu do kibla.

Bimber chlapnął w powierzchnię szamba. Wypicie ponad trzech czwartych objętości bardzo osłabiło jego intelekt. To, co dostało się do organizmów kumpli Jakuba, przepadło bezpowrotnie, strawione i przetworzone na aldehyd octowy. Jednak ta część, która przetrwała pogrom, nadal posiadała świadomość. Szambo zawierało sporo ciekawych substancji chemicznych i rozmaite pierwiastki. A zatem należało zacząć od początku...

Gwałtowny huk przetoczył się po okolicy. Jakub wyrzwał przez okno.

Kłapa zabezpieczająca szambo była odwalona na bok. Z otworu gramolił się wielki ociekający gównem stwór.

– Hy, musi co hipopotam – zidentyfikował egzorcysta. – Wiedziałem, że z tego szamba jakieś nieszczęście wyjdzie. Niepotrzebnie kumple namówili. Całe życie do wygodki srałem, a na starość się luksusów zachciało...

Zawrócił do chałupy po pepeszę. Niestety, w międzyczasie potwór pokłusował w stronę lasu.

– Diabli nadali – mruknął Wędrowycz, patrząc w ciemność. – Za dnia poszukam.

Szambozaur dopadł zbawczego gąszczu i przyczał między drzewami. Dyszał ciężko po przebyciu przeszło kilometra galopem.

Dobra – pomyślał. – Trzeba się zastanowić, co dalej.

Opanowanie ludzkich umysłów nie powiodło się. Ale gdyby tak wydestylować z siebie raz jeszcze alkohol, przetworzyć go na jakieś nierozpuszczalne związki i spróbować ponownie? W miasteczku powinna być szkoła. Tam dorwie się nauczyciela chemii i rozpuściwszy, przechwyci jego wiedzę z tej dziedziny... W dzień lepiej się ludziom nie

pokazywać. A zatem przedrzemie w wykrocie do kolejnej nocy.

Potwór zwinął się w kłębek i zapadł w krzepiący sen.

Jakub i Semen wyłonili się z arsenału obwieszeni jak choinki.

– Po cholerę nam tyle sprzętu? – sarknął stary kozak.

– Bo nie wiemy, jaką to bydlę czarnobylskie ma odporność – wyjaśnił mu kumpel. – W drogę.

Wytropienie bestii po śladach nie było trudne. Plamki fekaliów ciągnęły się drogą w stronę lasu. Na skraju spotkali jakiegoś dzieciaka.

– Nie widziałeś hipopotama w lesie? – zagadnął go egzorcysta.

– Nie, ale śmierdzi coś strasznie. Chyba szambiarze wylali między drzewa – odparł malec. – Dam znać sołtysowi, niech przyśle milicję.

Wypyтали go dokładnie w którym miejscu śmierdziało i ruszyli jak po sznurku. Bydlę drzemało w wykrocie. Semen uniósł rurę miotacza płomieni i zaczęli się podkradać. Nieoczekiwanie pod nogą egzorcysty trzasnęła gałązka. Szambozaur poderwał się i stanął naprzeciw nich.

– Kogo ja widzę? – jego głos przypominał dudnienie w rurze kanalizacyjnej. – Tatuś?

A potem otworzył paszczę. Zionęło upiornym smrodem, ale Jakub nie do takich rzeczy był przyzwyczajony. Nie namyślając się ani chwili, cisnął w gardziel potwora granat.

– Błę, rzygać się chce – mruknął Semen patrząc na kawały gówna o konsystencji galarety, pokrywające połowę polany.

– Trzeba to świństwo spalić – polecił Jakub. – Żeby się nie odrodziło.

Uruchomili miotacze ognia. Kończyli już, gdy na polanę wjechał radiowóz. Birski wysiadł dziarsko.

– No ładnie, obywatelu Wędrowycz – prychnął. – Wezwali mnie bo ktoś wylał szambo, a tymczasem, jak widzę, złapałem dwu podpalaczy na gorącym uczynku.

– Jakich tam podpalaczy? – obraził się Jakub. – Dowiedzieliśmy się, że Guciuk zanieczyścił las, no to wypalamy gówno, żeby skażenia gleby i wód gruntowych nie było.

Milicjant popatrzył na niego z zaskoczeniem. – Czyli jesteście tym razem po tej samej stronie.

Jakub też się skrzywił.

– Tak wyszło – powiedział.

– A skąd wiecie, że to Guciuk tu napaskudził?

– Cała wieś już o tym gada.

– Dobrze, w takim razie dokończcie oczyszczać, a ja jadę go aresztować – zadysponował posterunkowy. – Cholera, sporo paliwa chyba poszło – mruknął patrząc na wypalone w ściółce dziury.

– Będzie z dziesięć litrów.

– To zgłoście się na komendę, zwrócę wam z rezerwy. Może i dyplomy od gminy

dostaniecie za obywatelską postawę.

Kumple spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– To naprawdę miło widzieć, jak wy, Wędrowycz, zeszliście wreszcie na dobrą drogę – Birski trzasnął drzwiczkami i odjechał.

Jakub napełnił beczkę wytłokami z cukrowni i dodał wody. Wrzucił dwie kostki drożdży.

– Na dobrą drogę!? – wspomnienie wczorajszej hańby paliło mu duszę. – Ja mu pokażę dobrą drogę...

TRZY ŻYCZENIA

Dychawiczna szkapa ciągnęła rozklekotaną furmankę. Jakub Wędrowycz drzemał siedząc na koźle. O świcie wpadł na targ kupić od Ruskich spirytusu. Niestety w trakcie zakupów zaczęło lać. Przez cały ranek siedział więc w knajpie i czekał aż przeleci. Dopiero późnym popołudniem gdy niebo nieco się przetaiło, a w kieszeni niewiele zostało, zdecydował że czas ruszać do domu...

Polne drogi w okolicy Wojsławic biegną przez lessowe pagórki, toteż po każdej ulewie zamieniają się w paskudne, grząskie bajoro... Koń dreptał z wysiłkiem, koła zapadały się w żółte błocko to płycej, to głębiej, aż nieoczekiwanie utknęły definitywnie. Szarpnięcie zważyło egzorcystę z ławki. Wygrzebał się z fury i ziewnąwszy rozdzierająco, rozejrzał po okolicy. Była znajoma, szkapa nie zapomniała drogi do domu.

– Obłeśna pogoda – mruknął patrząc w niebo. Faktycznie, szare chmury zwiastowały kolejną ulewę... Z frasunkiem obejrzał koło.

– Trza by coś podłożyć – stwierdził i rozejrzał się. Jakieś trzydzieści metrów dalej, na miedzy, znalazł to czego szukał.

Podreptał w tamtą stronę, z trudem wyciągając buty z mazistej gleby. Dotarł i wyjąwszy zza paska siekierkę, zaczął wyrąbywać odpowiednie gałęzie. Wreszcie zadowolony pozbierał je, jeszcze tak kontrolnie zajrzał do jamy wyrwanej przez korzenie. W mięsistej brei coś zieleniało.

– Kran czy ki diabeł? – zdziwił się.

Pomagając sobie butem obkopał znalezisko i po kilku minutach pracy wydobył zaśnieżony rosyjski samowar.

– Hy – ucieszył się.

Zaniósł łup i umieścił w słomie na furmance, po czym rzucił faszyny w błoto i posługując się gałęzią jak lewarem, odblokował koło. Szkapa apatycznie ruszyła naprzód.

– Się przyda – rozważał poganiając ją leniwie batem. – Mam po dziadku taki szkic, jak zrobić z samowara małą bimbrownię...

– Ciężka sprawa – mruknął Semen, patrząc na zaśnieżony brzusiec. – A rzecz warta jest zachodu, to prawdziwy bataszew z Tuły. Najlepszy samowar, jaki w życiu miałem...

– Ano zobaczymy. – Jakub polał szmatkę wodą i posypał ajaxem. Energicznie potarł zaśnieżony bok.

Z kranika buchnął kłęb dymu, który uformował się w zarys ludzkiej sylwetki.

– Co podobnego? – zdumiał się Semen. – Prawdziwy Dżin...

– Mam na imię Sasza. – Gość z samowara skrzywił się paskudnie.

– Hy – mruknął egzorcysta. – I co z tym fantem zrobić?

– Z tego co pamiętam z arabskich legend, powinien spełnić nasze trzy życzenia...

Dym przybrał w międzyczasie naturalną konsystencję ludzkiego ciała. Duch z samowara wyglądał nieszczególnie. Oczka lekko skośne jak u Lenina, skóra żółtawa, nos jak kartofel, zez. Na głowę miał wetkniętą budionnówkę z czerwoną gwiazdą, z kącika ust zwisał mu niedopalony bielomor. Ubrane toto było w poprzecieraną, ukraińską koszulę. Na palcu miał damski pierścionek, najwyraźniej kradziony. A zęby odlane w złocie.

– Znaczy nie będziesz spełniał naszych życzeń? – zafrasował się Jakub. – Cholernie niedobrze.

Zręcznym ruchem przekręcił kranik.

– Jauuuu! – zawył Sasza, aż mu papieros z mordy wypadł. – Tylko nie za jaja!!!

– To jak będzie z tymi życzeniami? – wycodził słodziutko Wędrowycz i stopniowo przekręcał coraz dalej.

– Kurde, na żartach się nie znacie? Auć! Spełnię, spełnię.

– To po trzy na każdego – mruknął Semen.

– Sześć? Nie mogę... Rany, zostaw ten kran... Przepisy nie pozwalają...

– Pal go diabli – mruknął Wędrowycz, – dobre i trzy. To co by tu najpierw...

– Może nowe spodnie? – mruknął Semen patrząc w zadumie na portki przyjaciela. – Albo milion dolarów w używanych banknotach...

– Albo żeby z kranu ciekła wódka – zaproponował jego kumpel.

– Tylko że ty nie masz kranu – trzeźwo zauważył kozak.

– Może najpierw sobie zażycz wodociągu? Albo ja wiem...

– W sumie niegłupio byłoby przejechać się metrem – rozważał egzorcysta. – Tak z chałupy do knajpy.

– Czy mam rozumieć, że to życzenie? – zagadnął dżin.

– No, niech będzie.

Huknęło lekko. Przed domem Jakuba wyrósł estetyczny wagon.

Jakub popatrzył nań w zadumie. Wewnątrz paliło się światło, obite czerwonym pluszem siedzenia zapraszały do skorzystania.

– Wsiadajcie i zaraz was zaciągnę – zachęcił dżin.

– Ty sukinsynu – mruknął Jakub. – Próbujesz nas wyrolować? To ma być metro?

– No pewnie, wagon aż z Moskwy ściągnąłem – obraził się Sasza.

Metro to pod ziemią jeździ – mruknął Jakub. Duch poskrobał się po głowie.

– Jesteście pewni?

– Jasne... Jak byłem u wnuka w Warszawie, to pod ziemią jechaliśmy.

– No cóż – westchnął dżin. – To da się zrobić... Wsiadajcie.

Jakub i Semen zajęli z godnością miejsca.

Upiorny wizg kamieni drących blachę świdrował w uszach. Przednie szyby popękały i do środka lał się strumień błota.

– Wykończy nas ten palant – jęknął ze zgrozą Semen, patrząc jak niegdyś luksusowy wagon wypełnia się coraz większą ilością ziemi.

– Chyba już jesteśmy niedaleko – mruknął Jakub, widząc coraz liczniejsze kawałki cegieł rysujące boczne szyby. – Wytrzymajmy jeszcze trochę...

Nieoczekiwanie nastąpił gwałtowny wstrząs. Wnętrze zalało jasne światło. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem i błoto wylało się na zewnątrz. Obaj kumple, wybrudzeni jak nieboskie stworzenia wyczołgali się na powietrze. Dżin zaparkował wagon przed samą knajpą.

W ulicy i części chodnika ziała gigantyczna wyrwa.

– I jak się podobała przejażdżka? – zapytał Sasza, materializując się obok.

– A w dupę sobie wsadź takie metro!

Dżin zrobił się na twarzy zielony ze strachu.

– Czy to następne życzenie? – z przerażeniem popatrzył na ubłocony, pokiereszowany wagon.

W oczach Jakuba zabłyśły wyjątkowo złośliwe ogniki. W tym momencie w drzwiach knajpy pojawił się podchmielony Józef. Zszedł, pogwizdując, po trzech betonowych schodkach i oczywiście wpadł do dziury.

– Metro, palancie, jeździ betonowymi tunelami – warknął Jakub. – W ramach reklamacji wyciągniesz Józefa, wyczyścisz nam ubrania, oraz zasypiesz tę dziurę!

Dżin pospiesznie pokiwał głową. Wskoczył na dno wykopu, wyciągnął skołowanego Józwę. Postawił go obok przyjaciół, pstryknął palcami i zniknął. Ziemia wskoczyła z powrotem do wykopu, ulicę pokrył nowiutki, gładki jak lustro asfalt, tylko płyty chodnika były ciut jaśniejsze.

Trzej starcy, zamiast obserwować te zmiany, klęli na czym świat stoi. Razem z dżinem zniknęły także ich ubrania.

Drzwi knajpy otworzyły się i do środka wparadowali Jakub Józef oraz Semen. Odziani byli dziwnie ale dostojnie, w tuniki wykonane z czerwonego aksamitu wyprutego z siedzeń wagonu metra. Małe sierpy i młoty, haftowane złotą nicią, połyskiwały w świetle obsranej przez muchy żarówki. Agent na ten widok wytrzeszczył oczy.

– Co wam się stało? – wykrztusił.

Zwrócił uwagę na to, że wszyscy trzej byli bosi...

– Jak to? – Semen udał ogromne zdziwienie. – Przecież dziś w knajpie miał być wieczór

starogrecki, na którym obowiązuje ubiór epoki.

– To nie u nas – pokręcił głową agent.

– Dziwne. No trudno. Daj trzy perły.

Zasiedli przy ulubionym stoliku. Byli przy drugim piwie gdy powietrze cmoknęło cicho, a koło stolika zmaterializowało się czwarte krzesło z dżinem.

– Ty popierdoleńcu, gdzie nasze łachy? – Jakub zręcznym ruchem nadgarstka wyszczerbił pustą flaszkę o kant stołu.

– Sam kazałeś uprać! Myślałem, że poczekacie w wagonie! – Sasza wyraźnie się zmieszał. Pstryknął palcami i w tej chwili wszyscy trzej byli ubrani. Wprawdzie Jakub miał na sobie mundur Semena, ale dżin następnym pstryknięciem poprawił to.

– Jakie macie drugie życzenie? – zapytał konkretnie.

Kumple popatrzyli po sobie w rozterce.

– Może weźmiemy milion dolarów w banknotach – zaproponował egzorcysta.

– Tylko w zasadzie po jaką cholere? – wzruszył ramionami Semen. – Co z tym zrobimy? Choćbyśmy kapali się w szampanie i robili lewatywę z kawioru, to życia nie starczy żeby taką kasę przepuścić. Trzeba było znaleźć ten samowar ze 60 lat temu...

– A może by tak panienki sobie sprowadzić? – zamyślił się Józef. – I troszkę pofiglować.

– Ale viagry nie mamy – ostudził go Wędrowycz. – To dwa życzenia by poszły... A ja to przez całą wojnę żałowałem, że nie udało mi się dorwać tego bydlaka Hitlera...

Kumple spojrzeli na niego z błyskiem w oczach.

– To jest myśl – wycedził Józef. – Ja to mam jeszcze taką karteczkę, co sobie spisałem jak szedłem z drugą armią na Berlin, no wiecie, zestawik tortur, jakby drań wpadł w moje ręce...

– Innymi słowy chcecie, żeby ściągnąć wam Adolfa Hitlera do Wojsławic? – upewnił się Sasza. – Takie jest drugie życzenie?

– No właśnie – kiwnął głową Jakub. – Tylko daj nam z pół godzinki na przygotowania.

Posterunkowy Birski ocknął się z drzemki gdy senną ciszę popołudnia rozdarła seria z karabinu maszynowego.

– Kuźwa co jest? – Zerwał się na równe nogi. Wypadł przed posterunek i zdębiał. Kilkunastu hitlerowców w mundurach SS maszerowało przez miasteczko.

– Film kręcą? – zdziwił się gliniarz. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

W tej chwili jeden z nazistów niedbałym gestem wrzucił granat do gospody. Na widok kawałków ciał wylatujących oknem, policjant zrozumiał, że to nie film.

Józef podniósł klapę w podłodze szopy. Trzej przyjaciele zeszli po drabinie w ciemną czeluść bunkra. Kiedyś wtargnęli tu gliniarze, został po nich totalny bałagan, poprzewracane skrzynki, oraz odbite w glinie ślady buciorów. Józef odsunął fałszywą ścianę i dumnie wkroczył do zbrojowni. Jej milicjanci nie znaleźli, zadowolili się łupami z pierwszego pomieszczenia. Wzdłuż ściany, zawinięte w natowotowane szmaty, stały karabiny. Część

pochodziła z pierwszej wojny światowej, część z drugiej. Był też automat kałasznikowa, który Józef ukradł z radiowozu podczas stanu wojennego ale brakowało amunicji.

– Hy to jest konkret – Semen dźwignął cekaem maxima. – Zupełnie jak w Mandżurii, tylko wtedy to tamci je mieli.

Wędrowycz przebierał w skrzynce z granatami. Gospodarz otworzył szafę. Na wieszakach wisiały w karnym porządku mundury.

– Które bierzemy? – zadumał się.

Egzorcysta aż pozieleniał z zazdrości. On miał tylko kilka i to jugosłowiańskich, a tu były niemal wszystkie używane w obu wojnach światowych. Brakowało tylko carskich, poszły na prezenty dla Semenowa...

– Kurna mać, co jest grane? – Birski jęcząc przemykał się wzdłuż płotu masarni.

W ciągu kilkunastu minut spokojna miejscina zamieniła się w linię frontu. Wystrzelił dwa przydziałowe naboje do ścigających go nazistów, został mu już tylko jeden. Mieszkańcy po pierwszym zaskoczeniu zaczęli stawiać bohaterski opór. Poszły w ruch widły, brukowce oraz kije bejsbolowe, ale dużo chyba nie zdziałali. W kilku miejscach osady unosiły się już kłęby czarnego dymu.

– Wyleźli z jakiejś dziury w czasie czy to współcześni skinheadzi się tak zabawiają? – zadumał się ukryty w krzakach. – Raczej wyleźli bo skąd skini mieliby taką broń? I co tu, do cholery, robi ten wagonik metra? Spod ziemi ich ktoś wygrzebał?

Jakiś hitlerowiec podpalił właśnie kiosk ruchu opodal.

– Muszę biec do sołtysa, tam jest gorąca linia. – Policjant opanował się wysiłkiem woli. – Trzeba zawiadomić garnizon...

Zbiegł do parowu, przebiegł po nadgniłej kładce, przeciął niedużą pustą parcelę i dopadł stodoły Józefa. Pamięć go nie myliła, między stodołą a szopą była niewielka furtka zamknięta na kłódkę. Odstrzelił ją, poświęcając ostatni nabój. Zanurkował w półmrok wąskiego przejścia. Kibelek, obok klatki z królikami...

Nieoczekiwanie drogę zagroził mu uzbrojony po zęby Józef ubrany w przedwojenny mundur, obwiesił się taśmami do erkaemu. Przy pasku wisiało pięć granatów. Na głowie miał hełm, służący normalnie do karmienia kur. – A ty co, ocipiał?! – starzec huknął na gliniarza. – Jaka sytuacja?

– Podpalili bibliotekę, zrabowali sklep monopolowy.

– Ilu ich jest? – zapytał rzeczowo Jakub.

Stał trochę dalej, dlatego Birski nie od razu go spostrzegł.

Wędrowycz trzymał w każdej ręce po pepeszy, a przez ramię przerzucił grubą szalową taśmę od panzerschreka.

– Przecież myśmy skonfiskowali... – wybełkotał posterunkowy, widząc jak Semen montuje cekaem w koszu motocykla.

– Ładnie byśmy teraz wyglądali, jakbyście wszystko skonfiskowali – parsknął. – Baczność! – huknął niespodziewanie.

Posterunkowy odruchowo wyprężył się jak struna.

– Spocznij. Jaka sytuacja strategiczna?

– Posłusznie melduję, dziesięciu esesmanów z miotaczami ognia podpala bibliotekę gminną.

– Hłę, hłę. Jak żeście ją zrobili w starej synagodze, to nie ma się czemu dziwić – mruknął Jakub.

– Kolejnych dziesięciu obrabowało sklep monopolowy i nosi skrzynki z wódką do banku. Tam chyba mają kwaterę. Reszta lata po mieście i strzela do ludzi.

– Ile ofiar?

– Nie liczyłem, będzie ze dwadzieścia, z tego co widać, bo na ulicach leżą...

– Mają ciężki sprzęt?

– Widziałem koło gospody wagon metra. I mają ciężarówkę, parkuje przed bankiem.

– Poniesiesz. – Jakub wręczył mu skrzynkę z trotylem i zapalnikami. – Idziemy zrobić tu trochę porządku.

– Jedź Chełmską i zaatakuj od tyłu, od strony parku – polecił Jakub, – a my od frontu.

Do mostu dotarli niezauważeni. Esesmani, spaliwszy kiosk, zabrali się za rabowanie sklepu mięsnego.

– Heil Hitler – mruknął Jakub i pociągnął seryjkę z pepeszy.

– Zupełnie jak w czterdziestym czwartym – stwierdził z zadowoleniem Józef.

Strzelił dwa razy, likwidując Niemca, który wybiegł zza węgła. Przyklęknął i oparł rure na ramieniu.

– Trafisz? – zapytał Jakub z niepokojem. – Mamy tylko jeden.

– Spoko – Józwa założył okulary i wycelował starannie.

Pocisk gwizdnął ogłuszająco. Zaparkowana przed bankiem ciężarówka zakończyła swój żywot efektownym wybuchem. Z drzwi budynku wybiegli jeszcze dwaj naziści, ale Jakub zlikwidował ich od razu. W monopolowym nikogo nie było, tylko resztki chipsów rozsypane po podłodze świadczyły o tym, że ktoś tu buszował.

– Trza iść na placyk, zobaczyć co z biblioteką – mruknął egzorcysta.

W tej chwili gdzieś z boku doleciały ich odgłosy eksplozji a potem regularna palba karabinowa. Pognali. Spóźnili się haniebnie. Wszyscy Niemcy leżeli podziurawieni jak sita. Birski rozejrzał się i zmartwiał.

– O kurde – jęknął. – Przecież rewidowaliśmy, konfiskowaliśmy... Tyle lat...

Na placu zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy Wojsławic, od siedmiolatków, po starców pamiętających jeszcze cara. I wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Powyciągane ze strychów karabiny lśniły smarem.

– Hitler siedzi w banku! – krzyknął Jakub. Odpowiedziała mu ponura palba w niebo.

Teraz przydała się skrzynka dźwigana przez Birskiego. Trzydzieści kilogramów trotylu. Założyli ładunki z trzech stron. Od frontu się nie dało bo esesmani byli czujni i strzelali przez okna. Nadjechał Semen. Lufa maxima jeszcze dymiła.

– Skasowałem trzech – pochwalił się.

– A dla nas prawie nie zostało – zrzędził Jakub. – Jeszcze tylko tu się bronią. Ale zaraz wykurzymy.

– Sporo tego – stary kozak z niepokojem popatrzył na kostki i zapalniki.

– Musimy wałnąć naprawdę mocno. Tam w środku jest stalowy sejf, wielki jak cały pokój. Jeśli Hitler siedzi w środku...

– A chyba że tak. Takiej ilości trotylu to nawet sejf nie wytrzyma

– Wszyscy w tył! – krzyknął Jakub podpalając lont. Wybuchło naprawdę pięknie. Gdy opadł pył, a z nieba przestały spadać cegły i kawałki stropów, okazało się, że Semen jednak nie miał racji. Sejf wytrzymał. Za to okoliczne budynki – nie. Także trupów przybyło.

– To się trochę wymyka spod kontroli – powiedział w zadumie egzorcysta.

Birski z malowniczo urwaną głową spoczywał opodal.

– Znam szyfr – przez tłum przepchnął się dyrektor banku. Chwilę potem wywlekli ze środka Adolfa. Zaraz też znalazła się lina i Hitler zadyndał na latarni.

W tej chwili na rynek wjechał radiowóz. Rowicki wyskoczył ze środka jak diabeł z pudełka.

– Co tu się, do cholery, dzieje?! – zawył widząc trupy i ruiny. – Jesteście wszyscy aresztowani!

Dżin zmateriałizował się oparty o latarnię, na której wisiał Adolf.

– No, teraz chyba jesteście zadowoleni? – zagadnął.

– Składam reklamację – mruknął Jakub i złośliwie skrzywił kranik.

Zostaw to, dobrze? Co wam się nie podoba?

– Miał być Hitler, a ty ściągnąłeś z nim kilkudziesięciu uzbrojonych bydlaków.

– Powiedział, że to jego ochrona. Myślałem... auuu.

– Następnym razem nie myśl, tylko wykonuj polecenia – warknął Jakub. – Albo ci wsadzę ten wagonik, gdzie słońeczko nie dochodzi...

Sasza pokiwał potulnie głową i pstryknął palcami. Trup Adolfa zdematerializował się, bank znowu był cały, chałupy wokoło też uległy odbudowaniu. Nieboszczycy podnieśli się zaskoczeni z chodników, broń znikła ludziom z rąk.

– Zmodyfikowałem im pamięć, żeby nie było kłopotów – pochwalił się Sasza.

Wrócili do chałupy Józefa, bo było bliżej.

– Zostało jedno życzenie – mruknął Jakub. – Ale musimy to dobrze przemyśleć. – Czego to ludzie sobie życzą? Zazwyczaj forsy, ale to już mam, władzy, cholera wie po co...

– I dzikiego seksu z pięknymi kobietami, ale to nie w naszym wieku – dodał Józef.

– A ja słyszałem, że każdy facet chce mieć dużego ptaka – dodał Semen. – doktor Freud,

jak kiedyś się ochlaliśmy mówił...

– Jakub wyjął fujarkę z rozporka, strzelił jak z bata i zabił muchę chodzącą po ścianie.

– W sumie i tak mam za długiego – mruknął. – Mało to razy przydeptałem?

– To może skrócić? – zaproponował Sasza.

– A, przywykłem – schował narząd na jego miejsce, a końcówkę wpuścił w cholewę buta.

– Trzeba wymyślić coś szczególnego, dobrego, czystego...

– To można i bez czarów, wystarczy umyć słonia – kozakowi przypomniał się dowcip z czasów jego młodości.

Kumple słyszeli to już tyle razy, że nawet się nie roześmieli.

– A może jednak puścić wódkę z kranów – rozważał egzorzysta. – Tylko kto wtedy będzie kupował mój bimber?

– To ja się trochę przejdę a jak wymyślicie zawołajcie. – zaproponował dzin i zniknął.

– A może powinniśmy sobie sprawić nowe zęby? – zamyślił się Józef. – Albo może po koniku?

– Całą wannę kawioru – zapalił się Semen. – Tylko, cholera, po co aż tyle? Zanim zjemy, zepsuje się.

– Hy, to zamówmy mniej? – zasugerował Jakub.

– Mniej to można kupić w sklepie... A jakby tak wrócił car? Za cara było najlepiej.

Kumple popatrzyli po sobie.

– Nie ryzykowałbym – mruknął egzorzysta. – Może i było, ale ten popieprzony dzin zawsze wszystko schrzani. Ja tam nie mam ochoty iść piechotą w kajdanach na Sybir. A to ostatnie życzenie. W razie czego nie zdołamy odwołać...

W tym momencie ze strychu rozległ się rumor i brzęk upuszczanego kanistra. Kumple rzucili się przez kuchnię do sionki i szybko wdrapali po drabinie na górę. Dzin leżał wyciągnięty na podłodze, obok spoczywał, pusty już, blaszany kanister po bimbrze.

– O żesz ty! – wydarł się Józef. – Pięć litrów wysuszył...

– Oj tam, odkupię – wybełkotał Sasza i pstryknął palcami. Na pokrytej kurzem podłodze wyrosło dziesięć butelek szkockiej whisky.

– Wymyśliliście trzecie życzenie? – zapytał i spojrzał na nich półprzymkniętymi oczami.

– Cóż – mruknął Semen. – Widziałem Wojsławice sto lat temu, a chętnie zobaczyłbym je za następne sto lat. Przenieś nas na godzinkę pod koniec XXI wieku.

– Już się robi.

– Nastąpił huk i Sasza zniknął. Razem z nim wyparowały flaszki i znaczna część kurzu.

– Kurde, za trudne dla niego – ucieszył się Jakub. Jednak Józef w milczeniu pokręcił głową.

– Coś mi się tu nie zgadza – mruknął. – Tu nigdy nie było tak czysto.

Podeszli do okienka i wyjrzel. Od chałupy do rzeki ciągnął się parczek, trawa i palmy bananowe. Za rzeką wznosił się wysokościowiec.

– Hy – ucieszył się Jakub. – Klimat się polepszył. Tylko co tam jest napisane?

– Nie wiem, nie rozumiem po chińsku – mruknął Semen. – To co robimy, siedzimy tu czy idziemy?

– W zasadzie to nigdy nie pędziłem bimbru z bananów – zadumał się Jakub.

Podnieśli klapę i tu spotkało ich pierwsze rozczarowanie. Pod spodem nie było drabiny.

– Zaiwanili mi drabinę – jęknął Józef. – Nowiutką...

– Gdzie tam nowiutką – ostudził go Semen. – Teraz to ma ze sto lat. – Skaczemy? Nie jest wysoko...

Zeskoczyli i weszli do kuchni. Wszystko w zasadzie zostało na swoim miejscu, piec i stół, tylko ogrodzono je czerwonym sznurkiem. Karteczka po rosyjsku i chińsku ostrzegала żeby nie dotykać eksponatów. Zajrzeli do pokoju, tu okazało się, że z oryginalnych mebli nic nie zostało, zastąpiły je pochodzące z tej samej epoki, ale jednak inne.

– No cóż – mruknął Józef. – Dlaczego akurat z mojej chałupy zrobili muzeum?

– Może twoje wnuki dokonały jakichś bohaterskich czynów? – Semen poskrobał się po głowie. – Dobra. Wiecie co, napiłbym się piwa.

– Zaraz, zobaczmy całe muzeum – Józef pchnął drzwi do pomieszczenia naprzeciwko.

Pośrodku stała aparatura bimbrownicza. Obok na krzeselku siedział manekin z białą laską w dłoni.

– Ojoj – kozak odczytał tabliczkę. – Tu piszą, że tak w prymitywnych warunkach produkowano alkohol, który stawał się przyczyną ślepoty i licznych chorób.

– Nikt nigdy nie oślepl od mojego bimbru! – obraził się Józef.

– I jest informacja, że światowy międzynarodowy feministyczny zakazał produkcji sprzedaży i konsumpcji alkoholu na kongresie w roku 2043.

– To tu już jest 50 lat prohibicji – Jakubowi zaświeciły się oczy. – Chłopaki, wiecie jaką kasę zarobimy? Wszyscy muszą być totalnie wyposzczeni...

Wyszli przed dom i zatrzymali się jak wryci. Stodoła, obora i szopa znikły bez śladu. Na miejscu gospodarstwa sąsiadów znajdował się park, a dalej jakieś szklane hale. Za nimi sterczały w niebo kolejne wysokościowce.

– Zapierdolę ich!!! – zawył Józef.

Odwrócili się i spostrzegli, że ich przyjaciel czyta tablicę umieszczoną na ścianie chałupy.

Prymitywne budownictwo polskie doby postkomunistycznej – głosił napis po rosyjsku.

– Jak to prymitywne? – wydarł się. – Najfajniejsza chałupa we wsi a oni napisali prymitywne?!

W miejscu, gdzie kiedyś była ulica, ciągnął się wygodny deptak ocieniony palmami daktyłowymi. Ruszyli w stronę serca metropolii. Od czasu do czasu mijali ich ludzie. Najwięcej było Chińczyków, ale trafiali się też biali, czarni i Indianie. Panowała ogromna swoboda ubiorów: jedni mieli na sobie rzymskie togi, inni przepaski na biodrach lub kosmiczne skafandry... Na trzech staruszków w zabytkowym odzieniu nikt nie zwracał uwagi.

– Centrum handlowe – Józef odczytał neon na najbliższym budynku. – Bardak Trade Center.

– To ten kutas tak się dorobił na tych szmuglowanych petach? – zdumiony Jakub zadarł głowę do góry. – Toż to ma z piętnaście pięter wysokości.

– Włazimy – popędził go Semen. – Napaskudzimy w środku.

Weszli. Zaraz przy wejściu było stoisko z artykułami sanitarnymi. Miła chińska ekspedientka topless uśmiechnęła się czarująco.

– Może zechcą panowie skorzystać z naszej promocji – zaszczebiotała po rosyjsku. – Mamy rewelacyjny wynalazek – pokazała im próbkę. – Miniaturowe czarne dziury.

– Do czego to służy? – zaniepokoił się Jakub.

– To bardzo proste, jeśli chcecie coś posprzątać, na przykład starą chałupę albo wrak samochodu, wytrząsacie z próbki jedną i odsuwacie się na odległość dwu metrów. Dziura to połyka i znika.

– Jest jednorazowa – zasępił się Semen.

– Tak, ale w zestawie jest sto sztuk. Ale jeśli nie są panowie pewni wszechstronności zastosowań, to proszę przyjąć zestaw testowy – podała im próbkę. – W środku są dwie sztuki.

Nie pochodzili po centrum, przy wejściu do supermarketu trzeba było okazać kod kreskowy na przedramieniu a żaden nie miał...

Za szklanym wysokościewcem stał dawny dom towarowy Wojsław, malutki, przytłoczony sąsiednimi budynkami.

– Państwowe Centrum Eutanazji Pasożytów Społecznych – Jakub odczytał tabliczkę. – Fabryka preparatów biologicznych dla szkół i kolekcjonerów prywatnych. Coraz mniej mi się tu podoba. Nigdy nie lubiłem szkoły, a tu robią coś żeby lepiej działała...

Na rogu budynku wisiał ciekłokrystaliczny ekran. Akurat nadawano wiadomości. Spiker mówił po rosyjsku, ale pod spodem wyświetlano chińskie znaczki.

– Nadal trwają poszukiwania szefa polskiej sekcji Al-Quaidy Osamy ibn Wędrowycza. Namiestnik, pierwszy sekretarz Iwan Bardak informuje, że aktualna nagroda za jego schwytanie wynosi pięć kilogramów prawdziwej wołowiny.

– Co!? Pięć kilo mięcha za mojego potomka? – obraził się Jakub.

A potem złapał żeliwny kubeł na śmieci i przyładował z rozmachem w telewizor. Ekran popękał promieniście i zgasł.

Coś zadudniło i zza rogu ulicy wyszedł robot w kształcie metalowego kościotrupa. Popatrzył na nich czerwonymi oczkami. Na głowie miał czapkę policyjną, ozdobioną chińskimi znaczkami.

– Jesteście aresztowani, pasożyty – powiedział. – Żywi lub martwi, idziecie ze mną na eutanazję.

Jakub w pierwszej chwili chciał sięgnąć po granat ale dłoń namacała w kieszeni

próbówkę z czarną dziurą. Wyjął korek i wytrząsnął jedną na policjanta. Tylko cmoknęło. Gliniarz przestał istnieć.

– Faktycznie, mocna rzecz – rzekł z uznaniem Jakub. A potem rzucili się do ucieczki.

Knajpa jeszcze stała, ale najwyraźniej przeznaczona była do rozbiórki. Zabite dechami drzwi i okna, popękany strop... Oderwali kilka desek. Wcisnęli się do pomieszczenia, które kiedyś było główną salą.

– Nareszcie w domu – mruknął Wędrowycz. – Nic dziwnego że splajtowała, skoro jest prohibicja...

Nieoczekiwanie ich uszu dobiegł szmer. Podkradli się do drzwi od drugiej sali i otwarli je z rozmachem. Na stole stała walizka pełna kabli oraz świecących diod. Na krześle siedział dziwny typek w turbanie. Odwrócił się w ich stronę. Miał włosy nieokreślonego koloru, wodniste oczka, wyglądał zupełnie jak Jakub w młodości

– Osama ibn Wędrowycz? – zdumiał się egzorcysta.

– Jakub Wędrowycz? – zdumiał się terrorysta.

– Mów mi dziadku!

Uściskali się serdecznie. Miło spotkać przodka.

– Jak tu trafiliście? – zapytał. – Dziura w czasie?

– Tak jakby, za pół godzinki ściągnie nas z powrotem – wyjaśnił Semen.

Nagle Jakubowi coś się przypomniało. Wyrzwał prawnuka kulakiem w mordę, aż turban zleciał.

– To za ten islam – warknął.

– Ależ dziadku – jęknął Osama. – Czy wy nie słyszeliście o katolickim fundamentalizmie?

– Co? To wy nie poganie?

– Skąd. Zaraz na początku XXI wieku chrześcijanie zaczęli przenikać w szeregi Al-Quaidy. A jak już było nas więcej, wyróżniliśmy bisurmanów mahometańców i przejęliśmy organizację...

– A z kim wy właściwie walczyacie? – zdziwił się Semen.

– Z taoistami, buddystami i konfucjanistami.

Trzej starcy poskrobali się po głowach. Nic im te nazwy nie mówiły.

– A tak właściwie to co kombinujesz z tą walizką? – zainteresował się egzorcysta.

– To walizkowa bomba kwantowa. W Chełmie przebywa z wizytą namiestnik Polski, Iwan Bardak.

– Chełm to przecież 30 kilometrów stąd?

– Spokojnie, lej po wybuchu będzie miał co najmniej osiemdziesiąt kilometrów średnicy.

– Fascynujące – mruknął jego przodek. – A co z ludźmi?

– Wiadomo, dobrzy pójdą do nieba, a reszta do piekła – wyjaśnił ochotczo Osama.

Jakub z uznaniem kiwnął głową. Mocna rzecz ten katolicki fundamentalizm. A i prawnuk

coś po pradziadku przejął. Podobnie jak Jakub, nie bawił się w subtelności oraz nie uznawał półśrodków... Jego krew.

– A nie dałoby się mniejszej odległości i słabszą bombą? – zainteresował się Semen.

– Gdzie tam, zawsze kordony stoją na dwadzieścia kilometrów wokoło...

I znowu zaczął regulować jakieś pokręta. Józef popatrzył na zegarek.

– Za pięć minut mija godzina – powiedział. – Poczekaj aż znikniemy i dopiero wtedy odpalaj.

– A my ci pomożemy – mruknął Jakub. – I obejdzie się bez tej atomówki, czy co to jest...

– W jaki sposób? – zaciekał się prawnuk.

– Ten wasz namiestnik to potomek czyj?

– Józka Bardaka.

– Jak się cofniemy, po prostu wykończymy drania i w twojej teraźniejszości skasuje jego potomków. Tak jak to było w filmie „Terminator”.

– To jest pomysł – ucieszył się terrorysta. – Ale to może więcej ich wykończyć? Zaraz wam napiszę listę...

W tym momencie powietrze cmoknęło i trzech kumple zmaterializowali się na ławce przed knajpą.

– A nie mówiłem, żeby skakać do tyłu? – zapytał zgryźliwie Semen. – Przeszłość to konkret, a w przyszłości czeka na człowieka wiele niebezpieczeństw...

– Dobra, dobra – mruknął Jakub pojednawczo. – Trzeba poszukać Józka Bardaka i rozwalić mu makówkę...

– Co nas obchodzi przyszłość? – wzruszył ramionami stary kozak.

– W zasadzie to równo mi zwisa, ale obiecałem... A Józka dorwiemy w knajpie.

Weszli w półmrok gospody. Kandydat do likwidacji właśnie przemawiał do swoich kumpli.

– Podejrzałem wszystko. Wędrowycz gadał z dżinem, który wylazł z samowara.

– Pierdoli jak potłuczony – mruknął jakiś menel. – To pewnie delirium...

– Zaraz sami zobaczycie – wyjął z worka zaśniedziały samowar i potarł go brudną łapą, a gdy to nie podziałało – obrusem. Z wnętrza z cmoknięciem wyłonił się Sasza.

– O Panie, spełnię twoje trzy życzenia – popatrzył z pewnym obrzydzeniem na zarośniętą gębę Bardaka.

– Wódka, śledź i ogórek?

– Sasza, nie słuchaj go – powiedział Jakub, unosząc spluwę. – Zaraz go stuknę i możesz spać w samowarze kolejne dwieście lat.

– Nie możesz go zabić – zaprotestował dżin. – Każdy kto ma prawo wypowiedzieć życzenia, znajduje się pod moją ochroną, dopóki nie zostaną spełnione.

Na jego twarzy odmalowała się niechęć. Nowy właściciel nie przypadł mu widać do gustu.

– O kurde – zasepił się Jakub.

Oblicze Bardaka rozjaśnił wredny uśmieszek.

– Trzy życzenia? – upewnił się. – No to po pierwsze, żeby Jakuba Wędrowycza diabli wzięli.

Dżin pstryknął palcami. W knajpie zmaterializowały się dwa diabły. Asmodeusz w powyciąganym garniturze i Boruta w poprzypalanym kontuszu.

– Gdzie jesteśmy? – diabeł szlachcic rozejrzał się. – Macie zabrać tego tam do piekła – Sasza wskazał Jakuba.

– Jego już próbowaliśmy – warknął Boruta. Jakub pomachał do nich radośnie i gestem zaprosił do stolika.

– A kim ty właściwie jesteś, żeby nam rozkazywać?

– Jestem arabskim dżinem, no właściwie to rosyjskim. Rosyjskich muzułmanów – wyjaśnił ochotczo Sasza.

– A ten tu – klepnął Bardaka po ramieniu. – Kazał żeby Jakuba diabli wzięli.

– Spierdalaj cwaniaczku – wycodził Boruta, wbijając dżinowi szablę pod brodę. – A z tobą, Bardak, to jeszcze się policzymy, jak tylko do nas trafisz – pogroził kułakiem i oba czarty znikły.

Tylko woń siarki w powietrzu świadczyła, że ich wizyta nie była przywidzeniem.

– Jak ja tego palanta nienawidzę!!! – zawył Bardak.

– Ty, dżin, zrób coś, żebym go więcej nie widział na oczy.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Pstryknął palcami i ślepie Bardaka potoczyły się na podłogę.

– Co jest, kto zgasił światło? – zdumiał się poszkodowany. – Ty, dżin, zrób żeby w knajpie było jasno...

Sasza uśmiechnął się półgębkiem i sześćdziesięciowatowa żarówka wisząca u powały zaśniła jak lampa lutownicza.

– Zużył trzy życzenia – poinformował Jakuba. – Tym samym nie jest już pod moją opieką.

Wędrowycz wystrzelił tylko jeden raz.

– Masz swojego wnuka namiestnika – parsknął.

– A wy też chcecie wpierdol obkoczyć? – zwrócił się do wystraszonych meneli. – Co wy, trupa nie widzieliście?

– Będzie z tym pewien problem – mruknął Semen. Egzorcysta wyjął z kieszeni próbówkę z czarną dziurą.

Wydlubał koreczek i wytrząsnął ją na zwłoki. Dziura tylko cmoknęła. Bardak zniknął.

– Obowiązki wypełnione, to może się napijemy? – zwrócił się do Saszy. – W sumie to równy chłop jesteś, tylko z tymi życzeniami nie do końca miało tak być.

Zasiedli przy ulubionym stoliku.

– Dobrze, przeanalizujmy, co poszło nie tak jak trzeba – poprosił dżin.

Menele jeszcze przez chwilę patrzyli na puste miejsce, gdzie przed minutą leżał ich kompan, a potem powrócili do swych flaszek i kieliszków.

ROSYJSKA RULETKA

Opowiadanie napisane wspólnie z Konradem T. Lewandowskim.

Redaktor naczelny Obleśnych Nowinek wyjechał akurat na urlop, więc przybyły z ulicy młodzieniec o wyglądzie przeuczonego wiecznego studenta, z rodzaju tych, co to w kółko zmieniają wydziały i nie mogą poprzestać na jednym ani nawet trzech fakultetach, został skierowany do jego zastępcy. Z równym skutkiem mógłby zostać wysłany na rozmowę ze ślepym o kolorach. Zastępca, puciołowaty człowieczek w drucianych okularach, z bokobrodami, był bez wątpienia wytrawnym potakiwaczem, jakich wielu wyprodukowała świeżo miniona epoka PRL-u, jednak rozmowa z interesantem zdecydowanie przerastała jego możliwości intelektualne. Zwłaszcza że wisiało nad nim widmo podjęcia samodzielnej decyzji.

– Może zaproponuje pan listę tematów, którymi chciałby się pan zająć? My rozpatrzymy i damy odpowiedź...

– A jakich tekstów potrzebujecie? – Młody człowiek zdecydowanie odmawiał okazania zrozumienia dla kompetencyjnej męki zastępcy naczelnego.

– Ma pan coś gotowego?

– Nie. Napiszę artykuł na wskazany temat – tłumaczył cierpliwie młodzieniec.

– Na każdy?

– Tak.

Pełniący obowiązki naczelnego ciągle nie rozumiał.

– Ale o czym chciałby pan pisać?

– A czego w tej chwili potrzebujecie?

– No, ale co chciałby pan nam zaproponować, panie...

– Tomaszewski. Radosław Tomaszewski...

– Skoro nie wie pan, co pan chce napisać... – Zastępca zmarszczył niskie czołko, omal mu druciane bryle nie spadły.

Powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że ma do czynienia z sabotażystą nasłanym przez konkurencję.

– Szukam pracy. – Młodzieniec zaczął z innej beczki.
– Aaa, to trzeba było tak od razu! Nie mamy wolnych etatów.
– Dlatego chciałbym zacząć od stałej współpracy. Czy macie zapotrzebowanie na jakiś temat?

- Nasi dziennikarze sami szukają tematów – odrzekł wyniośle zastępca naczelnego.
- Myślałem, że je wymyślają...
- Co proszę?

W tym momencie postanowiła interweniować sekretarka, przysłuchująca się rozmowie przez szparę w uchylonych drzwiach. Weszła do gabinetu i zaczęła coś szeptać szefowi do ucha. Do Tomaszewskiego dotarły słowa „stażysta”, „egzorcyzmy” i „lubelszczyzna”.

– Tak, ale przecież tamten nie wrócił... – zaproponował zastępca redaktora naczelnego Obłęśnych Nowinek i w tym momencie w jego oczach zapłonął wreszcie błysk inteligencji. On i sekretarka jak na komendę spojrzeli na Tomaszewskiego i uśmiechnęli się czarująco...

Drzwi ozdobione sugestywnym napisem WITAMY W KRAINIE, GDZIE OBCY ZGINIE otworzyły się ze zgrzytem nigdy nieoliwionych zawiasów. Jakub oderwał mętne spojrzenie od kufla z perłą i popatrzył w stronę wejścia. W drzwiach stanęła wysoka sylwetka odziana w mundur rosyjskiej kawalerii z pierwszej wojny światowej.

Jakub rozpoznał we wchodzącym swojego druha Semena. Posunął się kawałek, robiąc miejsce na ukradzionej z parku ławce. Stary kozak zmrużył oczy podrażnione dymem papierosów najpośledniejszego gatunku.

Wnętrze knajpy, jak zwykle w dzień targowy, wypełniał tłum ludzi. Jedni oblewali udane interesy, inni przepijali zarobione pieniądze. Ci, którym handel poszedł kiepsko, pili na zeszyt. Teraz, trochę po północy towarzystwo osiągnęło odpowiedni stopień napojenia. Agent za ladą z zadowoleniem liczył zyski. Tego dnia naprawdę poszaleli. Z płynnego towaru został mu tylko denaturat i truskawkowa pryta na siarce.

Semen z rozmachem klepnął koło Jakuba i wydobył zza pazuchy słoik po ogórkach. Przyjaciół ostrożnie przelał mu połowę zawartości swojego kufla.

- Co cię sprowadza? – zapytał.
- Ano, dwie sprawy. – Przybysz zdjął papachę i otarł rękawem czoło. – Duża i mała.
- No to zacznij od dużej – uśmiechnął się egzorcysta, pociągając łyk piwa.

Kozak też zwilżył gardło.

– Kudłacz znowu wlaź w szkodę – powiedział. – Ludziska ze Starego Majdanu cię szukali w tej sprawie.

– A ja, widzisz, tu na trochę zakotwiczylem – powiedział Jakub. – Od czasu do czasu trzeba nerki popłukać...

– Kotwiczysz w tej knajpie już trzeci dzień – mruknął kozak. – Co zamierzasz z tym zrobić? O kudłaczu mówię...

– A co, beze mnie sobie nie poradzili?

– Pogonili go pochodniami, ale zaszył się w lesie i pewnie jeszcze wróci.

Egzorcysta kiwnął głową.

– Przelazł sukinkot przez wąwóz. Małpy nie upilnowali.

– Nie wiem, dawno nie zaniósł mnie do Dębinki – mruknął Semen. – Nie lubię tej krainy latających siekier.

– A czego ode mnie chcą? – Jakub znowu stracił wątek..

– Chcą, żebyś wykończył kudłacza. Kilkaset złotych zebrali na nagrodę dla ciebie. No i balanga będzie jak zwykle.

Stawiają napoje.

Brwi egzorcysty uniosły się z uznaniem.

– Znaczy, bardzo im za skórę załazł – mruknął. – Jakie straty?

– Josifowi poszalał na plantacji truskawek. Z ćwierć hektara wydeptał, ile zeżarł, trudno powiedzieć. Markowi rozpierniczył tartak. Przeszedł po suszącej się tarcicy, dwadzieścia metrów sześciennych dechy diabli wzięli. Na opał to się już tylko nadaje. Tomaszowi wlaź do stodoły. Zeżarł coś z pięć metrów kartofli, wysuszył zacier z beczki i rozwalił aparaturę. Pawłowi ze spichrza wyżarł ze trzy worki owsa, a potem jeszcze rozdeptał warchlaka... U mnie czochrał się o traktor. Będę musiał kupić nowy... O przewróconych płotach nie wspomnę... Zniszczenia tak czy siak wielkie.

Wędrowycz kiwnął ponuro głową. Strasznie mu się nie chciało wychodzić z knajpy.

– A u ciebie – dorzucił kozak – jabłonkę złamał i część śliwek poobrywał. Zielonych. Może mu zaszkodzi?

– Kudłacze mają odporność na różne takie – powiedział Jakub. – Pamiętam, jak kiedyś taki oskubał dwie grusze z owoców i popił surową wodą. Człowieka by zabiło, a on dwa dni potem raczył się jeszcze chmielem z plantacji i też nic. Żołądek jak koza. Nawet gazety z kiosku potrafi wyžreć, jak go głód przycisnie. Więc chcecie, żeby go skasował?

– Tak. Miszczuk nawet wspominał, że ci pancerfausta użyczy.

– E... – machnął ręką egzorcysta. – Zrobię tradycyjnie. Dawno nie było okazji, to trzeba z honorem pójść. Tak jak za ojców to robiono. Dzidą i szabelką...

Semen skinął głową.

– Takaż i moja wiedza – powiedział. – I ludziska też tak myślą, dlatego wynajęli ciebie, bo Józwa chciał iść z pepeszą...

Ale mu nie dali.

– Znam tę jego pepeszę – uśmiechnął się Jakub. – Pamiętam, jak poszedł z nią na dzika. Ledwo go wtedy odratowali.

Wpakował cały talerz amunicji, a ani jeden pocisk nie trafił do celu... A ta druga sprawa?

– Facet do ciebie przyjechał. Z Warszawy.

Brwi Jakuba uniosły się w lekkim zaskoczeniu.

– A on niby kto? – zapytał. – Klient czy może pacjent?

– Ani to, ani to. Mówił, że dziennikarz czy jeszcze nie dziennikarz. Sam wiesz, że ja tego miejskiego akcentu nie trawię. Nie szło po prostu wyrozumieć.

– I co on? Poszedł w diabły?

– Nie. Najpierw robił zdjęcia we wsi, ale go pogonili, a teraz czeka na ganku, aż wrócisz.

– No cóż. W takim razie trzeba iść – mruknął Jakub, wstając zza stolika.

Dopił piwo i trzasnął kuflem o ścianę. Na szczęście.

– Barman! – zakrzyknął.

– Jestem ajentem – jęknął ajent zza lady. – Tyle razy cię, Jakub, prosiłem...

– Konia!

W pięć minut później osiodłana chabeta czekała przed lokalem. Wędrowycz zręcznie wskoczył na siodło i pokłusował w ciemność.

Klacz, uderzona w boki obcasami gumofilców, zręcznie przeskoczyła płot i opadła na podwórze. Jakub zeskoczył z siodła. Nieznajomy siedział na ganku. Drzemał wyraźnie. Staruszek uśmiechnął się lekko, wyciągnął zza paska odrapany rewolwer i strzelił dziennikarzowi nad uchem. Ten poderwał się, a widząc przed sobą uzbrojoną postać w czarnej esesmańskiej kurtce, przeżegnał się odruchowo.

– Hy, znaczy, religijny człowiek – mruknął Jakub.

Gość, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, wyciągnął dłoń na powitanie.

– Jestem Radosław Tomaszewski...

– A ja jestem Wędrowycz, Jakub Wędrowycz – oświadczył gospodarz z godnością.

Złapał gościa za rękę, uściśnął, a potem odwrócił ją grzbietem do dołu i popatrzył na linie.

– Hy. Ciekawe rzeczy tu napisane. Ale to i owo trzeba by poprawić – mruknął... – Najlepiej brzytwą albo kawałkiem szkła...

– Napisałem list, że przyjadę.

– A, list – mruknął egzorzysta. Z kieszeni wydobył strasznie pomiętą kopertę. Była jeszcze ciągle zaklejona. W cholewy buta wyciągnął bagnet i rozpruł ją artystycznie. Przez chwilę wpatrywał się w równe rzędkie liter.

– To znaczy twój list? – Pokazał papier przybyszowi.

– Nie, to z urzędu skarbowego. – Tomaszewski rzucił okiem na blankiet. – Tu piszą, że przyślą policję.

– A niech spróbują. – Egzorzysta rzucił papier na ziemię i jął przeszukiwać kieszenie. Niebawem znalazł kawałek następnego pisma.

– To chyba był twój – mruknął. – Dobry papier do skrętów. Cholera, chyba zapomniałem wcześniej przeczytać...

Najlepiej opowiedz własnymi słowami. I nie stójmy tak. – Nacisnął klamkę otwierając drzwi.

Z wnętrza domu powiało wonią dawno niepranych skarpetek, ogryzionych kości, rdzy oraz myszy. Jakub zapalił światło i myszy uciekły. Reszta została na miejscu, chociaż skarpetkom niewiele brakowało, by pobiec śladem gryzoni.

– To jaka gazeta cię nasłała? – zagadnął gospodarz.

– Tygodnik Obłeśne Nowinki – odpowiedział natychmiast przybysz.

– Obłeśne nowinki... – wycodził Jakub. – Hmmm. Dawno nie zrobiłem nic specjalnie obłeśnego, ale jeśli przywiozłeś viagrę, to tu po sąsiedzku mieszkają takie młode dupcie...

– Mam coś bardziej ekologicznego. – Tomaszewski sięgnął do torby i wydobył butelkę z żółtawym płynem, w którym pływały drewniane szczapki.

– Bimber? – Wędrowycz ocenił zawartość okiem fachowca.

– Sam destylowałem – pochwalił się gość.

– De... co?

– Pędziłem. – Tomaszewski spopularyzował termin fachowy.

– Pędzi, znaczy, swój... – mruknął do siebie Jakub i popatrzył życzliwiej na gościa. Bez słowa postawił na stole dwie musztardówki i wziął butelkę od dziennikarza.

– Po co te patyki? – Popatrzył pod światło.

– To dębowe drewno, dodaje smaku – wyjaśnił Tomaszewski.

– Zobaczmy... – Jakub wprawnym cięciem bagnetu odrąbał szyjkę butelki razem z korkiem. Nalał.

– Za interes – wzniosł toast dziennikarz.

– Niech będzie interes. – Wędrowycz wypił i mlasnął. – Czysty ten bimber, prawie jak sklepowa wódka – stwierdził.

Tomaszewski spokojnie opróżnił swoją musztardówkę.

– Musi być czysty – odparł. – Destylowałem według matematycznego wzoru...

Jakub omal się nie zakrztusił.

– Mogę zapisać. – Dziennikarz nie zwrócił uwagi na gospodarza. Wyjął kartkę, długopis i zrobił sobie trochę miejsca, przegarnawszy kości na środek stołu. Napisał: „ $C = -0,0984T^2 + 13,78T - 389,7$ ”.

– Co to takiego? – Wędrowycz z powagą podrapał się w głowę.

– Na podstawie tego wzoru, mierząc temperaturę pary zacieru na wejściu do chłodnicy, obliczamy moc skraplającego się w danej chwili destylatu w procentach masowych – wyjaśnił Radosław. – Potem trzeba to jeszcze uśrednić albo lepiej scałkować metodą trapezów i uzyskujemy moc gotowego bimbru. To równanie kwadratowe, zwane Parabola Przewodasa, jest fragmentem krzywej równowagi fazowej dla układu alkohol-woda. Daje prawidłowe wyniki w zakresie temperatur 79-99 stopni Celsjusza.

Jakub namyślał się chwilę, po czym wreszcie zrozumiał.

– Nu, znaczy, z matematyki też można pędzić – stwierdził.

– Tylko z kamienia nie utoczysz... – odrzekł filozoficznie Radosław.

– Jak to nie?! – zaprotestował Jakub i wyciągnął litr karbidówki.

Tomaszewski obudził się w sianie.

Delikatnie mówiąc, czuł się sobie szalenie obcy i bardzo pragnął znaleźć się gdziekolwiek, byle z dala od własnej głowy. Albo lepiej, pozbyć się głowy... Odzyskawszy zdolność postrzegania rzeczywistości stwierdził, że jego kurtkę i spodnie pokrywa jasnobrązowa masa, która pachniała i smakowała jak musztarda. Chyba więc musiała być musztardą.

Była także w kieszeniach i w portfelu... Sam Radosław był w stodole Wędrowycza. Skojarzywszy ten fakt, dziennikarz wytoczył się na zewnątrz.

Jakub trzymał w ustach pęk gwoździ, a w ręku młotek. Mocował wyrwane z zawiasami drzwi z powrotem do futryny.

– Czy to przypadkiem nie ja?... – Gość mozolnie poszukiwał wspomnień. – Przepraszam...

– Yyc...ę nie...ało – odparł Wędrowycz z ustami pełnymi gwoździ.

– Już myślałem, że mnie przepijesz – powiedział Jakub z uznaniem, gdy kwadrans później siedli do śniadania.

Tomaszewski patrzył martwym wzrokiem na chleb i boczek. – Nu ty naraz zawołałeś, że teraz pokażesz mi, jak pije pismak z brukowca, ale zamiast pokazać rozsmarowałeś na kocu słoik musztardy, potem się w ten koc zawinałeś i wybiegłeś na podwórko nie otwierając drzwi...

Radosław z wysiłkiem pokiwał głową i nic nie powiedział.

– Rozumiem... – Wędrowycz popatrzył na niego krytycznym wzrokiem. – Trzeba klina... – Wyjął drugą butelkę karbidówki.

Tomaszewski wykonał gest, jakby chciał uciec, tym razem przez ścianę.

– Tylko spokojnie – mówił Jakub, zbliżając się z pełną musztardówką do przywartego do ściany pacjenta. – Albo się porzygasz, albo ci się rozjaśni we łbie, tak czy owak będzie lepiej...

Trafiło się to pierwsze. Poblądły dziennikarz zatykając dłonią usta wypadł na podwórko i zawisł na płocie. Tym razem przezorny Wędrowycz drzwi pozostawił otwarte.

Do miotanego nadciągającymi torsjami Tomaszewskiego zbiegło się stadko kur. Stały i patrzyły wyczekująco. Gdy chlusnął paw, rzuciły się wydziobywać resztki jedzenia. Przede wszystkim z towarzyszek, która podeszła zbyt blisko.

– Nigdy więcej potrawy z kury... – mruknął do siebie Radosław odzyskując humor.

– No, tośmy jednego demona wypędzili – skwitował egzorcysta na widok gościa wchodzącego do izby w znacznie lepszym stanie. Jeśli pominąć musztardę. – Możemy zaczynać od nowa...

– Nie, dziękuję, ja poproszę zsiadłego mleka.

– Mleka? – zafrasował się Wędrowycz. – Muszę poprosić sąsiadów... hm... co oni sobie o mnie pomyślą? Nu trudno, gość w dom... – Wstał i wyszedł.

Tomaszewski zabrał się za czyszczenie kurtki.

Jakub zapakował do torby osikowy kołek i młotek. Podostrzył bagnet na szlifierce.

– Tym razem go załatwię – mruknął cicho i mściwie.

– Kogo chcesz załatwić? – zapytał Tomaszewski.

Egzorcysta uśmiechnął się.

– Wisielca. Wolisz oglądać egzorcyzmy czy polowanie na kudłacza?

– Opis egzorcyzmów wydrukują mi na pewno, polowania nie jestem pewien – wyjaśnił Radosław. – W każdym razie wysłali mnie tu, bym zrobił reportaż z wiejskich egzorcyzmów.

Jakub zaszedł do szopy i wyciągnął parę czarnych oficerek trochę ponadgryzanych przez myszy.

– Trza lepsze buty założyć – oznajmił. Ściągnął gumofilce i odkleił od nóg onuce. Spod warstwy szarej szmaty błysnęły ogniszcze zielone, pocerowane skarpetki.

Tomaszewski uniósł brwi.

– Intensywny kolorek – zauważył.

– Hy. A ty wiesz właściwie co to za skarpetki? – W głosie Jakuba zabrzmiała duma. – Histeryczne! Mój tatko pracował w hotelu w Chełmie, jak zatrzymał się tam doktor Lasker.

– Ten słynny szachista?

– Właśnie. I widzisz, z podłogi gwóźdź sterczał, więc doktor depnął i rozwalił sobie nogę razem ze skarpetką. Potem rozerwaną i tę drugą, całą parę znaczy, bach do kosza na śmieci. A mój tatko wyciągnął. Szachiści chcieli od niego odkupić, ale on się zaparł, że nie. Zapiszę je w testamencie mojemu wnusiowi...

– Dużo z nich do tego czasu nie zostanie. – Tomaszewski przesiadł się, by być po zawietrznej.

– Nu, nieważne... – Egzorcysta zaczął wciągać but.

– A te buty też takie słynne? – zaciekawił się gość.

– Buty? Nie wiem. Może i tak, bo właściciel pisał się von coś tam...

– Skąd je masz?

– Zabrałem jednemu esesmańcowi, psia jego mać! Małą miał nogę, musiałem przez trzy miesiące lać do środka denaturat, zanim się dopasowały do mojej.

– Zabrałeś esesmanowi buty? I nie protestował?

– A czym miał protestować, jak mu najpierw upitoliłem głowę szablą? – W szlufki spodni Wędrowycz wsunął nowy, izolowany kabel i zakręcił go przy rozporku w fantazyjny węzeł. – Jak jesteś gotów, to możemy ruszać.

– No to w drogę. – Tomaszewski poderwał się rażno, poprawiając aparat fotograficzny.

Przeszli przez wieś, potem wdrapali się na wzgórze. Tu pod lasem rosło rozległe kartoflisko. Znaczy, już nie rosło. W ziemi widać było głębokie wyrwy, stratowane kartoflane

łęty poniewierały się wokoło. Gdźieniegdzie błyszczał bielą nadgryziony kartofel.

– Co tu się działo? Dziki weszły w szkodę?

– Nie dziki, tylko kudłacz – powiedział Jakub ponuro i splunął. – Wiele razy mówiliśmy tym z Dębinki, żeby ich lepiej pilnowali, ale gdzie tam. Śmieją się w żywe oczy, pokraki. Nu i chyba trzeba będzie kudłacza im skasować...

– Co to ten kudłacz? Niedźwiedź?

– Szkoda gadać. Póki nie zobaczysz, nie uwierzysz.

– Dokąd idziemy?

– Ano, po drodze do Dębinki jest wąwóz... nazywa się Szubienica. – Jakub skrzywił zrećźnie skręta z machorki i zaciągnął się aromatycznym dymem.

– Szubienica? Ciekawa nazwa.

– Ano, ciekawa i w pewnym sensie pamiątkowa – powiedział egzorzysta spluwając kawałkiem papieru pakowego, który wraz z cugiem dostał mu się do ust. – Koło Wojsławic są dwie takie, ale to po Żydach, co ich tam wieszali, a tu była grubsza spawa.

– Jak gruba?

– Ano, przyjechał taki durny inkwizytor żeby ochrzcić Dębinę. No i umyślił sobie, że najpierw musi powiesić kapłana.

I dureń go powiesił, choć moi przodkowie postulowali na stosie spalić, a popiół osikowym kołeczkiem... Nie posłuchał.

A teraz kapłan łązi nawet w biały dzień.

Tomaszewski pokręcił głową.

– Znaczy straszy?

– Ano, można tak powiedzieć. – Jakub znowu splunął. – Ludziska u nas mądre, wiedzieli, że kapłana trzeba zneutralizować, ale inkwizytor uparł się, żeby go powiesić, bo to niby większa hańba. No i miał za swoje. Coś mu krew wypłynęło drugiej nocy. No, ale potem Dębinę faktycznie ochrzczono. Więc tak jakby na jego wyszło...

– Zaraz, zaraz. Kiedy to było?

– Co było? – nie zrozumiał Jakub.

– No, ten chrzest w Dębinie?

– Gdzieś za Sobieskiego. Nasi pogonili pogan pod Wiedniem i lud tutejszy też chciał z pogaństwem powalczyć, no to poszli do Dębinki – wyjaśnił. – Żeby Sobieski baty zebrał, to do tej pory nic by pewnie z tego nie było. A tak świadomość religijna się rozbudziła i katastrofa.

– A ten kapłan?

– Co kapłan?

– Co to była za religia?

Wędrowycz odrzucił peta.

– No, taka tam, pogańska – cierpliwie tłumaczył. – Mieli taki, znaczy kamienny słup z

czterema gębami, po jednej z każdej strony, i przed nim ognie palili i dzieciaki zarzynali. Tak przynajmniej ludziska mówili – mruknął.

– Czyli tu jeszcze w końcu siedemnastego wieku byli prawdziwi poganie? – zapytał Tomaszewski po namyśle. – Jakim cudem się uchowali?

– A po lasach pewnie – wyjaśnił Wędrowycz. – Nu, nie miał ozorem. Niedługo będziemy na miejscu.

– Czekaj, bo potrzebuję do artykułu informacji... A ten wąwóz... Szubienica...

– To najkrótsza droga do Dębinki – powiedział Jakub niechętnie. – Bo można jeszcze od drugiej strony, groblą przez bagna. Tylko tam niebezpiecznie, bo szosa wąska. Jak wpadł kiedyś radiowóz, to go dopiero po pięciu latach ci ze wsi wyciągnęli.

– Kiedy straszy w wąwozie?

Egzorcysta westchnął.

– W wąwozie straszy zawsze o zmroku i w południe. Po zmroku to normalnie, duchy zawsze rozrabiają od zachodu słońca aż do wschodu, choć niektórzy twierdzą, że jak kur zapieje, to już nie. Kiedyś sam w to wierzyłem i mało się nie przejechałem. At, nieważne.

– A jak ten duch wygląda?

– A tego właśnie nie wiadomo. Opowiadali jeszcze przed wojną. Jechał kupiec z Dębinki, było południe, wjechał do wąwozu od tamtej strony, a z tej wybiegł tylko koń z wozem. Koń zupełnie zwariował. Bał się wszystkiego. Słońca, wiatru, wystarczył szelest, a ten kładł się na ziemi. No to go w końcu dobili, bo nie mogli patrzeć, jak się chudoba stracha.

– A co z kupcem?

– Ano przepadł bez śladu. Przeczesał nasi wąwóz, żadnego znaku, nic. Pogadali z tymi z Dębinki, ale oni mówili, że pojechał. Pewnie tym razem mówili prawdę, bo na wozie został towar i pieniądze, a oni by tego tak nie zostawili.

– Taka złodziejska wiocha? – zagadnął Tomaszewski.

– Jeszcze jak. – Jakub znowu splunął. – Potem był przypadek zaraz po wojnie. Dwaj aktywiści partyjni poszli nawracać małpy na komunizm.

– Jakie znowu małpy?

– A bo my tak przez złośliwość nazywamy tych z Dębinki – wyjaśnił egzorcysta. – No więc mieli pecha, poprzez wąwóz szli znowu w południe. Co tam zobaczyli, nie wiadomo. Jednego znaleźliśmy przed wieczorem, nie żył już. Lekarz mówił, że to serce, znaczy, zawał go powalił na miejscu. A drugi się znalazł na trzeci dzień. Siedział nad rzeką, w oczach pustka, siwy jak gołąbek i miał przewieszoną przez plecy pepeszę. Talerz pusty, znaczy, wywalił w coś całą serię, ale to nie pomogło. Zabrali go do Chełma, do szpitala dla wariatów, po kilku latach doszedł do siebie i napisał raport dla partii. Sugerował, żeby wieś i wąwóz zlikwidować bombą atomową. Nu, to potem znowu go do wariatów wsadzili. Potem wypuścili. Przyjechał tu i poszedł do Dębinki, przez las, naokoło. I nikt go więcej nie widział. Ci z Dębinki twierdzili, że nie doszedł, ale czy to prawda? Musi go zabili...

– A nie próbował nikt sprawdzić, co się tam dzieje?

– Ano, durnie tacy też byli. Tam w południe raczej wjechać się nie da, bo konie płoszy zaraz koło wejścia, ale jeden próbował traktorem. Znaczy, wrzucił dwójkę do jazdy terenowej, zablokował kierownicę i pedał od gazu, i pojechał.

To w wąwozie nie chciało go widać zabić, bo on po babce był z Dębinki ponoć, faktycznie morda trochę nie nasza.

Więc na początku zgasł mu silnik. Ale on się uparł. Następnego dnia silnik naprawił i pojechał. Gumę złapał. Dopiero na trzeci dzień wjechał do środka. No i nawet wyjechał po drugiej stronie. Tylko że dziwnie wyjechał. Traktor był okopcony, jakby przez ogień, a zegarek na ręce pokazywał, że on tam sześć godzin spędził, a nie dwadzieścia minut.

– Hmm. I co ciekawego opowiedział? – zainteresował się Tomaszewski.

– Nic nie powiedział, bo mu coś głowę urwało. I bebechy trochę bokiem wyciekły przez tę dziurę.

– Dziurę?

– No, pod żebrami miał taką ranę, jakby go koparka zaczepiła, ale to raczej nie była koparka, boby go z siodełka zrzuciło.

– Hmm. A ty, taki wybitny egzorcysta, nie próbowałeś przewąchać, co się tam dzieje?

– A co tu do wąchania? Kapłana powiesili, to on się teraz mści. Tych z Dębinki nie rusza, ale obcych kasuje jak leci.

Musi dusza spokoju nie może zaznać. Ale my ją uspokoiimy... – uśmiechnął się ponuro Jakub, macając przez płótno torby solidny osikowy kół.

– Daleko ten wąwóz?

Jakub zamiast odpowiedzieć pokazał. Stali u wejścia do potężnej debry, wymytej przez wodę w lessowych wzgórzach.

Na szczycie urwiska rósł gęsty, mroczny las. Przez wąwóz biegła droga miejscami utwardzana żużlem.

– No to co, idziesz pisać artykuł czy zawracamy? – zagadnął Jakub. – Jeszcze się możemy wycofać.

– Chodźmy – zdecydował się Tomaszewski.

Odważnie wkroczyli pomiędzy lessowe ściany. Na dnie było zupełnie cicho. Powietrza nie poruszał najlżejszy nawet wietrzyk. Ptaki umilkły.

– Wkrótce południe – powiedział Jakub. Z torby wyjął kuszę i naciągnął ją korbą.

– Ładna – zauważył Radosław. – Skąd ją wytrzasnąłeś?

– A kupiłem kiedyś od takich łebków, co się bawili w rycerzy. Sukinsyny dużo chcieli, ale dobra jest. – Egzorcysta położył na prowadnicy zastrugany osikowy kołek, a palce wygodnie oparł na spuście. – To tylko na wszelki wypadek. – Jego twarz przyozdobił szeroki, szczery słowiański uśmiech.

Nie uszli kilkudziesięciu kroków, gdy nieoczekiwanie obok drogi na żółtej powierzchni dna wąwozu zarysowała się rozległa rdzawa plama.

– Hmm – mruknął Jakub – co też to mogło być?

Przez chwilę kopał butem. Spod ziemi zaczęło wyłaniać się więcej szczegółów.

– Motocykl – zauważył Tomaszewski.

Wędrowycz kiwnął głową potwierdzając jego diagnozę.

– Czyli gdzieś tu musi być też motocyklista – powiedział.

Rzeczywiście, parę kroków dalej z ziemi sterczał kawałek skórzanej kurtki. Jakub wydobył z torby saperkę i zaczął kopać. Pod kurtką był motocyklista, a raczej to, co z niego zostało. A zostało niewiele. Dziennikarz pochylił się nad kupką kości. Jako pierwszą wygrzebał pamiątkę i zrudziałą legitymację prasową. Na okładce całkiem wyraźnie można było odczytać wytłoczony srebrnymi literami napis: Obłeśne Nowinki.

– To mój poprzednik zwolnił etat... – stwierdził popadając w zadumę. – Ciekawe, co też mu zaszkodziło?...

– Może nasz bimber? – rzucił od niechcenia Jakub.

– W czaszce jest dziura... – Tomaszewski uważnie oglądał szczątki. – To nie mógł być tutejszy bimber, chociaż, faktycznie, mocno łupie w czerep. Tu w robocie było narzędzie tępokrawędziaste, na przykład młot lub obuch siekiery, no, może dłuto... Czyżby ktoś chciał się dostać do mózgu?...

Ujął w dłoń kawałek kości udowej.

– Ta z kolei została rozłupana wzdłuż jakby dla szpiku... Wygląda na kanibalizm, ale na naszych ziemiach uprawiała go po raz ostatni kultura przeworska, gdzieś w drugim wieku naszej ery... – Dziennikarz sięgnął po aparat fotograficzny.

– Tylko że wtedy ludzie nie jeździli na motorach. – Jakub kopnął pogięte blachy wraku.

– Uśmiech, proszę... – Tomaszewski przesunął czaszkę tak, by żuchwa była bardziej na bakier.

Koło silnika błysnęło coś. Radosław schylił się szybko.

– Tylczak! – zawołał zachwycony. – Jaki piękny okaz.

– Coś ty tam znalazł? – Oczy Wędrowicza zabłysły chciwością.

– Kamienny grot od włóczni, chyba kultura oryniacka... Idealnie zachowany... Każde muzeum chętnie wzbogaci swoje zbiory. Na naszych ziemiach jak do tej pory znaleziono tylko kilka sztuk. Wiem, bo w zeszłym roku pracowałem jako kopacz na wykopaliskach. Douczyłem się przy okazji.

– To jakie to jest stare? – zagadnął Wędrowycz.

– Paleolit.

– A na nasze?

– Ma gdzieś sześćdziesiąt, no, może czterdzieści tysięcy lat.

Egzorcysta pokiwał głową.

– Nasi to zrobili?

– Niezupełnie, neandertalczycy.

– Ruszajmy dalej – ponaglił go egzorzysta. – Zbliża się południe...

Powędrowali dnem wąwozu. Jakub pilnie rozglądał się wokoło.

– Czego szukamy?

– Niedużego ceglanego fundamentu, który był kiedyś podstawą szubienicy – wyjaśnił Jakub. – Pewnie zostało z niego tylko parę cegieł... Ale znaleźć musimy.

W tym momencie Radosław pochylił się ponownie.

– I co tym razem? Eee, znowu kamień...

– Tłuk krzemieny, tak zwany pięściak. Bardzo masywny, też prawdopodobnie kultura oryniacka.

Jakub obejrzał znalezisko.

– Phi – mruknął pogardliwie. – Wywał w cholere. Jak byś chciał, to ładniejszych nazbieramy.

– Macie tu tego więcej?

– W Dębince na kopy się tego wała. Nu, my tu nie na badania archeologiczne przyszliśmy, tylko chciałeś mieć artykuł o egzorcyzmach.

– Wszystko mnie interesuje – mruknął Tomaszewski. – Charakter już taki, a i nie codziennie znajduje się tak cenne okazy...

– Znaczy ty z tych, co to ciągle z nosem w książkach siedzą? A nie szkodzi to aby na rozum?

– Wiedza jak spirytus, tylko tęgiej głowie służy...

Ruszyli naprzód. Jakub omiatał wzrokiem ściany wąwozu, a kusza dzierzona twardą spracowaną ręką obracała się za jego spojrzeniem.

– Kawalek cegły – zameldował jego towarzysz, który w poszukiwaniu kolejnych zabytków wciąż badał ziemię.

Wędrowycz z rezygnacją wzniosł oczy ku niebu.

– Chyba dość stara, bo są na niej takie rowki jak od palców. Chyba była ręcznie wygładzana. Ostatnie takie robiono u nas w czasie baroku, czyli za Sobieskiego.

Kawałków cegły pojawiało się stopniowo coraz więcej, aż wreszcie wśród leśnej ściółki zarysował się spory prostokąt.

– Mamy fundament – powiedział Wędrowycz. – To ani chybi domek kata, a szubienica pewnie była tam. – Wskazał gestem kilka cegieł tworzących coś w rodzaju kominka.

Pośrodku, w otworze tkwiły jeszcze resztki przegniłego drewna.

– Co teraz chcesz zrobić? – zapytał Tomaszewski.

– Ano, trzeba ustalić, gdzie tego bydlaka pogrzebano. Pewnie na zachód od szubienicy. – Wędrowycz wbił saperkę w pylisty lessowy grunt.

– Tu nie ma i tu też nie – mruczał coraz bardziej zdenerwowany, kopiąc fantazyjnie

pozawijaną transzeję.

Dziennikarz siadł wygodnie na fundamencie i zaczął rozglądać się po okolicy. Wszędzie było spokojnie. Ani śladu duchów albo upiorów.

– Nie śpij, bo ci głowę upitolą – poradził mu Wędrowycz. – Która godzina?

– Jedenasta trzydzieści. Sądysz, że duchy znają się na zegarkach? Dlaczego miałyby grasować akurat punkt dwunasta?

– Lepiej dla nas, żeby się znały...

– Może reagują na hejnał mariacki? – Tomaszewski dostrzegł dziwną sylwetkę siedzącą na drzewie po drugiej stronie wąwozu.

– Zobacz, małpa – zwrócił uwagę Jakuba. – Spora jakaś. Goryl czy co? Czyżby z cyrku uciekła? Może wyznaczono nagrodę...

Egzorcysta uniósł głowę i przez chwilę wpatrywał się w tajemnicze zjawisko.

– A, to – mruknął. – Eee, nic takiego. Człowiek, można powiedzieć.

– Gdzie tam człowiek, popatrz no, jak siedzi...

– Nie mędrkuj, tylko trochę pokop, podobno i na tym się znasz. – Wcisnął dziennikarzowi saperkę. – Ja będę pilnował.

Stary już jestem, kręgosłup boli...

Tomaszewski zabrał się do roboty, a jego towarzysz usiadł ciężko na murku i pociągnął niewielki łyk z bidonu, który miał za pazuchą. Kuszę na wszelki wypadek położył obok siebie, żeby mieć ją na podorędziu.

Radosław podniósł się i otarł pot z czoła.

– Nadal nic – powiedział. – O, więcej małp...

Na drzewach widać było już co najmniej pięć sylwetek.

– Która godzina?

– Za dziesięć dwunasta.

– Dobra. Chyba pora się zbierać. Wrócimy po południu i jeszcze popracujemy...

– Dziwne te małpy, bez ogonów...

– To nie są małpy – powiedział Jakub ponuro.

– Przecież ludzie nie chodzą po drzewach.

– To miejscowe łepki nam się przyglądają – wyjaśnił egzorcysta. – Nie widzieli jeszcze archeologów przy pracy, to ciekawość ich bierze.

– A czemu wyglądają tak pokracznie?

– Bo pod kurtki nawpychali kradzionych jabłek. Wracamy. Bierz jeszcze kuszę, ja dość się nadźwigałem.

– I nogi mają jakieś krzywe... – Dziennikarz ujął broń.

– To od alkoholizmu rodziców i braku substancji azotowych w glebie. W drogę!

Tomaszewski popatrzył dziwnie na towarzysza i bez słowa wsunął saperkę za pas. Skierowali się w stronę Starego Majdanu. W tym momencie zza zakrętu wyłoniła się

kilkunastoosobowa grupa pokracznych indywiduów, odcinając im powrotną drogę. Wszyscy mężczyźni mieli przyplaszczone dziurki od nosa, cofnięte brody, mocno zarysowane wały nadoczodołowe i bardzo niskie czółka. Szli powoli na pałkowatych nogach, przygarbieni. W potężnych owłosionych łapach trzymali kije bejsbolowe, pręty zbrojeniowe, gazrurki, widły, a najstarszy, całkiem posiwiały, dzierżył krzepko włócznię z kamiennym ostrzem.

Jakub szarpnął Tomaszewskiego za ramię, wyrywając go z poznawczego transu.

– Chodu!

Rzucili się do ucieczki przez wąwóz w stronę Dębinki. Pogoń, początkowo depcząca im po piętach, szybko została z tyłu.

– Kiepsko biegają na tych krzywych girach! – wysapał Jakub. – Na dłuższy dystans można sobie poradzić.

– Kurcze! – zawołał rozentuzjasmowany Radosław.

– Pewnie, że pokurcze – zgodził się Wędrowycz.

– Przecież to rasowi neandertalczyki! Jak z obrazka...

– Gdzie tam. – Jakub machnął ręką. – To od Czarnobyła się porobiło.

– Kamienne ostrza kultury oryniackiej też od Czarnobyła? O, w mordę!

– Upiór nie zaczekał na hejnal – stwierdził ponuro egzorcysta.

W poprzek drogi, pomiędzy ścianami wąwozu powietrze zafalowało jak od wielkiego gorąca. Droga przestała być widoczna, pociemniało. W drgającej tafli zamajaczył cień, raczej sylwetka...

– To jakby brama między światami... – stwierdził Tomaszewski. – Kto tam...

– Kuszę! – syknął Wędrowycz. – Wyłazi...

Dziennikarz nie zdążył oddać broni. Obłok mroku pomknął ku nim z niesamowitą szybkością.

– Strzelaj ty! – wrzasnął Jakub.

Tomaszewski, składając się do strzału, potknął się o koleinę i w chwili gdy naciskał spust, kuszą chybotnęło ku dołowi.

Warknęła cięciwa i osikowy kołek poleciał w ciemność. Zabrzmiało przeraźliwe, upiorne wycie, od którego mógłby zmącić się rozum, gdyby nie pobrzmiwająca w skowycie nuta bóleści. Falujące powietrze razem z postacią z mroku zwinęło się momentalnie w okrągły wir, ten skurczył się w punkt i zniknął. Znow było widać las i drogę przez wąwóz.

– Nu, więcej szczęścia niż rozumu – pokiwał głową zdeglustowany egzorcysta. – Dobrze, że kołek urokiem obłożyłem, boby poleciał Panu Bogu w okno.

– Przecież trafiłem i za...zabiłem. – Radosław dopiero teraz zaczął szczekać zębami ze strachu. – Zabił-łem dddemona!

– Ech ty, nie zabiłeś.

– Przecież trafiłem.

– Ale nie w głowę ani nie w serce.

– A gdzie? W brzuch?

– Jeszcze niżej. Strzał poniżej pasa, można by rzec...

– Osikowy kołek w... – Tomaszewski odruchowo pomasaował własne krocze. – O rany! I co teraz...

– A bo ja wiem? – wzruszył ramionami Wędrowycz. – O czymś takim nawet najstarsi egzorcyści nie słyszeli. Musi go jednak osłabiło, bo zniknął... Nu i dobrze.

Na drodze pojawiła się ścigająca ich banda.

– Potem będziemy myśleć. Chodu!

Znowu zostali prześladowców daleko w tyle. Potem zaszyli się w krzakach koło wylotu wąwozu i nasłuchiwali.

– To neandertalczyki! – oznajmił stanowczo Tomaszewski.

– Dobra – mruknął Jakub. – Powiem prawdę. To brakujące ogniwo. No i się odnalazło. Mało tego, właśnie szuka nas...

– Zawsze sądziłem, że to my mamy szukać brakującego ogniwa...

– Tak to już w życiu bywa – uśmiechnął się egzorzysta. – Nie koń do woza, to wóz do konia...

Krzewy zadrżały smagnięte dzikim skowyt. Znowu rzucili się do ucieczki. Po kilku minutach zatrzymali się na szczycie wzgórza. Z krzaków u podnóża zaczęli wyłazić neandertalczyki. W powietrzu świsnęła włócznia i upadła u stóp Tomaszewskiego. Podniósł ją do oczu i zdumiony wpatrzył się w ostrze.

– No i co tym razem? – zagadnął egzorzysta złośliwie.

– Znowu ostrze tylczakowe, tyle że z jakiegoś dziwnego kamienia...

– Pokaż. – Jakub ujął dzidę. – Ach, tak. To porcelanka od transformatora.

Dzikusy zaczęły wspinać się na pagórek.

– Won! – wrzasnął Wędrowycz. – Epoka paleolitu już się skończyła! Małpy na drzewa! Dziennikarze do pióra!

W odpowiedzi nadleciało kilka wulgarnych epitetów i kolejne włócznie.

– Cholera, to oni umieją po polsku? – zdumiał się Tomaszewski.

Zbiegli po drugiej stronie szczytu i ukryli się w krzakach na skraju wsi.

– A dlaczego mieliby nie umieć? – zapytał egzorzysta.

– Sądzi się, że neandertalczyki nie byli zdolni do wydawania artykułowanych dźwięków.

– To ty jesteś od artykułów, więc powinienes wiedzieć – mruknął Jakub. – Ale przez czterdzieści tysięcy lat zdążyli się widać nauczyć. Bluzgają nie najgorzej...

– Ciekawe, jaki mają iloraz inteligencji?

Jakub zamrugnął świńskimi oczkami.

– Co to jest iloraz? Bo o inteligencji słyszałem, tej pracującej miast i wsi, polityczni na pogadankach mówili...

Wystawił ostrożnie głowę z krzaków i kolejna dzida strąciła mu beret z antenką. Chyląc

się do ziemi, wbiegli pomiędzy chałupy.

– Mają szkło w oknach – zauważył Tomaszewski. – Tylko brudne te szyby, nieprzejrzyste jak dykta. Chyba od nowości ich nie myli...

– A coś ty myślał. Małpa, jak człowieka poobserwuje, to i spodnie założyć potrafi – zauważył filozoficznie jego towarzysz. – Pobiegniemy przez wieś, bo większość odcina nam drogę do wąwozu, i wyjdziemy na groblę. Nadłożymy ze dwadzieścia kilometrów, ale na wieczór będziemy w domu.

– Cała wieś neandertalczyków... – wysapał w biegu Tomaszewski. – To przecież niemożliwe! Ludzie by gadali!

– A gadali, gadali, ale nikt nam nie wierzył. Ani ci z powiatu, ani z centrali... O karwia!

Drogę do grobli odcinało im spore stado. Za plecami słyszeli tętent pościgu.

– Czego oni właściwie od nas chcą?! – zirytował się Tomaszewski.

– Zawsze mieli słabość do Homo sapiens, bo mamy smaczniejsze mózgi. Na dodatek ten upiór to miejscowe bóstwo, a ty go im sprofanowałeś... Do pałacu! – zdecydował.

Nie zdołali się przemknąć. Nim przebiegli sto kroków, ścigający osaczyli ich na środku wiejskiej ulicy. Byli z przodu, z tyłu i za płotami. Nie mieli gdzie dalej uciekać.

– Ot i wybiła ostatnia godzina... – westchnął Jakub odbezpieczając rewolwer.

W tym momencie Tomaszewski zrobił coś, czego egzorcysta w zupełności nie spodziewał się po miastowym mądrali.

Radosław jednym susem dopadł płotu i wyrwał sztachtetę.

– Zapomnieliście już o Crô-Magnon?! – wrzasnął rzucając się do ataku.

Neandertalczyki w popłochu umknęli na boki, zanim doszło do pierwszego starcia. Dziennikarz i egzorcysta przebiegli przez lukę w obławie i wydostali się za opłotki.

Na szczycie jednego ze wzgórz górujących nad okolicą sterczały dumnie ruiny sporego dworu. Niebawem uciekinierzy zatrzymali się na szczycie. Małpowaci wyleźli z domów i otaczali ich luźnym pierścieniem. Było ich kilkudziesięciu.

– Słuchaj, o co chodzi z tym Crô-Magnon? – zapytał Jakub, gdy tylko złapał oddech.

– To miejsce paleolitycznej bitwy pomiędzy Homo sapiens a neandertalczykami. Pierwszej bitwy w dziejach ludzkości.

Dla neandertali była ostatnia. Widać do tej pory mają kompleks...

– Znaczy, nasi wygrali, a co z małpami?

– Zostały zjedzone, jednak sądząc po śladach archeologicznych, smakowały także Chińczykom i Serbom. W serbskiej Krainie w jednej jaskini znaleziono kilkuset zeżartych neandertali...

– No, dobra. Musimy wytrzymać do nocy. Oni kiepsko widzą w ciemnościach. Wtedy spróbujemy się wymknąć – powiedział Wędrowycz.

– Nocą przez wąwóz? Sam mówiłeś, że tam straszy...

– Przejdziemy naokoło lasem, a upiór to pewnie już trochę się nas boi...

– Tam jest chyba kościół. – Tomaszewski wskazał gestem budynek ukryty wśród kasztanów.

– Ano jest – mruknął Jakub. – Tyle że nieczynny. Ostatniego proboszcza zjedli, a nowych jakoś kuria nie przysyła...

Widać żaden ksiądz się chwilowo nie naraził...

– To oni są katolikami?

– Formalnie tak. Po tym jak inkwizytor skasował kapłana, zostali ochrzczeni. Potem przyjechał pan dziedzic, nałożył na nich pańszczyznę i z pomocą hajduków zagonił do budowy kościoła. Zbudowali, a potem zjedli dziedzica i hajduków...

Co jakiś czas wieś kusiła i przed wojną osiadł tu jeszcze jeden dziedzic... A po wojnie wiadomo.

– Reforma rolna i zabrali mu ziemię?

– Reforma była neandertalska, ale z grubsza na to samo wyszło. Dziedzica zjedli, pałac spalili, a ziemię zabrali...

– Czekaj, bo jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne. Inkwizytor skasował tu kult Światowida?

– Nu, takiego bałwana z czterema głowami. Może to nawet był Swarozyc...

– Hmm. A dlaczego neandertalczyki wierzyli w Światowida?

Jakub westchnął ciężko.

– Aleś ty niekumaty. Widać Prasłowianie też ich nawracali...

Za pałacem widać było niewiele lepiej zachowane zabudowania gospodarcze, a pośród nich, w otoczeniu kilku wiekowych dębów stała kaplica w całkiem dobrym stanie.

– Tam się ukryjemy – wskazał egzorzysta. – Drzwi mocne, kraty w oknach. Jeśli nie podpalą, możemy się długo bronić.

Wbiegli do środka i zatrzasnęli solidne, dębowe wrota. Tomaszewski rozejrzał się dookoła. Kaplicę chyba jeszcze przed wojną zamieniono na skład maszyn rolniczych. Leżały pod ścianami w różnych stadiach zdezelowania. Niektóre wyglądały na sprawne.

Jakub zmierzył sobie puls i pociągnął z bidonka solidny łyk. Stanęli przy oknie i obserwowali ruchy wroga.

– Za stary jestem na takie zabawy – mruknął Wędrowycz. – Cholera, chyba nie napiszesz tego artykułu. Jak się wymkniemy, będą pilnować wąwozu...

– Nic nie szkodzi. To jest lepszy temat. – Tomaszewski wskazał gestem wioskę.

– Co, ta banda zawszonych australopiteków ma być lepszym materiałem na artykuł niż moje zdolności?! – obraził się Jakub.

W tym momencie, wybijając szybką w witrażu, wpadła do środka długa dzida.

– Tylko kijami umiecie machać! – wydarł się Jakub. – Za sto milionów lat ewolucji może się ucywilizujecie! Małpy!

W odpowiedzi rozległ się huk wystrzału... Ołowiana kula uderzyła o ścianę i potoczyła

się do ich stóp.

– Muszkietowa – zauważył Tomaszewski. – Trzeba przyznać, że niepokojąco szybko się cywilizują.

Jakub podrzucił kulę w dłoń.

– Albo mi się wydaje, albo słyszę silnik samochodu – powiedział.

Radosław uchylił wrota i ostrożnie wyrżał.

– To policja – powiedział z ulgą. – Chyba jesteśmy uratowani.

Wędrowycz pokręcił przecząco głową i splunął.

Radiowóz podjechał bliżej i zaparkował w pewnym oddaleniu od kaplicy. Teraz dopiero dziennikarz zobaczył, że pojazd jest pokryty rdzawymi plamami, jakby długo leżał w wodzie. Wysiedli z niego trzech neandertalczyki w policyjnych mundurach. Mundury wisiały na nich jak worki.

– To oni mają własną policję?

– Nie, tylko jak się tamci gliniarze zwalili z grobli, to ich po kilku latach wyciągnęli i postanowili zastąpić...

Tomaszewski w panice zatrzaskał wrota. Jeden z gliniarzy podszedł i zastukał.

– Jakub, to nie ma sensu – powiedział ochrypłym, gardłowym głosem. – Proponujemy ci układ...

– Czego? – zagadnął egzorcysta.

– Wypuścisz nam tego swojego kumpla do zjedzenia, a my darujemy ci życie.

– To oni nadal jedzą ludzi? – przeraził się Tomaszewski.

– Tylko rytualnie – uspokoił go Wędrowycz. – Nie częściej niż raz na kwartał...

– To jak będzie? – zapytał gliniarz.

– W życiu. To odważny człowiek – zaprotestował Jakub. – Nie może pozwolić, żeby zjedli go tchórze.

– Nie jesteśmy tchórzami – zaprotestował drugi z paleolitycznych gliniarzy. – My jesteśmy odważni!

Wędrowycz uśmiechnął się lekko.

– To udowodnijcie – zaproponował. – W rosyjską ruletkę.

– Dobra. Niech będzie i tak!

– Chcesz z nimi grać w rosyjską ruletkę? – zagadnął Radosław. – Dlaczego?

– To na tyle prosta gra, że są w stanie zrozumieć zasady. Poza tym mają genetycznie uwarunkowaną skłonność do hazardu... To dobra okazja, żeby ich wyeliminować...

Egzorcysta otworzył wrota i wpuścił całą trójkę do środka. Tomaszewski cofnął się głębiej w kąt, ale i tak obmacali go łakomymi spojrzeniami. Natychmiast zablokował drzwi.

Egzorcysta i policjanci usiedli na ziemi. Jakub wyciągnął swój obdrapany rewolwer.

– Pięć kul w bębunku, jedna pusta – zaproponował reguły.

– My i tak mamy tylko cztery...

– Spoko. Kule dostarczę ja.

Kiwnęli głowami. Tomaszewski przyglądał się im z profilu. Jak na neandertalczyków mieli chyba zbyt cofnięte czoła.

Homo erectus? A może jakaś krzyżówka?

Jakub wyłuskał z bębena jedną kulę, po czym zakręcił nim i przystawiwszy lufę do skroni pociągnął za spust. W ciszy kaplicy rozległ się suchy trzask iglicy uderzającej w próżnię.

– Teraz ty. – Oddał broń gliniarzowi.

Ten przystawił sobie lufę i do głowy i ostrożnie pociągnął cyngiel. Broń wypaliła i ciało runęło na bok. Wędrowycz wyłuskał ze stygnącej dłoni rewolwer i przyłożył ponownie do swojej skroni. Znowu iglica uderzyła w pustkę. Oddał spluwę kolejnemu. Tomaszewski zacisnął zęby oczekując strzału i nie pomylił się. Mózg chlapnął aż na ścianę.

– No i jak? Strach obleciał? – zapytał Wędrowycz ostatniego małpoluda.

– Mnie, strach?! – wściekł się neandertalczyk.

Przystawił sobie lufę do skroni i aby zademonstrować odwagę pociągnął za spust trzy razy pod rząd. Dwie kule dosięgły celu. Trzecia zrykoszetowała od złomu w kącie.

Gdy ustały drgawki, Jakub wstał i odebrawszy wierną broń, troskliwie ją załadował, po czym wetknął za pasek.

– Masz wyjątkowe szczęście – powiedział Radosław, a w jego głosie szacunek graniczył z osłupieniem. – To statystycznie niemal niemożliwe...

– Szczęście? – zdziwił się Jakub. – Zawsze mówiłem, że statystyki to najgorsze kłamstwa.

– Prawdopodobieństwo, że wyjdiesz z tego żywy, było jak 1 do 206.

– Hy, hy – roześmiał się egzorcysta, a potem rozdziawił usta i podważył językiem sztuczną szczękę. Proteza klapnęła o zęby, wydając dźwięk, który do złudzenia przypominał odgłos iglicy uderzającej w pustą komorę. – Szczęściu czasem trzeba pomagać – powiedział z wyższością.

Podszedł do rozbitej głowy jednego z małpoludów i rozgarnął mózg czubkiem buta.

– Tak jak myślałem. Za mało szarych komórek – powiedział. – Dobra. Umiesz prowadzić glinowóz?

– Jasne.

Wędrowycz grzebał przez dłuższą chwilę po kieszeniach nieboszczyków. Wyciągnął zardzewiałą policyjną blachę, unieruchomiony przez korozję pistolet, ale kluczyków nie znalazł. Nieoczekiwanie wrota zadrżały jak uderzone taranem. Tomaszewski wspiął się do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Maczuga ciśnięta jakąś zbrodniczą łapą zafurkotała mu nad głową.

– Chyba atakują – powiedział. – Przydźwigali skądś belkę, taką jak od wrót stodoły...

– Pomóż. – Jakub złapał pod pachy pierwszego nieboszczyka. – Oknem go!

Wyrzucili.

Z zewnątrz buchnął dziki skowyt.

– Czy to rozsądnie? Teraz dopiero się wściekli.

– To okrzyki radości – mruknął ponuro Jakub. – Bierzymy się za następnego...

Parę minut później siedzieli na posadzce usiłując piaskiem zetrzeć posokę z dłoni.

– Co dalej? – zapytał Radosław.

– Czekamy. Do rana nas nie ruszą, a jak się najedzą, to może pójdą spać... Kluczyki pewnie są w drzwiczkach albo w stacyjce...

– Najedzą?

– A wyjrzyj sobie oknem. I fotografii możesz trochę zrobić do artykułu.

Tomaszewski wyjrzał i pozieleniał. Omal nie wypuścił z rąk aparatu fotograficznego. Jakub zerknął mu przez ramię.

– Nu, pełna cywilizacja... – stwierdził. – Musieli gdzie w telewizji podpatrzeć. – A co ty, miastowy? – Szturchnął oniemiałego towarzysza. – Nigdy nie widziałeś wątróbki z grila?

Pięćdziesiąt metrów od kaplicy rozstawiono trzy wielkie, ogrodowe grille. Musiały być nowe, bo nawet z daleka lśniły niklem i świeżą farbą. Wokół uwijało się kilku małych z miechami. Paru przygarbionych kucharzy fachowo ćwiartowało ciała niedawnych przeciwników Wędrowycza. Wątroby już dymiły na rusztach. Ci, dla których nie starczyło zajęcia, krążyli dookoła budynku potrząsając bronią i pohukując. Pewnie był to rytualny taniec. Zanosilo się na porządną, całonocną imprezę.

Tomaszewski opanował drżenie rąk i robił jedno zdjęcie po drugim. Tańczący musieli to zauważyć, bo nagle pojawiło się kilku neandertali trzymających włócznie oraz nieco krótsze kije zakończone pętlami z szerokiego rzemienia.

– Mają miotacze oszczepów – stwierdził dziennikarz. – Dodatkowa dźwignia, przedłużająca ramię i zwielokrotniająca siłę uderzenia...

Wędrowycz spojrzał z uwagą.

– Wiem, co to jest, a ty schowaj tę swoją mądrą głowę!

Zniknięcie obu celów oblegający przyjęli wyciem zawodu, ale z demonstracji siły nie zrezygnowali. Naraz rozległ się potężny łomot i trzask pękającego drewna. Włócznia z krzemiennym grotem z łatwością przebiła grube, dębowe drzwi kaplicy i utknęła w nich w połowie długości drzewca. A po sekundzie tuż obok wyszedł drugi i trzeci pocisk.

Tomaszewski podszedł bliżej i popatrzył na kamienne ostrza.

– O, znów tyłczak oryniacki – stwierdził. – A to będzie chyba kultura magdaleńska...

Trzeciego grotu zidentyfikować nie zdążył. Wędrowycz złapał go za kołnierz i szarpnął do tyłu. Czwarta włócznia przeleciała w całości przez nadwątloną poprzednimi pociskami deskę, przemknęła dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą stał dziennikarz i utknęła w resztkach snopowiązałki.

– No tak... – Tomaszewski wyraźnie się zdenerwował. – Skoro to był pokaz szczytowych możliwości techniki paleolitycznej, w wykonaniu Homo neandertalis, wypadaloby odpowiedzieć czymś na miarę gatunku Homo sapiens!

Zaczął krążyć po kaplicy, uważnie przepatrując wszystkie kąty i grzebiąc w rupieciach. Na zewnątrz uczta trwała w najlepsze..

– O, proszę! – zawołał Radosław po kwadransie. – Stary napęd elektryczny do maszyn gospodarczych. Chyba jeszcze z początku XX wieku... – Przetarł rękawem tabliczkę znamionową. – Silnik bocznikowy prądu stałego... – odcyfrował. – Doskonale! Gdyby tak jeszcze mieć zasilanie... Wtedy musiała być do tego lokomobila z prądnicą..

– Prąd mają tu. – Jakub wskazał gniazdo na ścianie kaplicy. – Jak była elektryfikacja, to ze zjedzeniem monterów zaczęli, aż skończą robotę.

– To prąd zmienny, trójfazowy... – Tomaszewski popatrzył na instalację. – Bez prostownika ani rusz... – myślał głośno. – Gdyby jednak znalazł się półprzewodnik...

Wędrowycz bez słowa zaczął wysupływać kabel podtrzymujący mu spodnie.

– Mogę ci dać połowę... – zaofiarował się.

– Nie o to chodzi – powstrzymał go dziennikarz rozglądając się dookoła. – Skoro to kaplica, powinna być w niej krypta?

– Tam jest wejście – pokazał Jakub.

– Są w niej miedziane trumny?

– Są.

– Dobra nasza! – Dziennikarz zatarł ręce. – Potrzebny będzie witraż, miedziane wieko od trumny i małe ognisko! Masz nożyce do metalu?

– Mam. – Egzorcysta sięgnął do torby.

– To do roboty!

Pracowali bez wytchnienia przez popołudnie i całą noc. Przygotowania zakończyli po świcie, tuż przed wschodem słońca. W porę, bo oblegający zaczęli się już zwoływać do szturm.

– Silniki bocznikowe prądu stałego wycofano w użycia, bo miały jedną paskudną wadę – tłumaczył Tomaszewski. – Rozbiegały się.

– Jak króliki?

– Jeśli przypadkiem przerwano uzwojenie stojana, prędkość obrotowa zaczynała wzrastać teoretycznie do nieskończoności. Praktycznie siły odśrodkowe rozrywały silnik, zanim do tego dochodziło.

– Wybuchaly, znaczy, same z siebie? – sprecyzował Jakub.

– No właśnie, i na tym polega nasza niespodzianka...

Kończyli już wiązać łańcuchami brony, pługi i zardzewiałe kosy, którymi obłożyli przygotowany do rozruchu silnik.

Wędrowycz wetknął w to wszystko jeszcze kilkanaście zebranych po kątach podków.

– Na szczęście – powiedział krzywiąc się paskudnie. – Tylko jak my wyjdziemy z tego cało?

– Nic nam się nie stanie, jeżeli będziemy stać dokładnie za silnikiem. Siły odśrodkowe rozrzucają całe żelastwo na boki.

– Dobra, podłączaj te swoje kanapki! – Jakub pokazał na prostownik zrobiony z wyżarzonych w ogniu miedzianych płytek, poprzekładanych plasterkami ołowiu ze stopionych witraży. – Tamci zaraz zaczną!

– Uwaga, na drutach nie ma izolacji! Wsadziłeś gwoździe zamiast bezpieczników?

– Rób swoje! – Jakub odryglował drzwi.

Tomaszewski zetknął druty, które trzymał przez szmaty. Sypnęły skry, a nieoliwiony od co najmniej pół wieku silnik zaskrzypiał przeraźliwie, zadymił i zaczął się kręcić. Wędrowycz szeroko otworzył wrota.

– Hej, małpy, technika do was przybywa! – przekrzyczał jazgot silnika i pomógł Tomaszewskiemu wytoczyć na zewnątrz piszczącą i dygoczącą maszynę.

Postawili silnik o pięć kroków za progiem, bo dalej nie starczyło improwizowanych kabli.

– Do tyłu! – syknął Radosław.

Stanęli dokładnie za silnikiem, który chwilowo osłaniał ich przed ewentualnymi pociskami. Gromada neandertalczyków stłoczyła się półkolem przed wejściem do kaplicy. Wyraźnie wahali się zbliżyć do jęczącej kupy żelastwa.

– Muszą podejść bliżej – mruknął Tomaszewski.

– Małpy! Tchórzliwe małpy! – wrzasnął Jakub ile tchu w płucach. – Zaraz wszystkie uciekniecie!

Horda neandertali z rykiem runęła do kaplicy. Radosław rozłączył dwa z czterech przewodów połączonych z silnikiem.

Dokuczliwy pisk pracującej maszyny przeszedł w narastający, rozsadzający uszy, wręcz urywający głowy piekielny wizg. Zakołysała się ziemia, a doprowadzające prąd druty w okamgnieniu rozpały do czerwoności. Silnik zaryczał jak startujący odrzutowiec, podskoczył w górę i zamienił się w kulę skłębionych błyskawic, płomieni i iskier. Huk pękającego metalu zlał się w jedno z chrzęstem rozcinanego mięsa i wyciem neandertalczyków.

– Wiejemy!!! – Wędrowycz z rewolwerem w ręku skoczył w środek jatk.

Za nim ruszył Tomaszewski z saperką. Z tyłu, z prostownika zbudowanego własnym przemysłem trysnął fontanną stopiony ołów. Huknął strzał z rewolweru. Neandertalczyk z odrąbanymi obiema nogami i bez jednej ręki, ocalała dłoń chwycił za kostkę biegnącego dziennikarza. Radosław uwolnił się, tnąc go saperką w kark. Wędrowyczowi nogi zaplątały się w wyprutych jelitach i stracił równowagę. Byłby zginął, ale małpowatemu, który szykował się do zadania ciosu bejsbolem, skutek zbyt gwałtownego ruchu wypadł mózg z rozłupanej głowy. Rozchlapując krew i inne płyny ustrojowe, obaj przyjaciele wydostali się z drgającej

masy ciał i dopadli samochodu. Kluczyki istotnie były w stacyjce.

Tomaszewski zapalił silnik, a Jakub strzałami z rewolweru pozbył się kilku natarczywych niedobitków. Ruszyli. Z nieba dopiero teraz zaczęły spadać podkowy.

Samochód niemiłosiernie podskakiwał na wertepach. Wkrótce dotarli do wylotu wąwozu.

– Popatrz do tyłu, bo nie ma lusterka – mruknął Radosław. – Nie gonia nas?

– Najpierw musieliby poprzyszywać sobie nogi.

– Ci, co przeżyli, chyba nie dadzą rady przejeść reszty...

– Zrobią weki.

Tuż koło szubienicy droga biegła pod konarami rozłożystego dębu. Tomaszewski dodał lekko gazu. W tym momencie coś łupnęło w dach.

– O cholera! – zaklął.

Przerdzewiały sufit napiął się i nieoczekiwanie rozdarł z chrzęstem. Do środka pakowała się łapa uzbrojona w pięściak.

Wędrowycz uniósł rewolwer i pociągnął za spust. Rozległ się skowyt i łapa zniknęła. Samochód podskoczył na kolejnym wyboju.

– Małpa z wozu, koniom lżej – powiedział egzorcysta wesoło. Przemknęli przez feralny wąwóz. Na skraju lasu porzucili auto i pieszo dotarli do domu Jakuba. Tomaszewski popatrzył na zegarek. Szósta rano. Pora spać...

Wieczorem na podwórzu Wędrowycza zebrał się spory tłum.

– A co to za zbiegowisko? – zdziwił się gospodarz wychodząc z chałupy. – Czego, ludziska, chcecie?

Przed gromadę wyszedł sołtys.

– Jakub, myśmy zebrali pieniądze na kudłacza.

– A, faktycznie – mruknął. – Semen wspominał.

– Chłopaki z pochodniami już czekają. Urządzimy nagonkę. Jak za dawnych czasów. Drewno na opał, pręty na rożen, zioła, chleb i kartofle już naszykowane. Parę flaszek też się znajdzie...

Jakub uśmiechnął się do swoich wspomnień...

– Balanga – mruknął.

– Tak. Jak w osiemdziesiątym pierwszym. Pamiętasz, jak gliniarze piekli...co... na koksowniku? Poświętujemy sobie tej nocy.

– Gdzie jest? – Jakub przeszedł do konkretów.

– Po południu buszował u mnie w malinach – powiedział ponuro ktoś ukryty w tłumie.

– A teraz dobiera się do mojego silosa z rzepakiem – uzupełnił równie ponuro ktoś inny.

– Pożycz tego tylczaka – zagadnął Jakub Tomaszewskiego.

Dziennikarz wyjął z torby grot od włóczni.

– Semen! – zawołał kłusownik.

– Tu jestem. – Stary kozak przepchał się przez tłum.
– Skocz do swojego tartaku po piły. Weź ze dwie łańcuchowe, to szybciej pójdziesz.
– Już naszykowane. Czekałiśmy tylko na ciebie... Żeby nie zaczynać roboty bez fachowca.

– Masz jakiś mocny flesz? – zapytał Wędrowycz Radosława.

Ten kiwnął głową.

– To zabierz ze sobą. Dzieciakom fotek na pamiątkę narobisz, to kupę forsy pałuczysz.

Jakub wyniósł z szopy długie drzewce i drutem przymocował do niego znalezione w wąwozie krzemienne ostrze.

Potem przypasał szablę.

– Naprzód! – zakrzyknął.

Ruszyli przez wieś.

– Nagonka, zapalić pochodnie. Pięćdziesięciu dołem, a reszta niech go otoczy z drugiej strony. Kombatniści!

– Jestem!

– Leć po maszynę. Jak by chciał przedrzeć się w stronę lasu, wąwozem, to postraszysz go kombatniem.

– Tak jest!

– To wy na dziki chodźcie taką bandą? – zdumiał się Tomaszewski.

– Jakie dziki? – nie zrozumiał Jakub.

– No, tego kudłacza... Chyba, że to niedźwiedź?

Egzorcysta parsknął śmiechem.

– Dziwi? Cholera, też masz pomysły... O, jest kudłacz!

Wielki kudłaty mamut właśnie poradził sobie z pokrywą silosu i zanurzył trąbę w rzepaku.

– Cofnij się i rób zdjęcia! Chcę być w gazecie – przykazał surowo kłusownik.

Pomiędzy chałupami pojawiła się nagonka z pochodniami.

– Oj, będą trupy – mruknął Tomaszewski.

– No, czasem się zdarza – westchnął Jakub. – Choć kudłacz zazwyczaj boją się ognia... Chyba, że trafi się jakiś naprawdę złośliwy.

Ruszył śmiało naprzód, potrząsając włócznią. Mamut zauważył go. Nabrał trąbą rzepaku i dmuchnął w stronę wroga.

Egzorcysta przedramieniem osłonił oczy przed gradem pocisków i pchnął włócznią przed siebie. Mamut obejrzał się, zabawnie kuląc uszy. Nagonka obstępowała go ze wszystkich stron. Zatrąbił wściekle, chwycił trąbą pokrywę elewatora i miotnął w najbliższych stojących. Zakotłowało się, a rozpaczliwe wrzaski świadczyły, że nie wszyscy wyjdą z walki bez uszczerbku. Jakub wykorzystał chwilę nieuwagi i ukłuł mamuta w owłosioną pierś. Kudłacz zaryczał i machnął trąbą. Staruszek wbiegł mu między nogi i z niebywałą zręcznością przeciął

szablą ścięgno na lewej zadniej.

Zwierzę zatańczyło wściekle, usiłując go rozdeptać. Dźgnął je włócznią w brzuch i przeciął kolejne ścięgno. Zwierz stojąc na dwu całych nogach spróbował dosięgnąć go trąbą, ale Wędrowycz pacnął ją włócznią i wykorzystując moment zaskoczenia przeciął jeszcze jedno ścięgno. Zwierzę zachwiało się.

Kudłacz zatańczył na pokaleczonych nogach usiłując rozdeptać namolnego dwunoga. Wreszcie, nie mogąc go inaczej dosięgnąć, usiadł z rozmachem – prosto na podstawioną dziedę. Tomaszewski w pierwszej chwili pomyślał, że Jakub zginął, ale zobaczył go obok. Mamut wydał bolesny skowyt, a Wędrowycz doskoczył i jednym pchnięciem wbił mu szablę przez ucho do mózgu. Zwierzę zatrąbiło po raz ostatni i zwało się na bok. Wokół rozległy się okrzyki radości.

Jednocześnie powietrze przeszły trzask desek odrywanych od płotów.

Jakub uśmiechnął się i wyciągnął zakrwawioną klingę.

– Raz jeszcze udało się przeżyć – powiedział z zadowoleniem.

Po zboczcu ściekała kropla gęstej czerwonej krwi.

Wielkie kawały mamuciny piekły się na rożnach zaimprovizowanych z prętów zbrojeniowych. Kobiety posypywały mięso ziołami, mężczyźni przynosili butelki z mętną zawartością. Semen wędrował wzdłuż cielska z piłą łańcuchową i odcinał ładne, grube kawały mięsa. Na chwilę przerwał wędrowkę i odpiłował oba zagięte siekacze. Tomaszewski wstał nieco chwiejnie od stołu skleconego z wrót od stodoły i podszedł do Jakuba, który akurat sączył z lubością jakiś płyn czerpany kubkiem z blaszanego kanistra.

– Dręczy mnie jedno pytanie – powiedział.

Brwi egzorzysty uniosły się.

– No, pytaj.

– Skąd wiedziałeś, jak się poluje na mamuty? Przecinanie ścięgien stosują Pigmeje z Kamerunu, kiedy polują na słońa...

Jakub popatrzył na niego zdziwiony.

– Dziadek mnie nauczył... – wyjaśnił. – Chociaż trzeba oddać sprawiedliwość tym z Dębinki, że miotacze oszczepów to lepszy sposób. Tak wyrzucone włócznie wchodzi w kudłacza jak w masło i nie trzeba zbyt blisko podchodzić. Ech, było nam pożyczyć sprzęt, jak nadarzyła się okazja, ale w całym tym zamieszaniu nie pomyślałem. Ano, trudno...

– Często macie tu takie atrakcje?

– Kiedyś kudłacze wchodziły częściej w szkodę. Jeszcze przed wojną było ze dwadzieścia sztuk, ale teraz może zostało już tylko parę. Trochę łykowate to mięso, bo stary był... Dziadunio dziesięć położył... Kość sprzedawaliśmy do Radomia do fabryki pianin...

W tej chwili pomiędzy chatami zabłysło złowróźbne błękitne światło. Zbliżało się pulsując. Wreszcie koło stołu zatrzymał się radiowóz. Trzasnęły drzwiczki i z wnętrza wygramolił się Birski.

– No, Jakub – powiedział. – Co to za imprezka? Mi to wygląda na nielegalne zgromadzenie i konsumpcję mięcha z kłusowniczego uboju...

– Siadaj z nami – Jakub nalał mu kubek. – I nie miel ozorem.

Birski minął go obojętnie i podszedł do powalonego kudłacza.

– Co to jest? – odwrócił się poblady.

Jakub uśmiechnął się bezczelnie.

– To jest urojenie maniakalne – powiedział.

Policjant klepnął pokrytą futrem nogę.

– Hmmm. To zwierzę jest materialne, więc nie może być urojeniem...

– Napij się – Jakub podał mu kubek – i zapamiętaj sobie raz na zawsze. Włochatych słoni nie ma.

– No, faktycznie nie ma. – Uspokojony gliniarz wychylił kubek, a potem przysiadł się do stołu.

Jakub nalał mu kolejną porcję.

– Do rana zapomni, jak się nazywa – powiedział do Tomaszewskiego. – Zresztą jak by zapamiętał, to i tak nikt mu nie uwierzy... Tobie w redakcji też nie uwierzą...

– W tej gazecie w nic nie wierzą, nawet w dowody. – Radosław klepnął aparat fotograficzny.

Do rana mamut był już prawie zjedzony. Dziennikarz i egzorcysta szli objęci na przystanek pekaesu. Grupki ludzi ciągnęły do domów niosąc spore ochłapy mięsa.

Nad Starym Majdanem powoli wstawał świt. Spokojny jesienny świt końca dwudziestego wieku. Gdzieś za wzgórzami neandertalczyki lizali rany i peklowali wędliny... Pomiędzy chałupkami niosła się pieśń:

Do widzenia, już idziemy

Za kolędę dziękujemy

Ażebyście zdrowi byli

Wiaderkami wódkę pili

A kubkami nabierali

I do gęby przytulali...

Radosław Tomaszewski poczuł się szczęśliwy. Co najmniej tak szczęśliwy jak Jakub Wędrowycz, egzorcysta, kłusownik, bimbrownik, pogromca ostatniego kudłacza na świecie, no, może przedostatniego albo przedprzedostatniego. Nieważne. Grunt, że teraz to już na bank dadzą mu etat w Obleśnych Nowinkach. Trzeba będzie tylko wymyślić bajeczkę o tym, jak udało mu się spreparować tak przekonujące zdjęcia. Najlepiej powiedzieć, że w roli mamuta wystąpił lokalny zespół folklorystyczny...

TAJEMNICA KWAŚNEGO SAMOGONU

Jakub Wędrowycz z zadowoleniem wtoczył do szopy żelazną stulitrową beczkę po paliwie.

– Kurde – mruknął z uznaniem Józef siedzący w kącie.

Jakub wstawił pojemnik na parnik, zazwyczaj służący do gotowania kartofli dla świń. U powały zawiesił wiadro. Wewnątrz wspawano zwiniętą w sprężynę miedzianą rurkę. Napęłnił je lodem wyprodukowanym za pomocą lodówki.

– Hy! – ucieszył się Semen.

Z pokrywy beczki Wędrowycz wyprowadził rurkę. Podłączył ją do górnej części chłodnicy. Z dołu wybiegała kolejna gumowa rurka, kończąca się w kance na mleko. Egzorcysta wyjął z kieszeni zapalniczkę Zippo i zapalił drewno w parniku.

– Ładna zapalniczka – zauważył kozak. – Skąd ją masz?

– Z ręki – wyjaśnił Jakub.

– Z jakiej ręki? – zdziwił się jego przyjaciel.

– No, leżała na podwórku ręka. Patrząc, coś błyszczy. No to odgiałem paluchy, patrząc, a tu zapalniczka – wyjaśnił Jakub.

– Tak sobie tam leżała?

– No, najpierw to ją odciąłem takiemu frajerowi w dresie – odparł Jakub. – I jeszcze telefon zdobyłem – pokazał rozładowaną komórkę. – Myślał, że jak ma pistolet, to się może dobrać w nocy do mojego złota...

Splunął w kąt, gdzie pomiędzy śmieciami wznosił się kopczyk świeżo zruszonej ziemi.

Dołożył jeszcze drewek i na wszelki wypadek przygniótł pokrywę beczki kamieniami. Ogień buzował, zacier powoli zaczął się rozgrzewać. Egzorcysta przyłożył ucho do wiaderka.

– Za pięć minut zacznie kapać.

Podreptał do chałupy, skąd przyniósł oskórowaną już psią nogę, deskę i nóż rzeźnicki. Mięso zręcznie pociachał w kostkę. Semen sięgnął po leżące w kącie koło rowerowe. Wyłamał z niego kilka szprych i ponadziewał na nie mięso, przekładając kawałki plasterkami cebuli.

– A piesek skąd? – zaciekał się Józef, ostrożnie wkładając szprychy w żar.

– Bezpański – wyjaśnił Jakub. – Przybłąkał się.

– A gliniarze z Wojśławic wywiesili ogłoszenia, że jakiś został im skradziony. Rottweiler był?

– A niech go na przyszłość lepiej pilnują – warknął egzorcysta. – To znaczy chciałem powiedzieć – następnego.

Dwadzieścia minut później przyjaciele pili już przyjemnie ciepły bimber i zagryzali szaszłykami. Jakub zacisnął właśnie szczęki na soczystym kawałku, gdy coś chrupnęło.

– Kurde – warknął, wypluwając na ziemię srebrny kawałek. – Psa gliniarze drutem nadziewają. Mało zęba nie złamałem.

Semen podniósł detal.

– To mikroprocesor do oznaczania zwierząt – powiedział. – Czyli jednak pies był gliniarski.

Stuknęli się szklankami. Było już dobrze po północy i Semen chrapał głośno na klepisku. Egzorcysta wypił jeszcze szklankę i też zamknął oczy. Zasypiał z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. W kance na mleko drzemało 20 litrów niebiańskiego płynu. Będzie zapas na dobry tydzień.

Obudzili się wczesnym rankiem.

– To co, chlapiemy małego na rozbudzenie? – zaproponował Jakub.

– Chlapiemy – kiwnęli głowami kumple. Rozdmuchali żar i przypiekli niedojedzone wczoraj mięso. A potem zaczerpnęli szklankami gorzałki. Józef przełknął łyk i skrzywił się strasznie.

– Kurde, Jakub, to jest skisłe!

– Głupi jesteś, wódka nie kiśnie – warknął Semen. A potem sam spróbował.

– Cholera – mruknął. – Kwaśne! Wędrowycz też łyknął trochę.

– Jasny gwint – mruknął. – Siedemdziesiąt lat pędzę bimber a, jeszcze mi takie świństwo nie wyszło. Ale to chyba niemożliwe... Wino rozumiem, może skwaśnieć, ale wódzia?

– Co z tym? – Józef z tęsknym wyrazem twarzy stuknął kanę.

Była tak przyjemnie pełna...

– Do rowu – zdecydował z bolesnym westchnieniem Jakub. – Za tydzień zrobimy nową porcję – pocieszył kumpla.

Następnej soboty znowu siedzieli koło parnika. Na szprychach piekły się kawałki „bezpańskiego” kurczaczka. Z rurki sterczącej z wiadra ciurkało. Egzorcysta ciągle był mrukliwy.

– Nie przejmuj się Jakub – uśmiechnął się Semen.

– Każdemu może nie wyjść.

– Ale kwaśna woda... – jęknął egzorcysta. – To przecież niemożliwe...

– Za to teraz jest pierwsza klasa – Józef już kosztował.

– Ale dlaczego rzeczy kisa? – zapytał Jakub kumpla.

– Jesteś uczonym człowiekiem, więc powinieneś wiedzieć takie rzeczy...

Semen poskrobał się po głowie.

– Cholercia, czegoś tam mnie o tym uczyli na uniwersytecie, ale to było sto lat temu...

Nie pamiętam już.

– Moja babka mówiła, że mleko robi się zsiadłe jak krasnoludek nasika – wyjaśnił Józef.

Stary kozak parsknął śmiechem.

– Zabobony – powiedział. – Chrzańmy kiszenie. Napijmy się.

Jakuba obudził podejrzany szmer. Słońce już powoli wstawało. Na belce nad otwartą kanką stał krasnoludek i rozpiął rozporek. Jakub od dobrych dwudziestu lat nie widział żadnego karzełka, ale po prawdzie nigdy nie zwracał na nie uwagi.

– Otóż to – pomyślał.

A potem wydobył z kieszeni zardzewiały rewolwer.

– Cześć krasnoludek – warknął celując w nieoczekiwanego gościa.

– Witaj gospodarzu – uśmiechnął się skrzat. – Kawalek ciasta w nagrodę się znajdzie?

– Ja ci dam nagrodę – mruknął egzorcysta podchodząc bliżej.

– Ty, nie wyglupiaj się z tą pukawką – zaprotestował mały wyjmując ptaszka z rozporka.

– Ty masz swoją robotę a ja ci w tym pomagam.

– Jak to pomagasz brodaty pokurczu! – zawył Jakub.

– Dwadzieścia litrów gorzały mi spaskudziłeś i jeszcze następne dwadzieścia chcesz zniszczyć? – szturchnął go lufą w brzuch aż krasnoludek zatoczył się.

– Jakiej gorzały? – nie zrozumiał

– Tydzień temu niemoto... Naszczałeś mi do kanki!

– No. Ale to przecież mój obowiązek – obraził się krasnoludek. – Trzeba ludziom pomagać. Sikamy, żeby było zsiadłe mleko... Widzę kanka pełna, no to sikam...

– Ty młocie – egzorcysta odeszła nagle cała złość.

– Ja w kance trzymam bimber, a nie mleko...

– Bimber? – zdziwił się skrzat. – A co to jest?

– Wy krasnoludki powinniście wiedzieć! – zdziwił się gospodarz.

– Ale ja ostatnie dwieście lat mieszkalem w lesie. Dopiero się etat we wsi zwolnił i od dwu tygodni wam pomagam... – westchnął krasnal. – Jeszcze nie wszystko kapuję...

Wędrowycz schował splotkę, a potem przestawił skrzata na pień.

– To jest szaszłyk – pokazał mięso leżące na talerzu.

– To kiszony ogórek...

– To wiem. Do beczek z ogórkami już sikałem – mały poprawił czapkę.

– A to bimber...

Jakub z kieszeni wyciągnął naparstek i zanurzwszy go w kance podał nowemu

kumplowi.

– Ale co to jest? – krasnoludek powąchał ciecz. – Co się z tym robi?

Oczy zaszkły mu łzami.

– To jest najważniejszy wynalazek ludzkości – wyjaśnił Wędrowycz. – Napój rozweselająco-rozgrzewający.

Krasnal upił łyk.

– Uch, ależ to mocne – powiedział. – Ale faktycznie grzeje.

Przechylił naparstek i wygulgał go trzema łykami.

– Zagryź szaszłykiem, bo cię szybko zwali z nóg – poradził Jakub. – Ja też strzelę, szklaneczkę dla towarzystwa.

Napełnił musztardówkę, a potem nalał krasnalowi następną kolejkę.

– A teraz wyjaśnię ci, co to są toasty – mruknął...

Semen obudził się godzinę później. Uchylił sklezione ropą powieki. Przed oczyma latały mu zielone cienie, spostrzegł jednak swojego przyjaciela. Jakub gadał do czegoś małego, czerwonego od góry. Staruszek założył okulary. Przed egzorzystą, na pieńku, tańczył sambę zataczający się krasnal w wysokiej, spiczastej czapce.

– O kurde, delirium – jęknął stary kozak.

ŁOWY NA MŁOTKOWCA

Posterunkowy Birski oparł nogi o blat biurka i zaciągnął się ukraińskim papierosem z przemytu. Nie dalej jak wczoraj skonfiskował ich całe pudło po telewizorze, a jak się okazało na dnie był jeszcze kanisterek ze spirytusem. W osadzie panował spokój, nawet Jakub coś przycichł. Dawniej, gdy posterunkowy był młodszy, wydawało mu się, że taki stan rzeczy jest nienaturalny. Teraz gdy stał się starym policyjnym wyjadaczem, nauczył się, że działania prewencyjne pozbawione są głębszego sensu. Z drugiej strony... Obecność Wędrowycza w gminie dokuczała Birskiemu jak czyrak na tyłku.

– To niemożliwe – funkcjonariusz puścił kółko smoliście czarnego dymu. – Ten bydlak na pewno coś knuje. Przecież nawet tygodnia nie usiedzi spokojnie...

Wyciągnął z biurka akta Jakuba, dwanaście grubych teczek. Dwanaście spraw zakończonych wyrokami. Lubił sobie czasem przejrzeć dokumentację dwudziestu lat walki o spokój, praworządność i trzeźwość gminy. Ze wzruszeniem czytał dokumenty sądowe, zapominał wówczas na chwilę o stu czterdziestu siedmiu teczkach spoczywających w archiwum i tyluż sprawach, w które na pewno zaplątany był Wędrowycz, ale w przypadku których nie udało się zdobyć odpowiednio mocnych dowodów.

Westchnął. Teczki spoczywające na posterunku stanowiły tylko część dostępnych archiwaliów. W Zamościu, w dawnym archiwum wojewódzkim, spoczywały cztery tomy akt, nagromadzonych przez carską ochranę i żandarmerię oraz policję w okresie międzywojennym... Ród Wędrowycza wywarł niezatarte wrażenie na wszystkich organach ścigania. Birski przeglądał to kiedyś...

– Od stu pięćdziesięciu lat tu grasują i ciągle to samo bimber, bimber, bimber... – mruknął. – Aż do znudzenia. Warto by raz na zawsze wypalić ten wrzód...

I jeszcze jedno. Na dnie szafki spoczywała cieniutka na razie teczuszka. Na wakacje do Jakuba przyjeżdżał jego wnuk, Maciuś. Birski nie miał żadnych wątpliwości, że stary degenerat sprowadzi chłopca na złą drogę...

Drzwi nieoczekiwanie otworzyły się na oścież. Wysoki facet w garniturze i kobieta w garsonce. Birski podświadomie wyczuł, że nie przyszli tu bez powodu. Zgniółł peta w popielniczkę, spuścił nogi na ziemię. Spojrzał na nich spode łba. Wyciągnęli legitymacje.

– Agent Mundek i agentka Skulka – przedstawił ich nieznajomy. – Centralne Biuro Śledcze.

Birski wiedział, że wcześniej czy później dobrać mu się do skóry. Pewnie ten sukinsyn aspirant Rowicki podkablował, drań od dawna czyhał na jego stanowisko. A dowód rzeczowy, karton lewych fajek, jak na złość stał za biurkiem. I kanister spirytusu też znajdą. Łajdak z tego aspiranta. Mógł chociaż dać cynk komisji odpowiedzialności zawodowej, a nie samej centrali...

– Dobra – powiedział do gości. – Przyznaję się, ale Rowicki też nie jest święty. Mam na drania dwie teczeki. – Birski pomyślał – Jak ginąć to z hukiem. I żeby wrogowie też oberwali przy okazji po uszach.

Agent zignorował jego wyznania.

– Mieszka tu u was niejaki Jakub Wędrowycz – zaczął. I naraz posterunkowy zrozumiał, że nie przyszli po niego. Spokój był przez dwa tygodnie? To znaczy, że Jakub pojechał na gościnne występy i tam coś narozrabiał. I to grubego, skoro CBS go ściga!

– A pewnie że mieszka – ucieszył się. – Mogę nawet pokazać gdzie. Ile lat dostanie? Co przeskrobał?

Agent popatrzył na niego ponuro.

– Rozumiem, tajemnica służbowa – wzruszył ramionami posterunkowy. – Ale i tak przecież będziecie musieli powołać mnie na świadka...

– Chcielibyśmy prosić, aby zorganizował pan nam spotkanie – wyjaśnił Mundek. – Powiedzmy za godzinę tutaj. Zaprosi go pan, musimy pogadać.

– Załatwione – ucieszył się posterunkowy. – Zaraz pojedę i go zaproszę...

Był dumny z siebie, że tak łatwo odgadł intencje gości. I jak ładnie to ujęli, tak delikatnie: „zaprosić”, a nie „przy wlec drania w kajdanach”... On też będzie musiał w przyszłości nauczyć się tak kulturalnie rzucać aluzje do podwładnych...

– Sprawdzam – Jakub dołożył jeszcze piętnaście naboí od kałasznikowa do puli.

– Przegrasz całą amunicję – ostrzegł egzorcystę Józef.

– Odegram się – uspokoił go Jakub. Semen wyłożył swoje karty na stół.

– Kareta asów – oświadczył gromko.

– A ja mam pięć króli – egzorcysta pokazał swoje karty. – Wygrałem.

– Znowu? – Przesunął w stronę przyjaciela połyskujący stos naboí oraz kostkę trotylu.

– Gliny! – wrzasnął Józef, wyglądając przez okno. Faktycznie na podwórzu wtaczał się właśnie radiowóz Birskiego i jeszcze do tego nieoznakowany opel.

Egzorcysta jednym ruchem zmiotł wygraną do garnka i nakrył szmatą. Birski już walił do drzwi. Trzej przyjaciele poderwali się zza stołu, a następnie wskoczyli do szafy. Mebel nie miał dna. Jakub podniósł klapę i po stalowej drabince zbiegli do bunkra pod chałupą. Stary kozak podbiegł do peryskopu. Rozejrzał się.

– Birski, Rowicki i jeszcze kilku – zameldował.

– Sprawdzę na drodze – zaproponował Józwa.

Pobiegł korytarzem i zaraz kolejny peryskop wynurzył się ze szlamu zalegającego dno rowu melioracyjnego. Przeczucie go nie myliło. Na drodze stał jeszcze jeden radiowóz. Józef wrócił i zameldował o tym Jakubowi.

– Kuźwa, ale za co? – zestresował się gospodarz. – Przecież ostatnio nie było nic, czego mogliby się czepić...

Łomot na górze świadczył o tym, że posterunkowy wtargnął do chałupy.

– Jakub – rozległ się głos wzmocniony przez megafon, – wiemy że tu jesteś. Wychodź z podniesionymi rękami, a gwarantujemy ci uczciwy proces. Nie próbuj żadnych sztuczek.

– Tunel minerski numer cztery – ocenił Semen patrząc przez peryskop. – Jeden ładunek, to ich nauczy rozumu.

Józef wziął łaskę dynamitu i zagłębił się w niski chodnik. Po chwili wrócił. Zatrzasnęli drzwi i podparli je dwoma workami z piaskiem.

– Trzy, dwa, jeden...

Pierdut! Nieoznakowany radiowóz podskoczył w górę i dachował. Z krateru uniósł się dym...

– Na drodze zatrzymał się wóz straży pożarnej – powiedział zaniepokojony Semen.

– Strażacy też przeciwko mnie?! – zdumiał się Jakub. – To ja im tyle roboty przez ostatnie lata załatwiłem a oni tak się odpłacają...

– Jakub, daję ci ostatnią szansę!!! – wydzierał się na podwórzu posterunkowy. – Zaraz cię wykurzymy jak królika z nory...

– Akurat – zaśmiał się bimbrownik.

Na podwórze wjechał kolejny pojazd, ciężarówka marki Star z aparaturą do wiercenia studni artezyjskich. Jeden z policjantów wypakował z radiowozu jakąś walizkę na kółkach.

– Co za diabeł? – zdumiał się Józef.

Nie wiedzieli. Nikt z nich nie widział wcześniej radaru geologicznego... Gliniarz przeciągnął walizkę w poprzek podwórza, patrząc na mały ekranik. W ziemię wbił chorągiewkę. Star podjechał w to miejsce i puścił w ruch świdy.

– O cholera, oni nie żartują – zdenerwował się kozak. Urządzenie błyskawicznie wywierciło dziurę w klepisku.

– Trafili na tunel do obory – zaniepokoił się Józwa.

– Strażacy ciągną wąż od swojego pojazdu – Semen nadal patrzył przez peryskop. – O cholera jasna, chodu!

Puścili się pędem tunelem ewakuacyjnym. W pewnym momencie Jakub rzucił przerażone spojrzenie przez ramię. Za nimi z oszałamiającą szybkością poruszała się fala wody.

– Całkiem jak na filmie – zdążył pomyśleć.

I nawet się nie pomylił, bo na polecenie aspiranta Rowickiego całą operację wykurzania

Jakuba filmowano starannie – jako materiał dydaktyczny dla szkoły policyjnej.

W zapuszczonym sadzie drgnął prostokąt ziemi, a potem odleciał na bok, pchnięty gejzerem wody i błota. Trzej kompani wylądowali na trawie. Semen pierwszy doszedł do siebie. Rozejrzał się w około i zagryzł wargi. Stali nad nimi czterej gliniarze uzbrojeni w pistolety maszynowe.

– Żywce nas nie wezmą – wybełkotał egzorcysta, przecierając oczy z błota.

– Założymy się? – rozległ się tuż nad nim głos posterunkowego – Jesteście wszyscy aresztowani. Rączki na kark, kujemy chłopaki...

Po kilku minutach cała trójka stała pod ścianą stodoły skuta kajdanami. Posterunkowy wylewnie dziękował policjantom z pobliskiej Bończy, strażakom i facetowi od świdra.

– Dzięki waszej pomocy sprawiedliwość zatriumfowała – mówił potrząsając ich dłonie. – Zapraszam dziś wieczorem na grilla, musimy to uczcić.

– A żeby wam w gardle stanął – mruknął Jakub.

– Oto Jakub Wędrowycz – Birski rzucił z rozmachem skutego starca pod nogi agentów.

Jakub przejechał kawałek na brzuchu po podłodze i o mało nie zarył twarzą w biurko.

– Dlaczego jest skuty? – zdziwiła się Skulka.

– To bardzo niebezpieczny przestępca – wyjaśnił ochoczo policjant.

– A dlaczego jest mokry i ubłocony? – zapytał Mundek.

– Stawiał opór, musieliśmy go wypłukać motopompą z piwnicy – oświadczył z dumą posterunkowy. – Tylko dzięki błyskawicznie przeprowadzonej akcji udało nam się go ująć. I to bez strat własnych – puszył się. – Uszkodził tylko jeden radiowóz, ale dach i złamaną oś to się wymieni.

– Ty głupi palancie – parsknął agent. – Jakub Wędrowycz jest najlepszym w kraju egzorcystą i musimy go prosić o pomoc jako cenionego eksperta, wyraźnie zresztą powiedziałem „zaprosić na rozmowę”...

– Eeeee? – kulturalnie wyraził swoje zdziwienie policjant. – To może go przeprosić?

Jakub, szeleszcząc nowiutkim ortalionowym dressem, siedział rozparty wygodnie na tylnym siedzeniu jeepa. Kumple rozsiedli się po jego prawej i lewej stronie. Agenci trochę protestowali, ale uparł się zabrać ich ze sobą. Semen nie był w Warszawie od czasów międzywojennych i egzorcysta uznał, że przyda mu się wycieczka.

– Tu są akta sprawy – Skulka podała teczkę. – Młotkowiec zaczął grasować trzy tygodnie temu. Ofiary zabija najczęściej jednym uderzeniem dziesięciokilowego młota. Do tej pory było dwadzieścia trupów. Mózgi zostały częściowo wydłubane przy użyciu narzędzia o łódkowatym kształcie.

– Łyżką chirurgiczną naczy je wyciąga? – zafrasował się Jakub.

– Jak pan sądzi, dlaczego to robi? – zagadnął zza kierownicy Mundek.

– Powodów może być kilka – powiedział w zadumie egzorcysta. – pierwszym i podstawowym są braki w zaopatrzeniu.

– Że co?!

– Jeśli koleś jest smakoszem i lubi zjeść sobie cielecy mózdzek, to ma problemy z dostaniem go w sklepie...

– Ale dlaczego poluje na ludzi?

– No bo u was w mieście łatwiej o człowieka niż o ciele – wyjaśnił spokojnie egzorcysta.

– Zresztą powodów może być więcej. Ucinał głowy?

– Jak do tej pory nie.

– Zatem odpada motyw dekoracyjny – zauważył Józef.

– Jaki!?

– Są ludzie, którzy lubią z czaszek swoich wrogów robić kielichy – tłumaczył egzorcysta.

– Wańka partyzant to miał w ziemiance całą półkę... – przypomniał sobie wojenne przygody.

Semen uśmiechnął się w duchu. Też miał w domu półtoralitrowy kufel do piwa wykonany z czaszki esesmana, ale uznał, że nie będzie zabierał głosu.

– A tak swoją drogą, dlaczego jeszcze nie słyszałem o tym Młotkowcu? – zagadnął Wędrowycz.

– Trzymamy sprawę w tajemnicy, by nie wywoływać paniki – wyjaśniła agentka.

Trzy godziny później byli w Warszawie.

Jakub nie lubił kostnic i prosektoriów. Zaraz przypominało mu się jak kiedyś trafił do czegoś podobnego w Łodzi... Ale mus to mus. Ruszyli podziemnymi betonowymi korytarzami.

– Zwłoki numer siedemnaście – agent podniósł prześcieradło.

Egzorcysta popatrzył ciekawie na trupa.

– Faktycznie młotem oberwał – ocenił.

– Identycznie wyglądał Robert Bardak, jak go po tamtej zabawie znaleźli w krzakach – zauważył Józef.

Jakub tylko pokiwał głową. Nawiasem mówiąc, tamto z Bardakiem to była jego robota, ale skoro do tej pory się nie wydało, ani myślał się przyznawać. Wziął latarkę i poświecił do środka czerepu.

– Hmmm – mruknął. – Wyciachany ośrodek pamięci, ale reszta prawie nie ruszona. Znaczący koleś co to robi, zna się na swojej robocie.

Spojrzał wyczekująco na Semenę. Kozak też zajrzał i kiwnął głową, potwierdzając diagnozę. Mundek skrzętnie zanotował jego spostrzeżenia i egzorcysta zrobiło się ciepło na sercu. Tak niewiele miał w życiu chwil, gdy go doceniano...

– Późno już dzisiaj – powiedziała Skulka. – Może odwieziemy panów na kwaterę?

– E, wolę się po mieście powłóczyć – pokręcił głową. – Skoro atakuje nocą, może uda mi się na niego trafić.

– Ma pan jakiś trop? – zaciekał się agent.
– Nie, ale ja jeszcze ciągle bardziej polegam na instynkcie – wyjaśnił egzorzysta.
– Warszawa nocą bywa niebezpieczna, może damy panu do ochrony kilku agentów? – zaproponowała.

– Po co? – wzruszył ramionami.
– A ja bym posiedział w bibliotece Akademii Medycznej – powiedział Semen, – moglibyście załatwić mi klucze, bo już pewnie zamknięta?

– Jasne.
Rozstali się przed prosektorium. Jakub i Józef wsiedli sobie w tramwaj i pojechali.
– Sądzisz, że to coś da? – kobieta zapytała swojego partnera.
– Kto wie... boję się jednak, że nic z tego...
– Hy – mruknął Jakub, wysiadając z tramwaju na Pradze. Okolica wyglądała swojsko. Wałęsa się budynki, psie gówna rozwłózione po chodnikach, śmieci, menele, dresiarze...

– Na początek poszukamy jakiejś miłej knajpki – zdecydował Jakub.
Rozejrzeli się. Bardzo szybko zlokalizowali miejscową gospodę.
Znad stolików uniosły się czerwone twarze polujące na jeleni.
– Dwa piwa – powiedział egzorzysta do faceta, który stał za barem ubrany w brudny fartuch.

– Na waszym miejscu bym sobie poszedł – powiedział barman.
– Dlaczego? – zdziwił się Jakub.
– To najgorsza mordownia w tym mieście – głos faceta ociekał godnością.
– E, przesadzasz, to taki miły i szykowny lokalik – nie mógł uwierzyć Jakub.
– Tu nie lubią obcych.
Egzorzysta odwrócił się, słysząc charakterystyczny brzęk trzydziestu butelek jednocześnie przekształcanych w tulipany. Trzydziestu tubylców patrzyło na niego ponuro, trzymając w dłoniach wyszczerbione flaszki.

– Nie kapujesz po dobroci żeby spierdalać, no to zaraz będziesz miał kwiatka w brzuchu – wycodził jeden czerwono-nosy, najwyraźniej przywódca.

– To ma być tulipan? – Jakub spojrzał na narzędzie mordy w dłoni tamtego.
A potem parsknął homeryckim śmiechem. Sięgnął na ladę po pustą flaszkę i jednym zręcznym ruchem przerobił ją na broń.

– O kurde – sapnął menel.
Wyrób Jakuba już na pierwszy rzut oka był o kilka klas doskonalszy. Światło żarówki połyskiwało na szklanych drzazgach. Wszystkie były idealnie kształtne i, co najważniejsze, znakomicie wyprofilowane.

– To co, sprawdzimy się, kto z nas lepszy? – zapytał egzorzysta zaczepnie. – Urządzimy zawody?

Przeciwnik kiwnął głową. Sięgnął po flaszkę z tanim winem i zębami odgryzł szyjkę

razem z korkiem. Spojrzał wyzywająco na Jakuba.

Egzorcysta sięgnął po dwie. Kucnął i z wysokości 30 centymetrów upuścił je na podłogę.

Pyk, pyk – odpadły denka. Złapał butelki za szyjki i zręcznie obrócił w powietrzu. Trzymał w dłoniach dwa jakby wielkie kielichy pełne aromatycznej pryty, a nie rozlał przy tym ani kropli.

Szczęki opadły z trzaskiem. Tłum zaszemrał w podziwie.

– Mistrzu – wykrztusił wódz. – Wybacz naszą nieuprzejmość. Nie wiedzieliśmy, kto zawitał w nasze skromne progi...

Godzinkę później to i owo już wiedzieli. Młotkowiec grasował po Warszawie, ale na Pragę dotąd się nie zapuścił. Menele utrzymujący kontakt z kumplami na tamtym brzegu słyszeli, że atakuje tylko ludzi mających wyższe wykształcenie.

– To nam zawęży krąg poszukiwań – orzekł o pierwszej w nocy Jakub, wytaczając się z knajpy. Józef złapał się za latarnię i przeczekał zawrót głowy.

– Tttto cooo? liiiidziemy na tamtą stronę?

– Chyba tak. A tam znowu się rozpytamy.

I powędrowali. Gdy szli przez most, minęły ich dwa nocne autobusy. Egzorcysta trochę się zeźlił, że nie pomyślał aby podjechać, ale za to nim doszli do śródmieścia nieco wytrzeźwieli.

– I gdzie my jesteśmy? – zdeorientowany Józef rozejrzał się wokoło.

– W Warszawie – przypomniał mu Jakub.

– A to w porządku. Hy, bloki są, znaczy inteligencja tu mieszka... I może nie tylko inteligencja – dodał widząc czterech dresiarzy z bejsbolami.

– No właśnie – mruknął Jakub patrząc na nadciągających byczków. – I o to właśnie chodziło. Zobaczmy co wiedzą.

– Oj, już oni nam pokażą! – Nie pękaj.

– No co kloszardy? – zapytał Bychu. – Wlazło się na cudzy teren?

– Wiecie, co to jest? – Jakub wyjął zza pazuchy młotek.

Trzej roześmieli się głupio, ale czwarty pobladł. Egzorcysta zapamiętał który to, co nie było łatwe, bo łysi i w dresikach wyglądali niemal identycznie. Wyjął z kieszeni pudełko.

Przypieszacz madę in KGB – głosił napis na wieczku.

Egzorcysta wytrząsnął dwie tabletki. Jedną podał Józwie, drugą łyknął sam. Czas zwolnił. A właściwie czas pozostał taki sam, to im percepcja wzrosła dziesięciokrotnie. Dresiarze poruszali się powolutku jak muchy w smole. Egzorcysta i jego kumpel krążyli wokoło i walili ich gdzie popadnie. Przeważnie młotkiem w kolana.

Czas powoli przyspieszył. Trzy ciała z hukiem runęły na wznak, a z gardeł dobiegł ryk przypominający dźwięk silnika odrzutowego. Czwarty dresiarz stał nietknięty i patrzył na męki kumpli rozszerzonymi z przerażenia oczyma.

– Skąd wiesz o Młotkowcu? – zapytał Jakub.

– Nic nie wiem – wybełkotał przerażony.

– To czegoś się przestraszył na widok młotka? – warknął Wędrowycz. – Gadaj. I to szybko, bo zrobię rzecz tak straszną, że kamienie zapłaczą – zacytował zasłyszane gdzieś zdanie.

– Gadają, że to lekarz, którego wywalili ze szpitala. Zabija tylko najmądrzejszych, pewnie dlatego żeby wyeliminować konkurencję...

– Pierwsza część wypowiedzi jest w miarę sensowna – poinformował Jakub przyjaciela. – Z drugą już gorzej. Coś tam wie, ale niewiele. Mamy pierwszy ślad.

I przyładował gnojnikowi młotkiem w szczękę, wybijając mu od razu siedem zębów. Ruszyli przed siebie.

– Dlaczego go rąbnąłeś? – zaniepokoił się Józef. – Przecież nam powiedział.

– To dla jego dobra.

– Jak to?

– Gdy kumple dojdą do siebie, to zobaczą że też oberwał. Bo jakby nie oberwał, to by tę sytuację zdemokratyzowali – powiedział uczenie.

Józef coś tam słyszał w radio o demokracji lokalnej i przywracaniu demokracji, więc przez następną godzinę usiłował zrozumieć wypowiedź kumpla, dopasowując do niej pracowicie strzępy zasłyszanych wiadomości.

Semen pracowicie rył w archiwum Akademii Medycznej w poszukiwaniu jakiegoś sensownego śladu. Kłął cicho pod nosem. Od kiedy osiemdziesiąt lat temu wylali go z uniwersytetu, medycyna wykonała spory krok do przodu. Studiował opasłe monografie na temat chirurgii mózgu i był coraz bardziej zły. Ale szczegółowe mapy ośrodków kory przekonały go, że Jakub się nie mylił. Ktoś wycinał te części, które odpowiedzialne były za pamięć.

– Pewnie pobrane kawałki moczy w jakiejś pożywce i poddaje eksperymentom dla odczytania wspomnień ofiar – wydedukował wreszcie. – Telewizor podczepia, albo jakoś tak. A to oznacza, że trzeba szukać fachowca, który prawdopodobnie już nie pracuje jako lekarz i który ma dom ze sporą piwnicą, gdzie urządził sobie pracownię...

– Podsumujmy zdobyte dane Mundek przy śniadaniu. – zaproponował agent.

Siedzieli w jednym z tajnych mieszkań, w których ukrywa się agentów, świadków koronnych i innych takich. Jakub bardzo się rozczarował, bowiem tajne mieszkanie wyglądało dokładnie tak samo jak zwyczajne.

– No więc – zaczął Semen – przestępca prawdopodobnie jest neurochirurgiem. Ma dom z piwnicą, w której urządził sobie laboratorium. Ostatnio musiał kupić bardzo duże ilości odczynników chemicznych, sprzętu, części do komputera i innych takich. Niewykluczone, że zdobył na to forszę, bo wygrał w totolotka.

- I co, pańskim zdaniem, robi z tym co wytnie?
- Montuje sobie biologiczny komputer, wykorzystujący tkankę ludzkiego mózgu, a ściślej – zawarte w niej dane.

Agent Mundek zanotował to wszystko skrzętnie. Jakub łypnął niechętnie okiem. Przecież to jego wezwali jako eksperta, a teraz kumpel się szarogęsi.

– Moja koncepcja zasadniczo jest nieco odmienna – powiedział z godnością. – Morderca, owszem, usuwa część mózgu odpowiedzialną za pamięć, ale zamiast montować ją do komputera, używa bezpośrednio do wzmocnienia swojego intelektu, zjadając po prostu kolejne próbki. Czy macie listę zamordowanych? Z pewnością zauważycie, że specjalności nie pokrywają się ze sobą. Ten człowiek chce zdobyć wiedzę możliwie szeroką.

- Interdyscyplinarną – zanotowała w kajecie Skulka.
- Moja teoria jest chyba lepsza – obraził się Semen.
- Przecież jak będzie zjadał mózg, to informacje strawią się w żołądku.
- A to potem nie dotrą przez кишки do mózgu? – zdziwił się Jakub.
- Przez кишки to one dotrą co najwyżej do kibla – oświadczył Semen z całą stanowczością.
- Ale może on o tym nie wie i zjada, bo myśli że się nie wydała.

Agent i to zanotował.

– Teraz pytanie zasadnicze – odezwała się Skulka. – Czy macie jakąś koncepcję jak go złapać, jeśli nie uda się go namierzyć wedle pańskich wskazówek? – uśmiechnęła się do kozaka.

Nad stołem zapadło głębokie i wymowne milczenie.

– Ja tam postuluję, żeby zastawić pułapkę – powiedział wreszcie Wędrowycz. – Ubierzemy Semenę w garnitur, dacie w dzienniku przebitkę, że przyjechał bardzo sławny zagraniczny uczony. Wybierzemy mu specjalizację, jaka jeszcze nie została zjedzona. Pokażecie hotel, w którym się zatrzymał i jak łowca mózgów przyjdzie, to wpadnie w pułapkę – oświadczył zadowolony.

– Dlaczego akurat ja mam się narażać? – obraził się jego przyjaciel.

– Bo ty z nas trzech najlepiej wyglądasz.

W telewizji wypadło bardzo ładnie. Semenę sfilmowali na lotnisku, niby że wysiadł z samolotu. Ubrany w zagraniczny garnitur, z elegancką teczką faktycznie wyglądał na naukowca. Jakub oglądając te szopki aż pokręcił z podziwem głową. Mundek ładnie to wymyślił. Genetyk z Kanady, Polak z pochodzenia, murowany kandydat do tegorocznej nagrody Nobla...

Pojechali do hotelu. Pułapka przygotowywana wedle wskazówek Jakuba wyglądała niezwykle profesjonalnie. Semenę posadzili za biurkiem. Agenci stanęli na parapecie i zasłonięto ich firankami. Jakub z obrzytnem ukrył się w szafie, a Józef w kamizelce kuloodpornej miał otwierać drzwi.

Portierowi przykazano, żeby nikogo nie wpuszczał. To znaczy wpuszczał. Każdego kto zechce. Chciało około 500 osób protestujących przeciw jego badaniom. Aktywiści sekty religijnej przekazali mu energię dobra. Świadkowie Jehowy zostawili mu całą masę ładnie wydanych broszurek z kolorowymi obrazkami. Ponadto członkowie kilku partii politycznych przyszli porozmawiać o zbliżających się wyborach, a jakiś koleś działający na rzecz „grupy trzymającej władzę” zaproponował mu stanowisko rektora wyższej uczelni i komplet ustaw do jej sfinansowania. W zamian chciał raptem siedemnaście milionów dolarów. Semen obiecał, że rozważy jego propozycję. Pozostali interesanci chcieli zrobić sobie z nim pamiątkowe zdjęcia, zdobyć autografy lub wyswatać córki. Po dwu dniach, wobec faktu że Młotkowiec nadal nie złożył wizyty w hotelu, zdecydowano o zakończeniu akcji.

– Szkoda że nic więcej nie umiemy wymyślić – powiedział Jakub.

– Trudno, staraliście się – uspokoiła go Skulka. – Widać sami musimy go złapać. Ale pomysły mieliście niezłe.

Siedzieli na małym pożegnalnym przyjęciu w pubie przy Marszałkowskiej. Gustowny lokalik w piwnicy wypełniały kłęby dymu papierosowego, ale egzorcyście podobało się. Semen dopił jeszcze piwa.

– Ja na chwilę do toalety – przeprosił i podreptał po schodkach na górę.

– Gdzie on poszedł? – zdziwiła się Skulka. – Przecież ubikacja jest obok...

– Ale trzeba by wrzucić 50 groszy, więc wyszcza się w bramie – cierpliwie objaśnił egzorcyista.

– Bardzo niekulturalnie – skrzywiła się kobieta. – A i mandat mogą mu wlepić. Ze dwieście złotych nawet.

– O kurde, to trzeba go powstrzymać! – zdenerwował się I pognał po schodach. Józef i agenci ruszyli za nim. Semen stanął w lekkim rozkroku i wydobył fujarkę z rozporka. Wycelował w ścianę...

– Mam cię! – huknęło mu nad uchem.

Kozak z wrażenia aż obsikał sobie buta. Odwrócił się ostrożnie. Za nim stał niepozorny człowieczek z wielkim młotem w łapie.

– No i co, panie genetyk? Uciekło się z hotelu, ubrało w łachy i myślało, że nie znaję. Twoja nagroda Nobla będzie moja.

– Młotkowiec – odgadł Semen.

– O, to słyszałeś o mnie? – ucieszył się napastnik. – Cha, cha.

– I zeżresz mój mózg, żeby przejąć wiedzę, czy może podłączysz wycięty kawałek do komputera?

– O, to tak się da? – zdumiał się zabójca.

– A jakżeś do tej pory robił?

– Normalnie, wyciskałem z mózgu olej i codziennie brałem łyżkę na śniadanie, obiad i

kolację.

– I to pomaga?

– Doszedłem do czwartego etapu w milionerach – pochwalił się. – Dobra, starczy tej gadki, nagroda Nobla czeka...

Uniósł młot do ciosu. Semen sprężył się w sobie, żeby uskoczyć, ale jak się okazało, niepotrzebnie. Jakub, widząc co się święci, wypalił od drzwi pubu z obrzyna. Młotkowiec runął jak długi. Egzorcysta pochylił się nad ciałem. Kula trafiła w potylicę i wyszła czołem. Czaszka była potrzaskana na kawałki.

– Ładny strzał – ocenił agent Mundek. – Prawie urwałeś mu łeb.

– Che, che a co, kula na dzika – uśmiechnął się Jakub. – I dobrze się stało – dodała Skulka. – Pewnie dostałby dożywocie, a miejsce takich ścierw jest w piachu...

– Wyżerał mózgi, żeby zdobyć wiedzę – powiedział w zadumie. – Jeśli załatwił dwadzieścia osób, to musiał jej zgromadzić całkiem sporo...

Agent spojrzał na niego zdziwiony.

– I co z tego? – zagadnął.

– No szkoda, żeby się zmarnowało – powiedział Jakub, wyjmując z kieszeni pogiętą, aluminiową łyżkę...

Pałaszował aż mu się uszy trzęsły. Kogo innego może zniechęciłyby odgłosy i widok wymiotujących agentów, ale Jakub był twardy. Kumple po chwili wahania przyłączyli się. Na zdobywanie wiedzy nigdy nie jest za późno.